

Polska Zbrojna

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523



CO SĄDZĄ POLACY

o obecności naszych wojsk w Afganistanie?

ZMIANA WARTY

PRZYSZŁOŚĆ POLSKICH WOJSK AEROMOBILNYCH



PIOTR ŁUKASIEWICZ

O INTERESACH POLSKI W AFGANISTANIE

Jakie mielibyśmy wojsko, gdybyśmy nie wzięli udziału w operacji ISAF: defiladowe czy bojowe?

DZIECI NAZISTÓW:

JAK UWOLNIĆ SIĘ OD CIĘŻARU PRZESZŁOŚCI?

OBECNOŚĆ

O B O W I A Ż K O W A





WOJCIECH KISS-ORSKI
SEKRETARZ REDAKCJI

Zawsze jest problem, co sensownego napisać Czytelnikom z okazji ukazania się pierwszego numeru periodyku. W tym wypadku pierwszego w cyklu miesięcznym, bo POLSKA ZBROJNA od kwietnia 2012 roku nie jest już tygodnikiem, o czym wszyscy zainteresowani z pewnością wiedzą. Składanie Czytelnikom deklaracji i obietnic pachnie fałszywą kokieterią, powiem więc tylko jedno: miesięcznik jest i będzie magazynem o wojsku. Nie zamierzamy ścigać się z innymi mediami, szczególnie elektronicznymi, które zapewnią Państwu bieżące informacje o naszej armii.

PROPONUJEMY OPOWIEŚĆ O WOJSKU, W KTÓREJ ZWRACAMY UWAGĘ NA TO, CO ZWYKLE UMYKA W WIRZE CODZIENNOŚCI.

Tym razem polecam temat główny numeru – udział polskich żołnierzy w misji w Afganistanie. Dziesięć lat działań w tym kraju zmieniło nie tylko wojsko, lecz także spojrzenie polskiego społeczeństwa na sytuację w tym regionie. Dziennikarze pokazali tę operację zarówno z perspektywy żołnierzy linii, jak i dowódców.



BOGUSŁAW POLITOWSKI

armia

- ARTUR GOŁAWSKI,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
BOGUSŁAW POLITOWSKI
- 12 | Obecność obowiązkowa**
Jak oceniamy doświadczenia naszych żołnierzy w Afganistanie?
- JAKUB GAJDA
- 24 | Narkobiznes i korupcja**
Mimo wieloletniej operacji ISAF Afganistan jest sterowany przez skorumpowanych watażków.
- KLAUS BACHMANN
- 28 | Chwiejne procenty**
Co Polacy sądzą o obecności naszych żołnierzy w Afganistanie?
- ARTUR GOŁAWSKI,
TADEUSZ WRÓBEL
- 34 | Bez munduru i pancerza**
Piotr Łukasiewicz: czy byłemu żołnierzowi łatwiej jest odnaleźć się na stanowisku ambasadora w Kabulu?
- PIOTR BERNABIUK
- 41 | Kontraktora wynajmę**
Jak nie zmarnować doświadczeń żołnierzy, którzy odeszli z wojska?
- JACEK SZUSTAKOWSKI
- 44 | Kadet do zadań specjalnych**
Pomysł byłego komandosa na szkolenie żołnierzy
- MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
- 48 | Gwałtowne przyspieszenie**
Dwa lata po formalnym powołaniu Zespołu Ewakuacji Medycznej ratownicy wreszcie ruszyli do akcji.

ARTUR GOŁAWSKI
53 | Skrzydlate sanki
Pierwsze lądowanie wojskowego Orlika bez podwozia

PIOTR ZARZYCKI
56 | Sokół na fali
Akcja ratunkowa wojsk aeromobilnych na platformie wiertniczej

PAULINA GLIŃSKA
61 | Szeregowy po angielsku
Życie Arkadiusza Sawy przykładem tego, jak połączyć pasję z wykonywaniem zawodu.

KRZYSZTOF WILEWSKI
64 | Cyfrowy wojownik
Ułan XXI – ekwipunek dla polskiego żołnierza przyszłości

militaria

TADEUSZ WRÓBEL
70 | Siła trzeciego wymiaru

TADEUSZ WRÓBEL
76 | Zmiana warty
Przyszłość polskich wojsk aeromobilnych



POWIETRZNA
KAWALERIA KLUCZEM
DO SUKCESU
WE WSPÓŁCZESNYCH
KONFLIKTACH

70

bezpieczeństwo

ROBERT CZULDA

90 | Wojna w cieniu atomu

MARCIN RZEPKA

94 | Globalne ambicje Indii

Sily zbrojne, podobnie jak program atomowy, mają świadczyć o potęgę tego kraju.

RAFAŁ CIASTOŃ

97 | Podwodny wyścig

Zbrojenia dwóch mocarstw jądrowych wkraczą w nową fazę.

NA CZYM
POLEGA
IZRAELSKO-
IRAŃSKA
WOJNA
PODJAZDOWA?

90



© MAKSYMILIAN NIKALAYENKO FOTOLIA.COM

KAMIL SOBCZYK

100 | Bezpieczne serce Europy

Belgijska armia ma być bardziej mobilna i tańsza.

historia

JAKUB NAWROCKI

104 | Reduta Nowogród

O zapomnianym miejscu na mapie szlaku bojowego naszych żołnierzy w wojnie obronnej

MACIEJ SZOPA

110 | Śmierć w stalowej trumnie

Wybuch na rosyjskim pancerniku – sabotaż czy prowokacja?

WŁODZIMIERZ KALICKI

115 | Słom Kossaka

Chociaż malował dla zaborców, przeszedł do historii jako malarz arcypatriotyczny.

horyzonty

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

116 | Ciężar milczenia

Co w Niemczech oznaczało nazwisko Göring lub Himmler?

JACEK SZUSTAKOWSKI

122 | Dwa życia

Stworzył muzeum w hołdzie swoim towarzyszom broni.

ANDRZEJ FĄFARA

138 | Generał Wongiel

O najbardziej nienawidzonej drużynie w Polsce



DYREKTOR-REDAKTOR NACZELNY

Marek Sarjusz-Wolski,
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl, Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

ZASTĘPCA DYREKTORA

SEKRETARZ REDAKCJI „POLSKI ZBROJNY”

Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl

REDAKTORZY PROWADZĄCY

Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
Aneta Wiśniewska, tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213;
polska-zbrojna@zbrojni.pl, pz@zbrojni.pl

KIEROWNICY DZIAŁÓW

Anna Dąbrowska, Andrzej Fąfara,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 56 04, CA MON 845 604;
ppik Artur Goławski, tel.: +4822 684 03 55, CA MON 840 355

PUBLICYŚCI

WARSZAWA: Piotr Bernabiuk, Paulina Glińska, Maciej Szopa,
Piotr Zarzycki, tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244;
BYDGOSZCZ: Krzysztof Wilewski, tel.: +4852 378 52 00,
CA MON 415 200;
GDYNIA: Tomasz Gos, tel.: +4858 626 24 13, CA MON 262 413;
KRAKÓW: Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Jacek Szustakowski, tel.: +48 725 880 220;
WROCŁAW: Bogusław Politowski, tel.: +48 725 880 224

WSPÓŁPRACOWNICY

Robert Czulda, Janusz Grochowski, Paweł Henski, Dominik Jankowski,
Włodzimierz Kaleta, Włodzimierz Kalicki, Zdzisław Kryger, Michał Lipa,
Michał Nita, Waldemar Rezmer, Marcin Rzepka, Piotr Wołejko,
Krzysztof Wojciewski

FOTOREPORTER

Ewa Korsak, tel.: +4822 684 52 29, CA MON 845 229

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTOREDYTOR

Andrzej Witkowski, tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Renata Gromska, Małgorzata Mielcarz, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Adam Niemczak (kierownik), Anita Kwaterowska (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Aleksandra Ogłoz, Małgorzata Szustakowska,
Elżbieta Toczek, tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
684 04 00, faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl



Zdjęcie na okładce:
Artur Weber

Numer zamknięto:
29.03.2012 r.

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

DRUK

Drukarnia Trans-Druk spółka jawna,
Kraśnica k. Konina



Treść zamieszczonych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

flesz





Czas na oszczędności

Resort obrony rozpoczął proces racjonalizacji wydatków w armii.

Pierwszą z decyzji jest rezygnacja z programu korwety Gawron. „Utrzymywanie tego projektu, nawet w tym stadium, konserwowanie tej jednostki, co kosztuje 30 milionów rocznie, nie ma żadnego sensu”, uważa premier **Donald Tusk**. Stwierdził też, że potrzeby militarne nie wskazują na konieczność budowy i użytkowania dużych jednostek na Bałtyku. Projekt korwety, która miała wejść do służby pod nazwą ORP „Słazak”, kosztował ponad 400 milionów złotych. Według szacunków MON do jego ukończenia trzeba by jeszcze co najmniej 1,1 miliarda złotych.

Ponadto w resorcie obrony trwają prace nad reformą struktury dowódczej armii i instytucji MON. Ma ona być goto-



wa jeszcze w 2012 roku. Propozycje zmian będą dotyczyć między innymi konsolidacji dowództw z pozostawieniem Sztabowi Generalnemu przede wszystkim funkcji planistycznych.

Zdaniem ministra **Tomasza Siemoniaka** powinno to przełożyć się znacznie lepszą jakością dowodzenia i znaczące oszczędności. Kolejne ma przynieść redukcja liczby wojskowych kapelanów wszystkich wyznań. Szef MON przypomniał, że choć w ostatniej dekadzie liczebność armii malała, to kapelanów i osób zatrudnionych w ordynariatach rosła. Jak podkreślał, nie da się przekonać, by utrzymywać kościoły garnizonowe tam, gdzie nie ma armii i zadeklarował, że redukcję z 344 do 176 etatów traktuje jako cel minimum. A T D

PRAWO

Ustawa na co dzień

§ Prawie sto tysięcy zainteresowanych osób czekało na ustawę o weteranach. Zdaniem wiceministra obrony **Czesława Mrocza** to jedna z najważniejszych ustaw dotyczących wojskowości, które zostały przyjęte w ostatnich latach. Obowiązuje od 30 marca 2012 roku. Nowy akt prawny określa między innymi status weterana poszkodowanego, reguluje kwestie związane z uhonorowaniem weteranów, prawem do uzyskania pomocy finansowej na naukę i pierwszeństwem w zatrudnieniu. Najważniejsze jest wprowadzenie uprawnień dla poszkodowanych do korzystania poza kolejnością ze świadczeń opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych. Zmiany w sposobie podejścia do tych osób spowodowały konieczność wydania wielu przepisów wykonawczych. Szczegółowy opis dwunastu rozporządzeń ministra obrony zamieszczamy w trzecim numerze NIEZBĘDNIKA. P A G



KIELCE

Bagram XI

W marcu ćwiczyli żołnierze XI zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Ostatni sprawdzian przygotowania do misji przeszli w trakcie ćwiczeń dowódczo-sztabowych „Bagram XI” w Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych. A N D

DRAWSKO POMORSKIE

Szkolenie z GROM-em

Również do Afganistanu, ale tym razem do XII zmiany, przygotowywało się czterdziestu dowódców plutonów oraz ich zastępców z pododdziałów 12 Brygady Zmechanizowanej wyznaczonych do zgrupowania bojowego. Pod okiem instruktorów Jednostki Wojskowej GROM doskonalili techniki operacyjne. (A D)

IZRAEL

Desert Hawk



Polskie Jastrzębie z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku wspólnie z izraelskimi samolotami F-15 i F-16 ćwiczyły nad pustynią Negew – największym poligonem lotniczym w tej części świata. Były to pierwsze tego rodzaju wspólne manewry sił powietrznych obu państw. Piloci sprawdzali swoje umiejętności taktyczne oraz walk powietrznych w warunkach zbliżonych do realnych działań bojowych. D A B

M O N



MARIAN KLUCZYŃSKI

Era reform

Zmiany w systemie dowodzenia i szkolnictwie wojskowym są priorytetem w armii.

Doczekaliśmy się sytuacji, że ministerstwo obrony, Sztab Generalny i premier wspierają koncepcję reformy dowódczej w Polsce i reformę szkolnictwa”, podkreślał prezydent **Bronisław Komorowski** na konferencji prasowej po dorocznej odprawie kierowniczej kadry resortu obrony i sił zbrojnych. Mówił, że zamysłem obu programów powinno być zwiększanie tego, co decyduje o wartości bojowej wojska, a ograniczanie tego, co może w tym przeszkadzać.

W swoim wystąpieniu w trakcie odprawy prezydent stwierdził, że podstawą reformy dowódczej powinno być spłaszczenie i zmniejszenie nadmiernie

rozbudowanego systemu dowodzenia, w tym redukcja liczby centralnych organów dowodzenia z siedmiu do trzech. Byłyby one odpowiedzialne za planowanie strategiczne, dowodzenie ogólne i operacyjne.

Zdaniem zwierzchnika sił zbrojnych reforma szkolnictwa wojskowego musi prowadzić do jego konsolidacji i zdecydowanego skoncentrowania się na zadaniach bezpośrednio potrzebnych wojsku. „Jest nie do zaakceptowania, że tylko 10 procent potencjału szkolnictwa wojskowego pracuje na rzecz sił zbrojnych, podczas gdy utrzymywane są w nich rozbudowane etaty wojskowe”. Prezydent uważa też, że kumulacja zwolnień żoł-

nierzy powinna być potraktowana jako sygnał, że nie wszystko funkcjonuje prawidłowo w obszarze polityki kadrowej.

Na spotkaniu potwierdzono również wolę polityczną utrzymania wskaźnika 1,95 procent PKB przeznaczanego na obronność. Zdaniem prezydenta **Komorowskiego** co najmniej jedna czwarta, a być może jedna trzecia budżetu obronnego powinna iść na modernizację techniczną. „To jest duże wyzwanie dla planistów wojskowych, aby ten wielki wysiłek finansowy państwa polskiego był jak najlepiej wykorzystany”. Według prezydenta priorytetami w odniesieniu do modernizacji technicznej armii są teraz systemy informacyjne, obrona powietrzna (w tym przeciwrakietowa), szeroko rozumiana mobilność Wojsk Lądowych oraz program dotyczący środków walki cybernetycznej. „Priorytety te powinny być głównym kryterium właściwego rozdziału środków finansowych, jakie państwo polskie przeznacza na utrzymanie wojska”. ATU ■

Zbrojownia

Centralna Biblioteka
Wojskowa udostępniła
zasoby w internecie.

Dzięki Wojskowej Bibliotece Cyfrowej Zbrojownia w internecie udostępniane są w formie elektronicznej kopie oryginalnych zbiorów CBW. Umożliwia to korzystanie z zasobów biblioteki, w tym z archiwaliów, większemu gronu

osób, ułatwia też wyszukiwanie i przeglądanie zbiorów. Celem digitalizacji jest także ochrona oryginałów przez ograniczenie sięgania do nich.

W Zbrojowni będą dostępne nie tylko zasoby CBW. Do współpracy zaproszono wszystkie instytucje, które chciałyby podzielić się swymi zbiorami historycznymi, naukowymi i dydaktycznymi dotyczącymi bezpieczeństwa i działalności naszych sił zbrojnych. Do projektu włączył się już Sztab Generalny WP. „Chodzi nam o scalenie na wspólnej platformie publikacji i dokumentów

rozproszonych po różnych zbiorach wojskowych, a także publikowanie dorobku nauk o bezpieczeństwie i obronności”, tłumaczyła **Aleksandra Skrabacz**, dyrektor CBW.

Na razie z ponad 670-tysięcznego zasobu CBW przygotowano do udostępnienia w formie cyfrowej ponad 120 obiektów, wśród nich jedynówkę wydaną przez żołnierza w 1920 roku w dniu imienin **Józefa Piłsudskiego**. D A B R ■

Link do Zbrojowni znajdziemy
na stronie: www.cbw.pl





Trafili w środek hipotetycznego konfliktu zbrojnego, który wybuchł na skutek walk mniejszości narodowych o zyskanie większych praw.

ŻAGAN ŚWIĘTOSZÓW

Borsuk '12

Około trzech tysięcy żołnierzy i blisko pięćset jednostek sprzętu, w tym czołgi, wozy bojowe i śmigłowce, wzięło udział w największych w tym roku ćwiczeniach taktycznych 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej „Borsuk '12”. W trakcie szkolenia przeprowadzonego pod koniec marca w Centrum Szkolenia Poligonowe Wojsk

Lądowych żołnierze 10 Brygady Kawalerii Pancernej sprawdzili swoje przygotowanie do wykonywania zadań zgodnie z przeznaczeniem wojennym. Ćwiczyli przemieszczanie brygady, walkę z taktycznym desantem powietrznym, pokonanie przeszkody wodnej, a także planowanie, organizowanie i prowadzenie obrony oraz natarcia. W szkoleniu uczestniczyli wojskowi z wielu jednostek, a także czołgi z 21 Brygady Pancernej Bundeswehry. Żołnierze współdziałali też z jednostkami układu pozamilitarnego. (PZ)

Prawna rewolucja

Resort obrony przygotował zmiany do ustawy pragmatycznej mające służyć zatrzymaniu żołnierzy w armii i ustabilizowaniu warunków służby.

Nowelizacja ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych przewiduje przede wszystkim zaszeregowanie stanowisk oficerów młodszych i szeregowych do dwóch stopni wojskowych, a podoficerów do trzech. Umożliwi to żołnierzom rozwój zawodowy w ramach zajmowanego stanowiska. Zmiany obejmują też zniesienie kadencyjności dla podoficerów, a dla oficerów wprowadzenie możliwości wielokrotnego powtarzania kadencji na jednym stanowisku. Nowela zakłada także, że żołnierze służby kontraktowej mogliby być przenoszani do sześciomiesięcznej rezerwy kadrowej.

Planuje się wprowadzenie możliwości wyznaczania żołnierzy zawodowych za ich zgodą na niższe stanowiska w przypadku, gdyby zlikwidowano jednostkę, w której służą. Nowelizacja wprowadza

także przepis stanowiący, że dla żołnierza, który odszedł ze służby w ciągu roku od objęcia wyższego stanowiska, podstawą wysokości świadczeń przysługujących z tytułu zwolnienia ze służby będzie uposażenie, jakie otrzymywał na poprzednim stanowisku.

Ponadto według noweli niezłożenie oświadczenia majątkowego oraz otrzymanie dwukrotnie oceny niedostatecznej z wuefu nie będzie już powodem obowiązkowego zwalniania ze służby. Ocena sprawności fizycznej znajdzie się w opinii służbowej, a zaniedbanie w sprawie oświadczeń będzie stanowiło naruszenie przepisów dyscyplinarnych. Przewiduje się też wprowadzenie urlopu ojcowskiego dla żołnierzy zawodowych. Prace w parlamencie nad zmianami w ustawie potrwają prawdopodobnie do końca września. (ANN)

POLSKA

Eagle Talon

Kilkanaście F-16 z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach ćwiczyło wspólnie z polskimi załogami Su-22, MiG-29, L-159 ALCA z Czech oraz załogami samolotów Eurofighter z Niemiec. Były to cykliczne manewry sprawdzające system obrony powietrznej kraju. Załogi wykonywały wspólne misje lotnicze, polegające między innymi na udaremnieniu ataku powietrznego na cele naziemne. (AD)

BAŁTYK

Manewry morskie

Kilkanaście jednostek Marynarki Wojennej ćwiczyło osłonę morskich szlaków żeglugowych, zabezpieczenie własnego transportu morskiego, utrzymanie panowania na morzu oraz niedopuszczenie do blokady morskiej państwa. Jednostki 3 Flotylli Okrętów w Gdyni prowadziły działania w ramach tak zwanej okrętowej grupy zadaniowej. (AD)

PRENUMERATA

POLSKI ZBROJNEJ

*Szanowni
Czytelnicy!*

**Zapraszamy do składania
zamówień na prenumeratę
miesięcznika POLSKA ZBROJNA.**

Koszt prenumeraty od kwietnia do grudnia 2012 roku to tylko 58,50 złotych (9 wydań).

W cenie suplement NIEZBĘDNIK.

Zamówienie na prenumeratę

można przesłać:

- wypełniając formularz elektroniczny na stronie www.polska-zbrojna.pl – zakładka Prenumerata;
- e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
- listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa;
- faksem: (48) 22 68-45-503.

Warunkiem wysyłki jest dokonanie wpłaty 58,50 złotych na konto:

23 1130 1017 0020 1217 3820 0002.



PIOTR
BERNABIUK

Nadzieja na highway

**AMBITNI PODOFICEROWIE,
NIE MOGĄC SIĘ DOCZekać
OTWARCIA DROGI
ROZWOJU, UCIEKAJĄ
DO CYWILA LUB DO
KORPUSU OFICERSKIEGO**

Dawno temu, ale jeszcze w czasach, które doskonale pamiętam, nieodłącznym elementem każdych większych ćwiczeń była prezentacja przed gośćmi i mediami starych, doświadczonych podoficerów lub chorążych, należących wówczas do osobnego klanu. Jeden z nich, szef kuchni, wąsаты i z wielkim brzuszyskiem, odziany w opięty kitel, wydawał prominentom grochówkę. Drugi, instruktor szkolący żołnierzy na тренаżerze w strzelaniu z przeciwpancernych pocisków kierowanych, w trakcie walki odpałał – zawsze celnie – swoje „pepeki”. Po sukcesie obaj występowali do wyróżnienia i gratulacji. Niezmiennie, latami odgrywali te same role. Stanowili chlubę swych jednostek, symbole cennego doświadczenia i niezmienności wojskowego porządku.

Podoficer dojrzał wóczas niczym wino, zapuszczał w swym pułku korzenie, trzymając się jednego miejsca i jednej roboty. Nie był wprawdzie frontowcem, bo to nie ta epoka, ale podobnie jak jego poprzednicy opowiadał żołnierzom: „Teraz macie przedszkole. Kiedyś było prawdziwe wojsko!”.

Dziś stereotyp podoficera kroczącego przez kilka dziesięcioleci utartą drogą od elewa do „starego sierżanta” kłóci się z życiem. Wprawdzie zachowały się w starszym pokoleniu jeszcze relikty, młodzi są jednakże niecierpliwi, nie chcą pełznąć do emerytury. Mniej im też jakby zależy na życzliwym klepaniu po plecach przez prominentnych konsumentów grochówki i świadków przeciwpancernej kanonady. Chętniej biorą udział w wymagającej bystrości umysłu i szybkości działania grze pod tytułem: „Kto innych nie wyprzedza, ten zostaje w tyle”. W gronie ściśle podoficerskim rozpatrywaliśmy ostatnio tę kwestię na przykładzie szeregowych: Ile czasu potrzebuje na uzyskanie pełnych walorów bojowych „prosty żołnierz”? Dwa lata? Pięć lat? A może dwanaście?

Kpina! Prostych funkcji przeciętny żołnierz może nauczyć się bardzo szybko – w ciągu paru miesięcy. Dobrze by też było, żeby na misji sprawdził się w boju... I co dalej? Dalej powinien się rozwijać – szkolić w łączności, ratownictwie, saperce, zmieniać rodzaje broni, a po pięciu latach, nie później, poszukać etatu kaprała i wbić się na kurs podoficerski.

Podoficerowie Wojsk Lądowych, najbardziej cierpliwi, od kilku lat oczekują – wcale nie biernie – na udzielenie „drogi kariery”. Chcą awansować, rozwijać się, pędzić naprzód, niezależnie od tego, czy to będzie amerykański highway, czy polska ścieżka prowadząca od stanowiska dowódcy Rosomaka, następnie drużyny, pomocnika w plutonie i szefa kompani, aż po awans na sam szczyt, na stanowisko sierżanta majora. Bez zbaczania na kolejnych etapach do magazynów czy do biura. Podobno jest nadzieja – nie pierwsza – na satysfakcjonujące rozwiązania...

Niektórym liderom korpusu zabrakło jednak cierpliwości. Jakby wbrew wszelkiej logice, nie czekając na zmiany, rzucili kwitami lub ruszyli szturmem na kursy oficerskie. Nie podzielam optymizmu wysokich przełożonych, wyrażających publicznie satysfakcję, że ambitni chorążowie myślą o awansie i dalszym rozwoju. Oni myślą o rodzinach! Plutonami dowodzili przecież dawno temu, żaden z nich nie zostanie już generałem, więc co za kariera?



Przyszły czasy, w których zarówno wąsаты szef kuchni, jak i bezbłędny przeciwpancerniak z pewnością czuliby się w wojsku zagubieni. Ironia losu polega na tym, że również ich następcy, współcześni sierżanci i chorążowie, usiłujący realizować ambitne plany, dość często tracą grunt po nogami. ■

| AFGANISTAN |

OBECNOŚĆ

O B O W I A Ź K O W A

Jeszcze nie dostrzegamy wszystkich skutków
wysłania żołnierzy do Afganistanu. I nie wyciągamy właściwych wniosków
z tego, czego się tam nauczyli.



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
ARTUR GOŁAWSKI
BOGUSŁAW POLITOWSKI



→ OBECNOŚĆ O B O W I A Ź K O W A

Misja afgańska zmienia nasze wojsko bardziej niż zaangażowanie w Iraku. To właśnie tam budowana jest wartość polskich żołnierzy i dowódców. To tam zadebiutowały Rosomaki, tam po raz pierwszy artylerzyści strzelali do realnych celów i tam nasi żołnierze poznali w praktyce sieciocentryczne pole walki. To w Afganistanie zaczęliśmy po raz pierwszy wydawać własne pieniądze na pomoc rozwojową i humanitarną. To ta misja wykazała potrzebę istnienia wojskowego zespołu fotograficznego Combat Camera, dokumentującego trud żołnierzy. I to ona skłoniła polityków do uchwalenia ustawy o weteranach, skodyfikowania w innym dokumencie zasad użycia siły, a także do podwyższenia należności za udział w ryzykownej ekspedycji oraz uznania praw rodzin poległych do zadośćuczynienia.

Siły zbrojne – które biorą udział w realnych działaniach, a nie w symulowanych – właśnie w Afganistanie wychowują nowe pokolenie wojowników. Służący tam żołnierze nie mieli możliwości wymiany doświadczeń z tymi, którzy odbyli dekadę wcześniej manewry w Drawsku Pomorskim. Bo co dla tych ostatnich znaczyłyby terminy: sieciocentryka, biometria, HUMINT (Human Intelligence), JTAC (Joint Terminal Attack Controller), łączność satelitarna i samoloty bezzałogowe? Kojarzyliby je z fantastyką wojsko-

wo-naukową. A przecież dla coraz liczniejszej rzeszy młodych wojskowych są to znane z tej misji narzędzia i metody pracy, które powinny zostać upowszechnione w koszarach.

KOMPLETOWANIE ARSENAŁU

Wyposażenie żołnierzy w Afganistanie bardzo się zmieniło. Widać, że umiemy uczyć się na błędach – w Iraku w 2003 roku nasz kontyngent startował z Honkerami, skończył z opancerzonymi HMMWV. W Afganistanie zaczynał od patrolowania terenu w lekko opancerzonych HMMWV, miał ich 138; teraz



korzysta z najbardziej zaawansowanych i najlepiej opancerzonych transporterów, jakie kiedykolwiek zostały użyte w jakimkolwiek konflikcie. Generał brygady **Janusz Adamczak**, w trakcie czwartej zmiany kontyngentu zastępca do spraw koalicyjnych dowódcy Sektora „Wschód” ISAF, ocenia, że misja wykazała bezapelacyjnie przydatność transportera Wojsk Lądowych. „Nieźle właściwości jezdne, wyposażenie w elektronikę i urządzenia obserwacyjne, a także siła ognia i skuteczność uzbrojenia stały się legendą wśród rebeliantów”.

W czasie kolejnych zmian w kontyngencie pojawiły się pożyczone od Amerykanów uodpornione na miny i zasadzki wozy Cougar. Z kraju dosłaliśmy grupę powietrzną ze śmigłowcami Mi-24 i Mi-17, armatohaubice Dana z zestawem radiolokacyjnym Liwiec, bezzałogowe Orbitery, roboty inżynierskie, granatniki automatyczne MK-19 oraz armaty przeciwlotnicze ZU-23-2. Cały czas przybywało osprzętu optoelektronicznego i radiostacji.

Po rozpoczęciu siódmej zmiany pozbyto się HMMWV, które żołnierze krytykowali za słabe zabezpieczenia przeciw zasadzkom. Polski kontyngent wojskowy miał już wtedy sto bojowych Rosomaków i dziesięć ambulansów na podwoziu rodzimego transportera oraz około czterdziestu Cougarów. W jego arsenale znalazło się też kilkanaście wielkokalibrowych karabinów Tor, kilka oświetlaczy celów naziemnych oraz 160 nowych jednostrzałowych granatników GPBO-40 i GSBO-40. Poprawiło się wyposażenie żołnierzy (uniwersalne kamizelki ochronne, ubiory bojowe dla piechocińców i strzelców pokładowych), na Rosomakach zawisły siatki przeciw granatom kumulacyjnym, wewnątrz zamontowano dodatkowe radiostacje i przyrządy nocne dla kierowcy, saperzy dostali najnowsze wykrywacze min.

Na sprzęt i wyposażenie żołnierzy tej misji w latach 2007–2011 resort obrony wydał niemal dwa miliardy złotych.

„Broń, którą tam dysponujemy, jest wystarczająca, jeśli chodzi o przeciwnika, z jakim walczymy. Ulepszenie arsenału było stopniowe”, akcentuje młodszy chorąży **Wojciech Jackowski**, pomocnik dowódcy plutonu w 3 Kompanii Zmechanizowanej 1 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej w 17 Brygadzie Zmechanizowanej. „Jego tempo zależało od stanu finansów MON. Ten proces nigdy nie powinien się skończyć, bo będą kolejne misje”.

„Po zaangażowaniu się w wojnę w Afganistanie dostrzegaliśmy potrzebę rozwoju rozpoznania ogólnowojskowego i specjalistycznego. Mamy już pododdziały rozpoznania osobowego, a teraz zyskaliśmy doświadczenia w wykorzystaniu sprzętu nasłuchowego czy bezzałogowców”, docenia generał **Adamczak**, obecnie dowódca 11 Dywizji Kawalerii Pancernejskiej. „One mocno rozwinęły nasze możliwości prowadzenia rozpoznania radioelektronicznego i obrazowego”.

SLABA STRONA PANCERZA

W wyniku dozbrajania kontyngentu sformowaliśmy najlepiej uzbrojoną brygadę Wojsk Lądowych. Korzysta ona jednak z wielu systemów i urządzeń udo- ➔

COMMENT



JERZY BIZIEWSKI

Doświadczenia wyniesione z tej misji są dla wojska bezcenne. Zmiany zaszły na wszystkich poziomach dowodzenia. Należy docenić dowódców drużyn, plutonów i kompanii. Spotkali się oni w Afganistanie z wyzwaniem, do których trudno przygotować ich w kraju. Czasami młodych dowódców nazywano „strategicznymi porucznikami”, bo od ich sukcesów lub porażek mógł zależeć los całej operacji. Dzisiaj ci doświadczeni dowódcy mają coś, co stanowi o nowej jakości armii: są samodzielni, odpowiedzialni, wykazują inicjatywę.

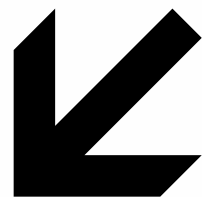
Udział w misji ISAF i problemy wynikające z formowania kontyngentów przyspieszyły także likwidację poboru. Zmiana ta podnosi poziom przygotowania formowanych zespołów, bo trzonem kontyngentu jest brygada ogólnowojskowa, wzmocniona ochotnikami z innych jednostek.

2 Korpus Zmechanizowany jest cały czas zaangażowany w tę misję. Uzyskujemy w ten sposób wiele cennych doświadczeń. Ponad 90 oficerów i podoficerów Dowództwa 2 KZ służyło w Afganistanie, a kolejni szykują się do wyjazdu.

Cieszy mnie, że liczy się nie tylko na militarny wymiar operacji, lecz także zwraca się uwagę na wsparcie miejscowych władz oraz pomoc ludności. Można na przykład rozpocząć współpracę na poziomie województw polskich z prowincją Ghazni poprzez sponsorowanie studiów dla młodzieży i urzędników stamtąd pochodzących. Nauczylimy się publicznie wyrażać szacunek do swoich poległych i rannych. Kiedyś straty nie były nagłaśniane, a dowódcy nie utrzymywali stałych kontaktów z rodzinami poległych i rannych. Dzisiaj o tych ludziach się pamięta.

Uważam, że poprawie powinny ulec między innymi dyscyplina w kontyngencie oraz skuteczność wywiadu i rozpoznania.

Generał dywizji doktor **Jerzy Biziewski** jest dowódcą 2 Korpusu Zmechanizowanego. W latach 2007–2008 dowodził drugą zmianą polskiego kontyngentu w Afganistanie.



TO WŁAŚNIE
W MISJI
AFGAŃSKIEJ
PO RAZ
PIERWSZY
UŻYTO
ROSOMAKÓW

stępnionych przez Amerykanów na mocy umowy ACSA (Acquisition and Cross Servicing Agreement), których w kraju nie potrzebujemy, na które nas nie stać lub których nie umiemy kupić: Blue Force Tracking, biometrycznych rejestratorów HII-DE, pojazdów oczyszczania dróg, patrolowców MRAP, balonu obserwacyjnego, robotów Packbot Fastac.

Doświadczenia zdobyte w posługiwaniu się pożyczonym sprzętem po zakończeniu ekspedycji pójdą w niepamięć. Nic na to nie poradzimy. Powinniśmy jednak zadbać o to, by przyspieszyć wdrażanie wypracowanych w tej misji wniosków dotyczących własnego sprzętu. Trudno bowiem uznać ten proces za zadowolający. Na przykład potrzebę posiadania własnych opancerzonych ciągników siodłowych Dowództwo Operacyjne Sił Zbrojnych zgłosiło już w 2009 roku, a do dziś nie zostały one kupione. Przeciąga się procedura pozyskania ciężkich kołowych wozów ewakuacji technicznej potrzebnych do ściągania do baz uszkodzonych Rosomaków. Długo trwa doposażenie śmigłowców w system obrony bierniej i wielolufowe karabiny maszynowe.

„Muszą minąć nawet dwa lata, aby postulaty zostały zrealizowane”, ubolewa generał brygady **Sławomir Wojciechowski**, dowódca dziewiątej zmiany. „W niektórych przypadkach nie widzę na to żadnych szans. Dotyczy to na przykład wymiany foteli absorbujących i zmniejszających energię wybuchu, a także czteropunktowych pasów dla żołnierzy desantu w Rosomakach”.

Przedstawiciele DOSZ tłumaczą, że nowych foteli i pasów nie udało się wprowadzić w 2011 roku ze względu na „ograni-

czenia czasowe oraz problemy techniczne”. Nowy termin rozpoczęcia modyfikacji Rosomaków to wiosna 2012 roku.

„Dobrze, że ulepszyliśmy arsenał, bo brakowało nam nowoczesnego sprzętu w Iraku i na początku w Afganistanie. Od rozpoczęcia misji afgańskiej wiele się mówi o sposobach poprawienia bezpieczeństwa. To bardzo ważne, ale musimy pamiętać, że jesteśmy tam nie po to, by chronić żołnierzy, lecz by wykonać uzgodnione z sojusznikami zadania – to sens tej misji. Jeśli chcemy, aby żołnierze się nie narażali, to niech zostaną na poligonach”, podkreśla pułkownik rezerwy **Piotr Łukasiewicz**. Były pełnomocnik MON do spraw Afganistanu zwraca uwagę na paradoks wojny przeciwpartyzanckiej: im mniej wojska opancerzonego, im mniej wież strażniczych i murów, tym bliższe relacje z ludnością, większe bezpieczeństwo i trwalsze sukcesy stabilizacyjne.

AKTYWNOŚĆ RÓWNOLEGLA

Dlatego **Łukasiewicz** proponuje: ujmijmy żołnierzom pancierza, spróbujmy działać inaczej, naśladujmy Holendrów, którzy wysyłali w teren patrole na rowerach, a zabudowania przeszukiwali tak, by nie zastraszać tubylców i nie pogarszać relacji z nimi, ale wciąż łapali rebeliantów. „Jeśli chcemy mniej ingerować w życie wsi i miasteczek, używajmy tak jak Holendrzy bezzałogowców do sprawdzania, czy inwestycje zespołów CIMIC/PRT zostały wykonane. Bez jeżdżenia na miejsce, mierzenia rur, oglądania ścian. Bez narażania żołnierzy i osób postronnych, za to z okazywaniem zaufania Afgańczykom”.

KRES ZAUWAŻALNEJ

Żołnierze z polskiego kontyngentu wzięli udział w marcu 2002 roku w kierowanej przez Amerykanów antyterrorystycznej operacji „Trwała wolność”.

Kontyngent tworzyli saperzy, logistycy i ich ochrona. Najpierw działali w bazie Bagram, zajmując się jej oczyszczaniem z przedmiotów niebezpiecznych, następnie znaleźli się w Mazar-e-Sharif i Kabulu. Nieliska liczebność naszego zespołu (100–150 żołnierzy) utrzymała się do wiosny 2007 roku. Przez dziesięć zmian „Trwałej wolności” przewinęło się około 1,3 tysiąca Polaków. Pewna urzędniczka resortu obrony zauważyła, że byliśmy wtedy w Afganistanie „zauważalnie nieobecni”.

Powodem było utrzymywanie dużego polskiego kontyngentu w Iraku. Gdy zaczęliśmy ograniczać obecność nad Zatoką Perską, rząd postanowił przesunąć zluźnione siły do najważniejszej operacji NATO. Politycy zrozumieli, że w Afganistanie mamy ważniejsze interesy polityczne. Dbamy o nasze bezpieczeństwo, choć trudno to wytłumaczyć laikom.

Doświadczenia zebrane przez saperów i logistyków w „Trwałej wolności” pozwoliło lepiej przygotować kontyngenty wysyłane do ISAF. W Afgani-

nie nasi zameldowali się jesienią 2006 roku. Na północy kraju, razem ze Szwedami, Niemcami i Amerykanami, pomagali szkolić pododdziały afgańskie. Wtedy też ruszyły w Polsce przygotowania do wysłania do wschodniego Afganistanu tysięcznowosobowego kontyngentu, od którego zmiany zaczęliśmy liczyć na nowo.

Czas „zauważalnie nieobecności” skończył się wiosną 2007 roku. Pierwsze duże zgrupowanie zostało podzielone na trzy zespoły bojowe i podporządkowane dowództwu amerykań-

ZA MISJĘ AFGAŃSKĄ 94 ŻOŁNIERZY OTRZYMAŁO KRZYŻ WOJSKOWY, 199 WOJSKOWY KRZYŻ ZASŁUGI Z MIECZAMI

„Operacja przeciwpartyzancka wymaga kontaktu z ludnością”, przynajmniej general brygady Andrzej Reudowicz, dowódca ósmej zmiany. „Wiedza o tym jest coraz powszechniejsza na wysokich i najniższych szczeblach dowodzenia. Zrozumieliśmy, że dziś nie wystarczy zniszczyć, rozbić, opanować. Musimy budować przyjazne i bezpieczne środowisko społeczne, czyli równolegle działać na płaszczyźnie bojowo-wojskowej i rozwojowo-cywilnej”.

Od połowy 2008 roku, kiedy przejęliśmy odpowiedzialność za prowincję Ghazni i powstał tam zespół specjalistów PRT (Zespół Odbudowy Prowincji), na pomoc rozwojową finansowaną z kasy Ministerstwa Spraw Zagranicznych wydaliśmy około 55 milionów złotych. Pozwoliło to zrealizować 120 przedsięwzięć, w tym: 72 projekty infrastrukturalne (drogi, mosty, studnie, bazy, hydroelektrownie, sieć energetyczna, oczyszczalnia ścieków, budynki użyteczności publicznej); 23 projekty szkoleniowe (szkolenia urzędników, sędziów, prokuratorów, aktywizacja zawodowa, nauka pisania, czytania, informatyki); 25 projektów wyposażeniowych (szkoły, administracja, szpitale, biblioteki, media).

Wszystkie wymienione projekty zostały wykonane przez afgańskich przedsiębiorców na wniosek miejscowych społeczności, w porozumieniu z władzami lokalnymi. Są zgodne ze strategią rozwoju państwa i prowincji.

Na rok 2012 MSZ przyznało 23 miliony złotych, za które zespół PRT chce wykonać 35 projektów.

General Reudowicz, kierujący Centrum Dowodzenia DOSZ, uważa, że korzyści dla wojska płynące z udziału w tej misji są →

NIEOBECNOŚCI...

skiemu. Odwdzięczyliśmy się w ten sposób sojusznikom, bo zapewniali nam środki transportu morskiego i lotniczego, dostawy paliwa i żywności oraz udostępnili samochody opancerzone.

Rozrzucenie żołnierzy po bazach Bagram, Ghazni, Sharana, Gardez, Wazah-Khwa i Kandahar miało wadę: trudno było zapewnić skuteczne dowodzenie pozaoperacyjne kontyngentem. Ówczesny minister obrony narodowej uzgodnił więc z sekretarzem obrony Stanów Zjednoczonych, że skoncentrujemy siły w jednej prowincji sektora zarządzanego przez Amerykanów i przejmemy z ich pomocą odpowiedzialność za sytuację w Ghazni. Ko-

masacja, połączona ze zwiększeniem kontyngentu, nastąpiła w 2008 roku. W zmianach siódmej, ósmej i dziewiątej osiągnął on maksymalną liczebność, około 2,6 tysiąca ludzi. Stał się jednocześnie szóstą co do wielkości częścią ISAF.

W piątej zmianie Siły Powietrzne wystawiły 70-osobowy komponent, który kierował działalnością portu lotniczego w Kabulu. Od 2010 roku utrzymują w Afganistanie jeden transportowiec C-295M, obsługujący kontyngent i realizujący przewozy na rzecz koalicjantów.

Redukowanie zaangażowania militarnego Polski w Afganistanie spodziewane jest od zmiany dwunastej. Zada-

nia kontyngentu mają być wtedy głównie szkoleniowe, coraz mniej bojowe. Już teraz w misji szkoleniowej NATO Training Mission – Afghanistan (NTM-A) 70 naszych żołnierzy szkoli afgańskich policjantów. A w inne formy szkolenia tamtejszych żołnierzy i policjantów zaangażowani są następni.

General brygady **Janusz Adamczak** uważa, że zapowiadane przez polityków na 2014 rok wycofanie nie oznacza, że państwo to nie będzie już wspierane przez koalicję. „Spodziewam się dalszego udzielania pomocy, głównie dotyczącej szkolenia i doradzania afgańskim armii i policji”. Podobnego zdania jest wielu uczestników tej operacji. ■



nie do przecenienia. „Tam codziennie potwierdzamy zdolność do działania w środowisku międzynarodowym”.

„Współpraca z innymi, możliwość sprawdzenia systemów dowodzenia to nieocenione doświadczenie”, zgadza się generał **Adamczak**. „Nie można go nabyć na placach ćwiczeń czy wyuczyć z książek”.

Zdaniem generała **Wojciechowskiego** korzystne są doświadczenia z udziału w sojuszniczym planowaniu i organizacji współdziałania, zrozumienie relacji dowodzenia w siłach wielonarodowych, opanowanie wymiany informacji rozpoznawczych i wywiadowczych, nauka kierowania akcjami w czasie rzeczywistym i typowania celów uderzeń. „Należy je dostrzec

i wykorzystać. Nie wolno traktować ich wyłącznie jak chwilowego, misyjnego odstępstwa od normy, jaką jest rutynowe szkolenie do obrony ojczyzny. Przydadzą się w każdej operacji: obronnej i ekspedycyjnej”.

UZBROJENI W WIEDZĘ

Zdaniem naszych rozmówców misja afgańska pokazała, że powinniśmy jak najszybciej ulepszyć system zarządzania polem walki. Kierunek jest oczywisty: sieciocentryczność, zdolność do działania w czasie rzeczywistym. A więc informatyzacja, bo liczba gromadzonych informacji i potrzeby ich analizy są ogromne, dlatego sztaby się rozrastają. Uzbrojeni w wiedzę



GWIAZDY AFGANISTANU WNIOSKI O PRYZNANIE **21 053** ODZNACZENIA NADANE **18 060**



nie musimy walczyć powierzchniowo, „na hektary”. Możemy precyzyjnie uderzać niewielkimi siłami, jeśli wiemy, gdzie i w kogo. Stąd następny wniosek: inwestujemy w precyzję rozpoznania i rażenia w bardzo ograniczonym czasie.

„Niestety, wciąż za mało z tego, co robimy i jak działamy w Afganistanie, przenosimy na grunt sił zbrojnych”, zauważa generał **Wojciechowski**. „To wina przekonania, że «tam jest inaczej, a w kraju to co innego»”.

Przykład: tylko w Afganistanie nasi żołnierze mają szansę uczestniczyć w działaniach w środowisku sieciocentrycznym. W kraju wciąż jedynie z tym eksperymentujemy, choć już w styczniu 2013 roku powinniśmy mieć co najmniej jeden ba-

talion „cyfrowy”, wyposażony w nowy system dowodzenia i wytrenowany w jego obsłudze. Na razie sieciocentryczność w Wędrzynie i Międzyrzeczu żołnierze ćwiczą mentalnie, korzystając z sieci stacjonarnych.

Trzeba jak najszybciej postawić kropkę nad „i” – wybrać, kupić i wdrożyć odpowiednie oprogramowanie do dowodzenia na szczeblu taktycznym oraz radiostacje szerokopasmowe. A następnie szkolić operatorów w używaniu Battle Management System.

Możemy być pewni, że łącznościowcy i informatycy poradzą sobie z wyzwaniem – między innymi dzięki doświadczeniom z Afganistanu, gdzie rozwinęli umiejętności z planowania systemów teleinformatycznych w skomplikowanych operacjach wielonarodowych. Sprzęt mają niezły: w Afganistanie codziennie korzysta się z polskiej produkcji radiostacji taktycznych UKF z rodziny PR4G i amerykańskich KF typu Harris oraz rodzimych terminali satelitarnych PPTS 1,8 Fikus. We wszystkich naszych bazach systemy spina Jaśmin, działa nawet resortowy MIL-WAN. To w Afganistanie nasi żołnierze zaczęli używać radiostacji szerokopasmowych UKF, pracujących także w kanałach satelitarnych – w górzystym terenie tego kraju taka łączność okazała się niezawodna.

„Po przejściu odpowiedzialności za Ghazni po raz pierwszy w historii sił zbrojnych uruchomiliśmy podsystem cyfrowej łączności utajnionej poza granicami kraju”, wskazuje major **Wiesław Kras** z DOSZ. „Pozwoliło to na prowadzenie rozmów telefonicznych o treści do klauzuli «poufne». W rozwiniętej tam sieci WAN-SEC dowódcy i sztabowcy mogą wymieniać się z dowództwami w kraju danymi do klauzuli «tajne»”.

PIERWSZEŃSTWO DO AWANSU

Doświadczenie z formowaniem kolejnych zmian pokazuje, że roczny okres przygotowań kontyngentu do trudnej misji jest za krótki. „Rok to teoria”, przyznaje generał **Wojciechowski**. „Faktycznie – z powodu dodatkowych zajęć – ćwiczymy około pięciu miesięcy. Trzeba okres szkoleń wydłużyć albo przestrzegać ustalonego toku przygotowań”. Decydenci w Warszawie powinni rozważyć zasadność jego wydłużenia.

Trzeba też inaczej potraktować fazę kompletowania pododdziałów, bo dowódcy kolejnych zmian kontyngentu mieli kł-

ARTUR WEBER



pot z ustaleniem, kto na misję jedzie, a kto nie. Kandydaci wykuszali się i wykuszają nawet w ostatnim miesiącu przed wylotem. Zwykle ze względu na sprzeciw rodzin i orzeczenia komisji lekarskich wykluczające służbę w trudnych warunkach. Pojawiają się wtedy trudności ze znalezieniem zastępców, którzy nie musieliby poznać obowiązków i towarzyszy broni dopiero w Ghazni.

Wykruszenia to jeden z powodów, dla których na misję nadal nie wyjeżdżają jednolite pododdziały i w każdej turze kontyngent wciąż tworzy kilkanaście jednostek. A przecież wykruszenia jest łatwiej ograniczyć niż zapotrzebowanie kontyngentu na specjalistów, którzy na szczelbu brygady nie występują (dlatego nigdy nie uda się wystawiać na misję stuprocentowo jednolitego kontyngentu).

„Dojrzeliliśmy do tego, żeby wyjazd na misję był dla żołnierzy obligatoryjny”, postuluje generał **Andrzejczak**. Usankcjonowanie przepisu ustawowego kadrową praktyką misyjną ułatwiłoby przygotowywanie pododdziałów, a zwłaszcza pozwoliłoby na szybką weryfikację, kto jest żołnierzem, a kto minął się z powołaniem. „Nie powinniśmy już spędzać miesięcy na kompletowaniu kontyngentów, ciągnących się badaniach i certyfikacjach”, twierdzi dowódca 17 BZ. „Jeśli ktoś decyduje się na służbę w zawodowej armii, musi godzić się z tym, że czeka go misja. A jeśli pojedzie tam i się sprawdzi jako szeregowy, podoficer czy oficer, to powinien mieć pierwszeństwo w kierowaniu na kursy i awansowaniu”.

Warto rozważyć, zgłaszany już po misji irackiej, pomysł usankcjonowania zasad awansowania sprawdzonych w boju żołnierzy. Bywa bowiem tak, że do góry pną się ci, którzy nawet nie udają, że chcą jechać na misję. Gdy zostają w kraju, łatwo im objąć zwalnającą się akurat posadę. Nieobecni – służący na misji – nie mają szans, bywają pomijani w wyróżnieniach i nagrodach. Jak ubolewa sierżant **Arkadiusz Mendel** z 2 Pułku Saperów: „Pokutuje opinia, że «misjonarze i tak się kasy nachapiają»”.

ODEJŚCIE OD RUTYNY

Koledzy sierżanta **Mendla** wskazują, że dotąd nie wiemy, jak wykorzystać w szkoleniu umiejętności, które nabyli na wojnie dowódcy niższych szczebli: zdolność do szybkiej adaptacji i działania w ekstremalnych warunkach, rozumienia wielowymiarowego środowiska walki.

Starszy chorąży sztabowy **Jan Sabiło**, pomocnik do spraw podoficerów dowódcy 11 DKPanc, przyznaje, że uczestniczenie w patrolach i operacjach pozwala zamienić wiedzę teoretyczną na doświadczenie praktyczne. W trakcie szkolenia w kraju żołnierze na tym szczeblu nie mają do dyspozycji wsparcia z powietrza, nie ćwiczą współdziałania z saperami, snajperami oraz arty-

lerią. Poza tym strzelania specjalne wciąż prowadzone są tylko przed wyjazdem na misję, w rutynowym szkoleniu królują niepodzielnie dawne zajęcia na strzelnicy i stare programy. Powód: względy bezpieczeństwa.

„Dowódcy, którzy sprawdzili się na misji, często są traktowani w kraju jak niepotrzebni”, przyznaje starszy chorąży sztabowy **Sabiło**. „Jeśli służyli w niemacierzystym pododdziale, nikt im po misji nie zaproponuje awansu. Najczęściej zostają tam, gdzie służyli, bo się sprawdzili. A jeśli już dochodzi do zmiany stanowiska, to z powodu procedur kadrowych dowódca drużyny zmechanizowanej nie awansuje na kolejne stanowisko dowódcze, lecz trafia do logistyki lub kancelarii, co zupełnie odrywa go od dowodzenia. Wszyscy i tak wiedzą, że gdy przyjdzie następna misja, można będzie go skierować do Afganistanu”.

Młodszy chorąży **Jackowski**: „Trudno jest się przestawić po powrocie, bo pewnych rzeczy, które mogliśmy robić na misji, w kraju nie da się powielić w czasie szkolenia. Co nie znaczy, że trzeba jeździć do Afganistanu, by się szkolić na nowoczesnym poziomie, ale ta misja jest tylko zwieńczeniem etapu naszego doskonalenia”. **Jackowski** uważa, że powinniśmy wykorzystać doświadczenie poszczególnych żołnierzy: tworzyć z nich dobre drużyny, plutony, kompanie, tak aby tworzyli sprawne bataliony, potrafiące wykonać najbardziej skomplikowane zadania.

Z WIDOKIEM NA FINISZ

Przy okazji wprowadzania uwzględniających wnioski z misji zmian w regulach kadrowych warto doprowadzić do tego, żeby kluczowi dowódcy i funkcyjni kontyngentu (z komórek wywiadu, rozpoznania, CIMIC, PRT) przebywali na zmianie dłużej niż koledzy z pododdziałów bojowych, co najmniej dziewięć miesięcy. „Bo najpierw przez dwa miesiące poznają specyfikę misji, a później – przy czym tura jest półroczna – już widzą finisz i chcą wrócić do ojczyzny bez strat”, wylicza **Piotr Łukasiewicz**. „Po wydłużeniu czasu służby można liczyć, że wzrośnie skuteczność działań dowództwa i komórek specjalistycznych. Poznają teren, sojuszników, przywódców tubylców. Będą sprawniej się między nimi poruszać”.

Z powodu różnic w potencjałach osobowych i sprzętowych związki taktyczne Wojsk Lądowych w różnym stopniu angażują się w ramach misji afgańskiej. Jednostki rozwinięte i specjalistyczne są bardziej eksploatowane, jednostki o niższym ukończeniu i ogólnowojskowe wystawiają mniejsze komponenty. Pogłębiają się tym samym różnice w doświadczeniu, wyszkoleniu, sytuacji materialnej i mentalności wśród żołnierzy. Jak dostrzega generał **Wojciechowski**, zastępca szefa Zarządu Planowania Operacyjnego – P3 w SGWP: „Istnienie armii klasy A, B i C stało się faktem”.

COMMENT



GENERAŁ
**ANDRZEJ
REUDOWICZ**

CODZIENNIE
POTWIERDZAMY
TO, ŻE POTRAFIMY
DZIAŁAĆ
Z ŻOŁNIERZAMI
INNYCH ARMII

JAKIE MIELIBYŚMY WOJSKO, GDYBY NASI ŻOŁNIERZE NIE BYLI W AFGANISTANIE: DEFILADOWE CZY BOJOWE?

Można się zastanawiać, czy dotychczasowe misje nie „odwojskawiają” nam wojska. Zamiast bowiem doskonalić obronę, natarcie, przegrupowanie czy maskowanie, przydatne w operacji obronnej, pododdziały wykonują na co dzień patrole, konwoje, wystawiają posterunki, szkolą miejscowych żołnierzy i policjantów w taktyce przeciwpartyzanckiej, zajmują się działalnością CIMIC albo akcjami „otocz i przeszukaj”. Do tego dochodzi tropienie i unikanie improwizowanych ładunków wybuchowych.

Generał **Andrzejczak** nie zgadza się z tezą, że żołnierze nabierają złych nawyków bojowych. Wylicza, że czas przygotowań do misji wypełniają kursy, ćwiczenia, manewry poligonowe, rekonesanse oraz faktyczna służba w Afganistanie. „Rzeczywiście, nie mamy w tym czasie możliwości, żeby ćwiczyć to, co wciąż pozostaje głównym zadaniem – walkę konwencjonalną. Ale się nie «odwojskawiamy». Nasi artylerzyści strzelają w Afganistanie w podobny sposób, w jaki walczyliby dziś w Polsce. A kontrolerzy naprowadzania JTAC, którzy potrafią wezwać amerykańskie wsparcie z powietrza w Afganistanie, będą wiedzieli, jak pokierować polskiego pilota F-16 w kraju”.

Dowódca 17 BZ wskazuje jednak, że trzeba inaczej zdefiniować oczekiwania wobec jednostek wystawiających kolejne zmiany. „Warto przyjąć amerykański model szkolenia do operacji łączących działania humanitarno-stabilizacyjne z bojowymi. Kłopotów może nastreczyć przygotowanie scenariuszy szkolenia, które dadzą się wykorzystać do treningu działań konwencjonalnych, ale innych możliwości nie ma”.

Generał **Adamczak** ocenia, że asymetryczne działania przeciwnika zmuszają koalicję do nieustannej adaptacji do zmieniających warunków walki. „Dzięki temu rozwinęły się wyposażenie oraz taktyka polskich jednostek. Choć jako siły zbrojne przygotowujemy się głównie do obrony ojczyzny, to poznanie działań przeciwb rebelianckich w połączeniu z praktykowaniem

działań konwencjonalnych wzbogaca potencjał bojowy Wojska Polskiego”.

Dowódca 11 DKPanc uważa, że największym wyzwaniem jest i pozostanie rozwój logistyki ekspedycyjnej. Nadal jesteśmy mocno zależni w tej dziedzinie od wsparcia koalicjantów i trzeba to zmieniać. „Inwestycje w zdolności logistyczne zwiększą naszą gotowość do prowadzenia wojny konwencjonalnej”.

SKUTECZNE WSPARCIE

Misja afgańska zmieniła podejście polityków do zasad użycia siły. Bezpośrednio przyczyniła się do tego sprawa ostrzelania przez naszych żołnierzy wioski Nangar Khel w 2007 roku. Choć już w czasie pierwszych zmian kontyngentu w Iraku prawnicy wojskowi sygnalizowali, że warto umocować Rules of Engagement w ustawie, to do grudnia 2010 roku podstawą RoE były ratyfikowane umowy międzynarodowe oraz akty wydane przez organy organizacji międzynarodowych, którym jednostki wojskowe podporządkowano na czas operacji.

Teraz mamy umocowanie krajowe. Nowelizacja ustawy o zasadach użycia sił zbrojnych daje żołnierzom poczucie prawnego bezpieczeństwa w sytuacjach, w których muszą zastosować przemoc w celu innym niż samoobrona. Ustawa nie zwalnia przy tym żadnego z nich z dbałości o legalność użycia siły.

Zmiany pochwała generał **Adamczak**: „W skrajnie nieprzyjaznym środowisku, gdzie zagrożenia czyhają na każdym kroku, żołnierz musi mieć maksymalny komfort działania i nie myśleć o prawnych niuansach użycia broni”.

Dowódcy postulują, by rozważyć zwiększenie liczby szkoleń pozwalających wojskowym zrozumieć mechanizmy powstawania stresu pola walki. „Przed wyjazdem każdy rozmawia z psychologiem, mamy pomoc specjalistyczną w czasie misji, ale przeżycia bojowe zostają na długo i mogą dawać o sobie znać już po powrocie z wojny”, ostrzega generał **Andrzejczak**. „Zarówno w pododdziałach bojowych, jak i zabezpieczenia. Wciąż nie uświadomiamy sobie tego, co wojna robi z naszą psychiką. Edukujemy więc dowódców wszystkich szczebli”.

Pod wpływem procesu żołnierzy oskarżonych o bezprawne ostrzelanie Nangar Khel wojskowa ustawa pragmatyczna zyskała ważny artykuł 68a. Na jego mocy żołnierzom przysługuje zwrot kosztów poniesionych na pomoc prawną w sprawach o przestępstwo popełnione w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych, pod warunkiem, że postępowanie przygotowawcze wszczęte przeciwko nim zostanie prawomocnie umorzona.

W pragmatyce znalazł się też przepis pozwalający utrzymać w służbie lub przywrócić do niej żołnierzy rannych w misji. Specjalnie dla nich powstała nowa kategoria zdolności zdrowotnej do służby Z/O – zdolny z ograniczeniami.

Doniesienia o stratach osobowych kontyngentu i postulaty rodzin, wspieranych przez prawników, dążących do uzyskania wyższych świadczeń rekompensujących śmierć mężów, ojców lub synów, skłoniły kierownictwo MON do przeglądu uregulowań odnoszących się do poszkodowanych i rodzin poległych żołnierzy. Katalog należności został rozszerzony. A w 23 Wojskowym Szpitalu Uzdrawiskowo-Rehabilitacyjnym w Łądku-Zdroju działa od roku Dom Weterana, zajmujący się leczeniem i rehabilitacją rannych żołnierzy. Wkrótce poszkodowani zaczną być honorowani odznaką „Za Rany i Kontuzje”.

To jedna z najważniejszych korzyści tej operacji. Na wojnie nie można uniknąć tragedii, ale teraz mamy lepsze procedury →



postępowania, przygotowany personel i pieniądze na zajęcie się zarówno rannymi, jak i rodzinami poległych. System opieki nad poszkodowanymi i rodzinami poległych zaczyna nabierać właściwych kształtów.

Główne korzyści polityczne z misji polegają na tym, że w gronie 50 krajów pokazaliśmy, że potrafimy wspólnie przeciwstawić się zagrożeniu o charakterze globalnym. Tylko Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Polska przejęły odpowiedzialność za prowincje i w Iraku, i w Afganistanie. Pomogliśmy – jako część koalicji – przygotować ponad trzysta tysięcy żoł-

nierzy i funkcjonariuszy afgańskich sił, dzięki czemu wiele części kraju zostało już oddanych pod opiekę Afgańczykom. Zaangażowanie w rozwój i wsparcie władz lokalnych poprawiły bezpieczeństwo i pozwalają myśleć o stopniowym wycofaniu ISAF.

Zasłużyliśmy na takie zaufanie Amerykanów – w uznaniu podporządkowali oni dowódcy naszego kontyngentu własny batalion. Zgodzili się także na to, by Polak był zastępcą do spraw koalicyjnych dowódcy Dowództwa Regionalnego „Wschód” – funkcję tę piastowało sześciu polskich generałów.

ARTUR WEBER
głos w NATO był brany pod uwagę, kiedy polityczni liderzy organizacji przyjmowali w Lizbonie nową koncepcję strategiczną sojuszu. Alianci wysłuchali naszej oceny zagrożeń i przystali na zgodną z polskim interesem narodowym potrzebę utrzymania funkcji obrony terytorium traktatowego jako konstytutywnej dla NATO. Innymi słowy, służący w odległym o pięć tysięcy kilometrów Ghazni nasi żołnierze dbali i dbają o bezpieczeństwo oraz pomyślność Rzeczypospolitej.

WYPACZONY OBRAZ MISJI

Polacy na ogół tego nie rozumieją. Oczekują wymiernych, bezpośrednich i najlepiej szybkich korzyści materialnych w zamian za daninę żołnierskiej krwi i wysiłek finansowy podatników. Korzyści, które można pokazać w telewizji, na zdjęciach, ująć w kilku zdaniach wypowiedzi na konferencji prasowej. Niestety, geopolityka jest bardziej skomplikowana od oczekiwań czytelników tabloidów, o korzyściach gospodarczych wynikających bezpośrednio z zaangażowania w ubogim Afganistanie nigdy zaś nie było mowy.

W tej sytuacji media skupiają się na wiadomościach negatywnych, wycinkowych, najczęściej sensacyjnych, wyrwanych

STRATY PRZECIWNIKÓW × ×
W WYNIKU DZIAŁAŃ POLAKÓW: × ×
332 ZABITYCH × ×
245 RANNYCH × ×
793 ZATRZYMANYCH × ×

(STAN Z LUTEGO 2012 ROKU) × ×

Najpotężniejsi sojusznicy przystają na wspólne planowanie i prowadzenie operacji w prowincji, dają dostęp do swoich środków rozpoznawczych, śmigłowców ewakuacji i wsparcia, są otwarci na współpracę pododdziałów specjalnych, komórek wywiadowczych i kontrwywiadowczych. W sporej części sponsorują naszą działalność w Afganistanie, dzięki czemu przez tę misję może przewinąć się więcej żołnierzy, niż bylibyśmy w stanie wystawić własnym sumptem.

Zapomnianą lub w ogóle niedostrzeżoną przez Polaków korzyścią z obecności kontyngentu w Afganistanie jest to, że nasz

z kontekstu. A to wypacza obraz całości tej misji. Generał **Andrzejczak** uważa, że wielu żołnierzom bardziej brakuje w Afganistanie poczucia wsparcia ze strony rodaków niż nowych pojazdów i śmigłowców. „To dobrze, że w ostatnim czasie pojawiają się filmy, programy, książki, które pokazują szerszy obraz tej wojny. Również sama armia powinna być aktywniejsza w mediach i przejmować inicjatywę w informowaniu społeczeństwa”.

Niełatwo będzie jednak przekonać laików o potrzebie naszej obecności w Afganistanie. Po zniesieniu służby zasadniczej wzrosła liczba Polaków, którzy mają coraz bardziej mgliste pojęcie o tym, jakimi prawami rządzą się bezpieczeństwo i obronność.

Żołnierze wiedzą zaś swoje i rozwiewają wątpliwości jednym celnym pytaniem: jakie mielibyśmy wojsko, gdybyśmy tam nie byli: defiladowe czy bojowe? ■

WARTKOBIKORUPCJA

**AFGAŃCZYCY
SĄ ZMĘCZENI
OBECNOŚCIĄ OBCYCH**



Afganistan pozostaje dziś bardziej niestabilny, niż był przed 11 września 2001 roku, gdy talibowie kontrolowali większość terytorium państwa.

JAKUB GAJDA

Siły ISAF liczą ponad 130 tysięcy żołnierzy. Przez minione dziesięć lat zginęło przeszło 2,9 tysiąca zagranicznych wojskowych, zmieniały się składy kontyngentów, tylko w życiu 90 procent Afgańczyków zmieniło się niewiele. Formalnie już drugą kadencję krajem rządzi **Hamid Karzaj**, nieformalnie zaś Afganistan jest sterowany przez skorumpowanych watażków.

Według raportu Transparency International z roku 2011, Afganistan zajmuje 180. pozycję w Indeksie Percepcji Korupcji (Corruption Perceptions Index) i jest trzecim, ex aequo z Birma, najbardziej skorumpowanym krajem świata. Ustępuje jedynie Korei Północnej i Somalii. Choć korupcja zawsze silnie wpływała na afgańską rzeczywistość, w 2005 roku Afganistan zajmował 117. miejsce wśród 158 klasyfikowanych państw. →



AUSTRALIAN DOD

Mimo intensywnej antykampanii w ubiegłym roku o 7 procent zwiększył się areal upraw maku. W 2011 roku afgańscy rolnicy przeznaczyci na nie 131 tysięcy hektarów. Powodem są wyjątkowo wysokie ceny narkotyków.

Korupcja dotyczy nie tylko urzędników afgańskich, którzy na Zachodzie obwiniani są o defraudację ogromnych sum pieniędzy przeznaczonych na pomoc rozwojową i odbudowę. Według szacunków miejscowych mediów tylko 20 procent pieniędzy wydanych na afgańskie projekty przeszło przez ręce Afgańczyków. Nic w tym szokującego, koszty utrzymywania zachodnich „wolontariuszy” są wysokie. Z pomocy zagranicznej niewiele zostaje. Nieźle zarabiają na niej tylko ci Afgańczycy, którzy wynajmują organizacjom pomocowym lokale, karmią wolontariuszy, pracują jako kierownicy, służą kontaktami i ochraniają.

Mimo że corocznie miliony dolarów są przeznaczane na pomoc, poziom życia przeciętnego mieszkańca Afganistanu niewiele się poprawił. Za to w minionej dekadzie niejednego Afgańczyka się na Afganistanie dorobił.

Na szczycie władzy pozostaje prezydent **Hamid Karzaj**, bezradny wobec wewnętrznych impasów politycznych i otaczającej go niechęci. Wybory prezydenckie wygrał w otocze fałszu i zakłamania. Zaufanie społeczne do niego i elity rządzącej jest nikłe.

Zakończenie w 2014 roku misji ISAF i wycofanie międzynarodowych wojsk operacyjnych z pewnością stanie się okazją do manifestacji siły dla wszelkich antyzachodnich i antyimperialistycznych ugrupowań. Dla nich wycofywanie interwencji będzie oznaczało zwycięstwo „dżihadu” nad „zachodnią zgnilizną”. Obiegowe opinie głoszą, że administracja **Karzaja** nie

wytrzyma tej presji, a los prezydenta będzie tragiczny, jeśli nie opuści kraju.

Być może gwarantem stabilności po 2014 roku okażą się stałe bazy amerykańskie i partnerstwo strategiczne. Już teraz ich istnienie zwiastuje jednak w niedalekiej przyszłości burzę. Według dostępnych informacji 50 tysięcy amerykańskich żołnierzy pozostanie skoszarowanych w pięciu bazach rozmieszczonych w głównych punktach Afganistanu. Amerykański przyczółek w sercu Azji nie podoba się nie tylko wojowniczym Pasztunom, lecz także Rosji, Chinom, Iranowi i Pakistanowi.

Według źródeł rządowych i zachodnich mediów rozmowy o ewentualnym procesie pokojowym są zaawansowane. Rzecznik Islamskiego Emiratu Afganistanu (talibów) twierdzi jednak, że nie będzie żadnych rozmów, dopóki wojska USA nie wycofają się z tego kraju. W tej kwestii ludzie mułły **Mohammada Omara** od początku są uparci i konsekwentni.

Oliwy do ognia dolewają takie wydarzenia, jak spalenie w Bagram w lutym 2012 roku egzemplarzy „Koranu” i zastrzelenie 16 cywilów w Kandaharze 11 marca. Ucierpiał na tym nie tylko wizerunek Amerykanów i innych koalicjantów, lecz także rządu **Hamida Karzaja**. Prawdziwy Pasztun nie powinien zezwalać, by na afgańskiej ziemi dochodziło do takiego barbarzyństwa.

Afgańczycy są zmęczeni obecnością obcych i każdy pretekst jest dobry, by zmanifestować niechęć i wrogość do nich. Dzięki bezmyślnemu aktowi z Bagram i zbrodni z Kandaharu talibowie zyskali kolejne atuty w walce o serca i dusze Afgańczyków. Na ulicach Dżalalabadu tłum skandował: „Śmierć Ameryce, śmierć **Karzajowi!** Niech żyje mułła **Omar!**” ■



Chwiejne проценты

Prawie 70 procent ankietowanych jest przeciwko operacji w Afganistanie. Dlaczego Polacy tak radykalnie zmienili do niej stosunek?

KLAUS BACHMANN

Kiedy w 2001 roku rząd **Leszka Millera** przedstawił prezydentowi **Aleksandrowi Kwaśniewskiemu** wniosek o wysłanie żołnierzy do Afganistanu, znaczna większość Polaków była za udziałem w operacji „Trwała wolność”. Media popierały interwencję i trudno było znaleźć nawet polityka opozycji, który nie godził się, aby polscy żołnierzy wsparli amerykańskie i brytyjskie wojska w wojnie z Al-Kaidą i talibami. 69 procent ankietowanych przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej było wówczas za, a prawie 60 procent uważało, że ta wojna skończy się szybkim zwycięstwem państw Zachodu nad talibami.

Po dziesięciu latach nastawienie opinii publicznej jest zupełnie inne. Według ostatnich sondaży ponad 69 procent ankietowanych jest przeciwko udziałowi polskich żołnierzy w operacji w Afganistanie, a prawie 60 procent sądzi, że żadna strona nie wyjdzie z tej wojny zwycięsko. Mniej niż 20 procent jeszcze wierzy w zwycięstwo szeroko rozumianego Zachodu. Nie tylko politycy i partie polityczne, którzy od wyborów prezyden-

kich więcej mówią o wycofaniu się z Afganistanu niż o zwycięstwie, pytają, skąd się bierze ta olbrzymia zmiana w nastawieniu Polaków do afgańskiej wojny.

SPADEK POPARCIA

Coraz mniejsze jest poparcie opinii publicznej dla interwencji militarnej, gdy operacja trwa dłużej, niż tego oczekiwano, pochłania zbyt wiele ofiar i kosztów oraz narastają wątpliwości co do tego, czy nasi żołnierze walczą w słusznej sprawie.

Te wszystkie elementy były widocznie w przypadku wojny, którą Stany Zjednoczone prowadziły w Wietnamie. Dzisiaj można je też obserwować, choć na mniejszą skalę, w naszym kraju, mimo że wojna w Afganistanie wywołała mniej kontrowersji w Polsce, niż ta w Wietnamie w społeczeństwie amerykańskim w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nie było dotąd u nas wielkich manifestacji antywojennych, nie ma też znaczącej pozaparlamentarnej opozycji wobec tej wojny. Większość Polaków w ogóle nie uważa tej sprawy za istotny

aspekt polityki zagranicznej. W 2010 roku jako ważny problem Polski więcej ankietowanych wskazało stosunki z Rosją niż wojnę w Afganistanie.

W sondażach Fundacji na rzecz Studiów Europejskich zadaliśmy Polakom pytanie, dlaczego uczestniczymy w operacji wojskowej pod Hindukuszem. Wszystkie kolejne rządy i ministrowie spraw zagranicznych w oficjalnych deklaracjach po 2001 roku podkreślali, że udział w tej misji służy wzmocnieniu więzi transatlantycznych, a także ma zwiększyć wpływy Polski w Unii Europejskiej i NATO. Można powiedzieć, że ten przekaz był w miarę skuteczny, ponieważ około jednej trzeciej ankietowanych podało w sondażu, że Polska uczestniczy w operacji w Afganistanie po to, by „umocnić pozycję w UE i NATO”, jedna czwarta – by „pomagać USA zwalczać terroryzm”.

Jednocześnie znaczna część ankietowanych nie widzi związku między interesami Polski i obecnością polskich żołnierzy w Afganistanie. Wśród przeciwników operacji afgańskiej przeważają dwie grupy. Jedna podaje jako powód, że „ten konflikt nie ma nic wspólnego z Polską”, druga uważa, że „w tym konflikcie ginie za dużo żołnierzy”. Negatywny stosunek do polskiego udziału w wojnie w Afganistanie nie wynika jednak wprost z liczby ofiar wśród polskich żołnierzy.

Pierwszą ofiarą był porucznik **Łukasz Kurowski**, który zginął w sierpniu 2007 roku. Po jego śmierci 83 procent osób wyrażało niechęć wobec wojny, ale przed tą tragedią ten współczynnik wynosił 72 procent. Później każdy kolejny rok przynosił więcej poległych, co jednak nie wywołało dalszego wzrostu niechęci do misji.

ROZCZAROWANIE WOJNĄ

Wysoki odsetek niechętnych wynika głównie z rozczarowania Polaków udziałem naszych żołnierzy w wojnie w Iraku. Między 2002 i 2006 rokiem dramatycznie spadła liczba respondentów popierających polski wkład w zwycięstwo nad **Saddamem Husajnem**. Od tego momentu Polacy stali się ogólnie niechętni wobec zagranicznych interwencji wojskowych i to dotyczy także wojny w Afganistanie. Nie ma na ten temat szczegółowych badań, ale na pewno przyczyniły się do tego informacje o braku korzyści, jakich się spodziewano we własnej strefie okupacyjnej w Iraku, niezadowolające inwestycje amerykańskie w Polsce i utrzymanie przez władze Stanów Zjednoczonych reżimu wizowego dla Polaków. Pewną rolę odgrywał też aspekt moralny: do inwazji na Irak doszło, aby zneutralizować tam broń masowego rażenia, obalić **Saddama Husajna** i zaprowadzić demokrację. Broni nie znaleziono, a Irak zamienił się ze stabilnej dyktatury w mało demokratyczny i bardzo niestabilny kraj.

W odniesieniu do operacji afgańskiej trudniej jest wskazać na tak jednoznaczne moralne niepokoje wśród ankietowanych, jak w wypadku Iraku. Z badań wynika, że zasadniczo Polacy uważają tę misję za słuszną i zgodną z interesami Rzeczypospolitej. To, że w większości

są jej przeciwni, bardziej wynika z braku wiary w skuteczność działań zbrojnych niż z moralnych wątpliwości.

CIEŃ NANGAR KHEL

Między wrześniem a grudniem 2007 roku bardzo wyraźnie zwiększył się odsetek ankietowanych, którzy byli przeciwko polskiej obecności w Afganistanie. Na ten okres przypadło ujawnienie zarzutów Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Poznaniu wobec siedmiu żołnierzy 18 Bielskiego Batalionu Desantowo-Szturmowego. Wydarzenia związane z ich procesem wyraźnie zmieniły w mediach obraz polskich żołnierzy.

Do końca 2007 roku trudno było dostrzec różnice w przedstawieniu misji przez poszczególne redakcje – temat był niszowy i nie polaryzował mediów. Zmieniło się to pod koniec 2007 roku. Od tego momentu lewicowo-liberalna część mediów („Gazeta Wyborcza”, „Polityka”, TVN) przedstawiała śledztwo i proces w sposób zdystansowany i bez wyraźnych sympatii dla jednej ze stron. Prawicowe media („Rzeczpospolita”, „Nasz Dziennik”, ale też TVP) wyraźnie sympatyzowały z żołnierzami; dawały im i ich adwokatowi więcej miejsca na komentowanie wydarzeń niż przedstawicielom prokuratury. Niektóre komentarze w tych mediach dość jednoznacznie sugerowały nawet, że celem prokuratury jest szykanowanie żołnierzy.

Jeszcze jedno zmienia się w nastawieniu mediów do polskich żołnierzy w Afganistanie: wszystkie gazety, niezależnie od orientacji politycznej, zaczęły poświęcać więcej miejsca losowi cywilów w tym państwie. Po Nangar Khel zaczęto o nich mówić i odtąd wojna w Afganistanie jawiła się jako konflikt, w którym giną i polscy żołnierze, i afgańscy cywile.

Wtedy ten odległy, mało bulwersujący konflikt stał się dla czytelników i widzów kontrowersyjny, moralnie dwuznaczny. Według sondażu CBOS z drugiej połowy 2007 roku tylko 28 procent respondentów uważało zarzuty wobec żołnierzy z bielskiego batalionu za nieuzasadnione, 12 procent deklarowało „wstyd” jako przeważającą reakcję.

Wszystkie rządy polskie od początku starały się przedstawić operację afgańską nie jako wojnę z talibami, lecz misję stabilizacyjną w interesie Afgańczyków, co większość mediów przejęła. Zgodnie z tą interpretacją polscy żołnierze są w Afganistanie po to, by mieszkańcom pomagać. Sprawa Nangar Khel zburzyła ten obraz. Na pytanie, dlaczego Polska angażuje się w Afganistanie, w 2010 roku tylko nieco mniej niż 10 procent ankietowanych jako powód wskazało „pomoc Afganistanowi”. W ostatnim sondażu z 2011 roku takiej odpowiedzi udzieliło już jedynie 5 procent respondentów.

W ten sposób to, co dziesięć lat temu zdecydowana większość Polaków popierała jako słuszną odpowiedź na ataki terrorystyczne, jako wyzwolenie Afgańczyków spod jarzma talibów, dziś w odbiorze społecznym stało się niezrozumiałym konfliktem, w którym giną i osoby chcące pomagać, i ci, którym chcieli pomóc. Nic dziwnego, że mało kto tę misję jeszcze popiera. ■

WIZYTÓWKA



KLAUS BACHMANN

Jest profesorem politologii Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, prezesem zarządu Fundacji na rzecz Studiów Europejskich we Wrocławiu. Dane z sondaży pochodzą z archiwów OBOP i CBOS i z dwóch badań, które OBOP przeprowadził w 2010 i 2011 roku na zlecenie Fundacji na rzecz Studiów Europejskich (www.feps.pl) w ramach projektu finansowanego przez Fundację Stefana Batorego.

Fundacja na rzecz Studiów Europejskich (FEPS) od października 2010 roku śledzi wszystkie informacje dotyczące polskiej misji w pięciu dziennikach – „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, „Naszem Dzienniku”, „Dzienniku Gazecie Prawnej” oraz „Fakcie”. Przez ponad rok, do lutego 2012 roku, ukazały się tam 572 informacje na temat polskiej misji w Afganistanie.

Śmierć żołnierzy, zamachy, ranni – takie dane podają zwykle wszystkie monitorowane tytuły. Próżno jednak szukać rozbudowanych artykułów opatrzonych redakcyjnym komentarzem czy przywołujących opinie ekspertów. Najczęściej informacja o kolejnej polskiej ofierze afgańskiej misji ma postać lakoniczną.

Autorzy nie oceniają, nie interpretują, nie wyrażają swojego zdania o polskim zaangażowaniu w ten konflikt. Wydarzeniem, które przez krótki czas wywołało publiczną debatę, była śmierć pięciu polskich żołnierzy z grudnia 2011 roku. Krytyczne głosy pojawiły się wówczas głównie w „Rzeczpospolitej” i „Naszem Dzienniku”. Wskazywano na brak przygotowania polskiej armii, jej niedofinansowanie, które przejawiają się w posiadaniu nieodpowiedniego sprzętu oraz kłopotach z zaopatrzeniem i wyszkoleniem. Winą za ten stan rzeczy obarczano polityków. Jednocześnie podkreślano, że wycofanie się z Afganistanu nie jest ani możliwe, ani odpowiedzialne ze względu na zobowiązania wobec sojuszników z NATO.

NIEZNANI SPRAWCY

Kto jest bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć polskich żołnierzy? Nie wiadomo. Dzienniki rzadko określają przeciw-



ADAM ROIK / COMBAT CAMERA DOSZ

Albo śmierć, albo nic

Dlaczego prawie nie istnieje publiczna debata o polskiej obecności w Afganistanie?

IWONA NOWAK

nika; posługują się ogólnikowymi zwrotami: „żołnierz został zabity”, „zginął w wyniku zamachu”. Na pewno wynika to z tego, że w większości wypadków trudno jednoznacznie wskazać sprawcę. Trudno też jednak oprzeć się wrażeniu, że afgańska strona konfliktu notorycznie jest ignorowana przez polskie media. Odnosi się to nie tylko do kwestii działań militarnych czy politycznych (informacje o tym sporadycznie się pojawiają), lecz także do życia codziennego w kraju objętym wojną. W najbardziej poczytnych polskich dziennikach brakuje reportaży o Afganistanie i jego mieszkańcach. Żaden z monitorowanych przez FEPS tytułów nie porusza tych kwestii.

W rezultacie niezrozumienie dla polskiej misji w społeczeństwie jest dość wysokie. W 2011 roku na pytanie o powód polskiego udziału w misji w Afganistanie 18,3 procent respondentów odpowiedziało: „nie wiem” (badanie OBOP dla FEPS).

Od czasu do czasu w prasie można znaleźć artykuły o afgańskiej codzienności. W listopadzie 2011 roku „Gazeta Wyborcza” zwróciła uwagę na rzadko opisywaną kwestię przestrzegania praw człowieka. **Robert Stefanicki** w artykule „Talibowie rządzą w Ghazni” („Gazeta Wyborcza”, 15 listopada 2011 roku) napisał o linczu na dwóch kobietach za niemoralne prowadzenie się. W tym samym dzienniku opublikowano tekst o strategii pomocy dla Afganistanu (3 sierpnia 2011 roku) oraz wywiad z księdzem pełniącym posługę kapłańską w polskiej bazie w Ghazni.

KRÓWKI Z POLSKI

Na drugim biegunie znajdują się takie informacje, jak ta o sukcesie polskich krówek rozchwytywanych na bazarach przez Afgańczyków. Słodkie karmelki często są podrabiane przez lokalnych wytwórców. W internecie krąży nawet prze-



Misje w mediach



Informacje o misji w Afganistanie w głównych dziennikach krajowych w 2011 i 2012 roku (dane w procentach)

pis na „oryginalne krówki z Polski”. Niemilitarnie o Afganistanie pisał też „Dziennik Gazeta Prawna” we wrześniu 2011 roku – podjął temat poszukiwania złota w tym kraju przez **Jana Kulczyka**, jednego z najbogatszych Polaków. Są to jednak wyjątki od reguły.

Szeroko komentowanym wydarzeniem było wznowienie procesu w sprawie Nangar Khel. Kiedy zapadł wyrok uniewinniający żołnierzy oskarżonych o ostrzelanie afgańskiej wioski, wszystkie monitorowane dzienniki zabrały głos w tej sprawie. Spektrum opinii było szerokie. „Fakt” przyjął tę wiadomość bardzo entuzjastycznie. Na pierwszej stronie dał opatrzone wykrzyknikami tytuł informujący o tym, że nasi żołnierze zostali wreszcie uniewinnieni. Wewnątrz opublikowano stosunkowo duży materiał, w którego treści dominowały uczucia ulgi i radości. „Rzeczpospolita” informowała o sprawie w miarę obiektywnie, bez emocji. W dodatkowych komentarzach redakcyjnych sugerowano, że to dobra decyzja,

która pozwoli pozbyć się żołnierzom syndromu Nangar Khel, który miał im uniemożliwiać sprawne działanie w konfliktach zbrojnych.

Równie wyważony materiał znalazł się w „Naszym Dzienniku”, gdzie sam opis i historia procesu przedstawione zostały obiektywnie. W komentarzach zauważono jednak, że radość żołnierzy jest zbyt duża i nie na miejscu, ponieważ w wyniku incydentu zginęli cywile. Z kolei „Gazeta Wyborcza” wskazała, że mimo wyroku uniewinniającego polska armia jest odpowiedzialna (choćby moralnie) za zabicie Afgańczyków. Radość żołnierzy przedstawiła jako wyjątkowo niestosowną. „Dziennik Gazeta Prawna”, z typowym dla siebie dystansem, ograniczył się do sprawozdania z procesu.

SUKCESY NIE W CENIE

W trakcie lektury polskiej prasy najbardziej uderza brak informacji o sukcesach polskiego kontyngentu wojskowego w Afganistanie. Rzadko można przeczytać o schwytaniu groźnego taliba czy przechwyceniu ładunków wybuchowych przez polskich żołnierzy. Kiedy jednak wejdzie się na stronę internetową kontyngentu, zobaczymy, że odnosi on o wiele więcej sukcesów. Według informacji podawanych przez MON, Polacy zlikwidowali już wiele składów materiałów wybuchowych, przechwycili broń, pomagali w przekazywaniu pomocy humanitarnej, organizowali szkolenia dla Afgańczyków. Żadna z nich nie przedostała się do prasy. Czyżby sukcesy polskiej armii nie interesowały przeciętnego czytelnika? Czyżby tylko krew, strach i polityczne rozgrywki skłaniały Polaków do kupienia tego czy innego tytułu?

Szkoda, że piszący o Afganistanie dziennikarze nie chcą korzystać z ogólnodostępnej bazy informacyjnej, codziennie opracowywanej przez prasowców kontyngentu i przekazywanej za pośrednictwem strony internetowej. Szkoda, że pojawiające się w najpoczytniejszych polskich dziennikach informacje są jednowymiarowe, pozbawione rzetelnej analizy i kreują świadomość czytelników poprzez ukazywanie tragedii i skandali. Wielka szkoda w końcu, że publiczna debata na temat polskiej interwencji w Afganistanie praktycznie nie istnieje. A media nie podejmują prób, aby tę sytuację zmienić. ■

SZKODA, ŻE POJAWIAJĄCE SIĘ W NAJPOCZYTNIEJSZYCH POLSKICH DZIENNIKACH INFORMACJE SĄ JEDNOWYMIAROWE, POZBAWIONE RZETELNEJ ANALIZY

Bohaterowie bez zasług

Aby o Afganistanie mówiono w mediach, musi ktoś zginąć. Bywa jednak, że nawet śmierć żołnierza nie jest wystarczającym powodem do informacji o misji.

TADEUSZ MINCER

Poparcie polskiego społeczeństwa dla zaangażowania w Afganistanie jest znikome. Nic w tym dziwnego, skoro polskie środki masowego przekazu niewiele mówią o samej misji, a obraz, który wyłania się z medialnego przekazu, jest niekorzystny.

Badania Fundacji na rzecz Studiów Europejskich (FEPS) pokazują, że tylko 24 procent Polaków regularnie czyta jakąkolwiek prasę. Głównym źródłem informacji jest telewizja, która kształtuje nasze wyobrażenie o świecie. Podczas prowadzonych przez nas badań analizowaliśmy pod kątem informowania o polskiej misji zawartość dwóch serwisów informacyjnych, które gromadzą największą publiczność: „Faktów” TVN oraz „Wiadomości” TVP. Badaliśmy częstotliwość pojawiania się informacji, tematykę i sposób ich przedstawiania.

ZACHWIANE PROPORCJE

O tym, jak wygląda sytuacja w Afganistanie, telewizja informuje sporadycznie. Bywają miesiące, że nie pojawiają się na ten temat żadne informacje. To oczywiście nie oznacza, że w polskim kontyngencie nic się nie dzieje. Po prostu nie dzieje się nic, co dla telewizji byłoby interesujące.

Przykładem niech będzie miniony miesiąc. 6 marca z wizytą w Afganistanie był prezydent **Bronisław Komorowski**. Programy telewizyjne przemilczały ten fakt, choć na ogół informują o zagranicznych podróżach polskich władz. Co więc musi się stać, aby w polskiej telewizji pojawiła się informacja o Afganistanie?

Nasze badania pokazują, że większość materiałów dotyczy śmierci żołnierza, skandalu (proces w sprawie incydentu w Nangar Khel) lub kosztów całej wojny. Smutna prawda jest więc taka, że aby temat Afganistanu pojawił się w mediach, musi ktoś zginąć. A i to czasami nie wystarcza. Polska telewizja przemilczała zupełnie śmierć starszego szeregowego **Pawła Poświata**, który zginął 28 lipca 2011 roku w wyniku ataku na polski patrol.

Oczywiście nie od dziś wiemy, że telewizja pokazuje tylko to, co przyciągnie uwagę widza. Utrwała to jednak stereotyp, że w Afganistanie dzieją się tylko rzeczy złe, a polska misja tam nie ma większego sensu.

Różnice między przekazem państwowej TVP i prywatnej TVN są niewielkie, ale dają się zaobserwować. Telewizja pu-

bliczna nieco częściej informuje o samej misji, ale też częściej staje po stronie żołnierzy. W grudniu 2010 roku w amerykańskiej prasie pojawiły się negatywne opinie dotyczące polskiego zaangażowania w misję. Krytykowano rzekomy brak samodzielnności i bierność naszego kontyngentu. Sprawa odbiła się echem w polskich mediach. TVP mocno broniła dobrego imienia żołnierzy. Znaczące są już same tytuły poszczególnych materiałów: „Jesteśmy z was dumni” albo „Nie są tchórzami”. Podobnie rzecz się ma w przypadku procesu żołnierzy oskarżonych w sprawie incydentu w Nangar Khel – to TVP częściej sugerowała, że ten proces jest kompromitujący dla polskiej armii i nie powinien nigdy mieć miejsca. W „Faktach” było mniej informacji, ale też sam przekaz był bardziej neutralny. Pojawiało się więcej wątpliwości i krytycznych opinii. O sprawie Nangar Khel wypowiedzieli się zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy procesu. Można jednak stwierdzić, że TVN jest mniej przychylna samej operacji, ponieważ rzadziej eksponuje sukcesy polskiego kontyngentu.

NIEPEŁNE PRZEKAZY

Aby zrozumieć ułomność telewizyjnych przekazów z misji w Afganistanie, warto prześledzić relacje dotyczące śmierci polskich żołnierzy. Większość z nich ogranicza się do stwierdzenia, że zginęli oni w wyniku zamachu, a niewiele mówią o sprawcach. Nie poznamy zatem przeciwników ani ich motywacji. To sprawia, że nie jest jasne, jaki cel ma misja w Afganistanie. Tymczasem istotną częścią polskiej obecności w tym kraju jest pomoc rozwojowa. Zespół odbudowy prowincji wspiera rozbudowę infrastruktury, organizuje szkolenia zawodowe i realizuje wiele innych projektów, których celem jest pomoc społeczeństwu afgańskiemu. Większość widzów z pewnością nawet nie wie o istnieniu takiej grupy.

Jeśli ktoś ogląda tylko polską telewizję, nie dowie się na przykład o organizowanych przy współpracy z naszą armią kursach zawodowych dla kobiet, o odbudowie szkół czy spotkaniach polskich urzędników i wojskowych z przedstawicielami administracji afgańskiej bądź liderami społeczności. Dochodzi zatem do paradoksalnej sytuacji. Walczący żołnierze są bohaterami, lecz niewiele mówi się o ich zasługach. Telewizja nie pokazuje osiągnięć kontyngentu, a to sprawia, iż powstaje wrażenie, że ich w ogóle nie ma. ■

TADEUSZ MINCER PRACUJE W FUNDACJI
NA RZECZ STUDIÓW EUROPEJSKICH.





BEZ WUNDURU

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

I PANCERZA

Z Piotrem Łukasiewiczem o interesach Polski w Afganistanie rozmawiają **Artur Goławski i Tadeusz Wróbel**

Dlaczego odszedł Pan z wojska w wieku zaledwie 40 lat?

Służba wojskowa była dla mnie wspaniałą przygodą, ale wierzę, że czeka mnie równie ciekawa przyszłość. Minister spraw zagranicznych zaproponował, bym zechciał wykorzystać wieloletnie doświadczenie oraz znajomość Afganistanu i jego okolic. Zostałem kandydatem na ambasadora Polski w Kabulu, bo obecny niebawem kończy kadencję. Oferta **Radosława Sikorskiego** jest dla mnie zaszczytem i wyróżnieniem. Czekam jeszcze przedstawienia sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, a decyzję ostateczną o powierzeniu mi misji podejmie prezydent.

To jedyny powód?

Mam też prywatny: chcę wrócić do kraju, któremu poświęciłem ostatnie sześć lat i który – może to zabrzmie górnolotnie – pokochałem.



Nazwijmy to zewem Azji Środkowej.

Za walorami turystycznymi nie przepadam. Polubiłem mieszkańców tego kraju.

Konkurentów do urzędu Pan nie ma, bo praca w ambasadzie w Kabulu jest trudniejsza i niebezpieczniejsza niż w jakiegokolwiek placówce tego typu.

To prawda, nie cieszy się zainteresowaniem wśród dyplomatów. Może nie tyle niebezpieczeństwa, ile niewygodny dyskwalifikują ją w oczach wielu jako obiekt marzeń zawodowych. Z czasów, gdy byłem tam attaché wojskowym, pamiętam zajęcia, których nie kojarzy się z funkcją dyplomaty. Kiedyś z ambasadorem **Jackiem Najderem** i kolegami o drugiej w nocy, w 30-stopniowym mrozie, rozgrzewaliśmy generator, w którym zamarzło paliwo. Tam trzeba być przygotowanym na podobne „atrakcje”.

Z nudą też?

Nasza ambasada jest niewielka i wygląda jak inne w Kabulu – przypomina małą bazę wojskową. Jej lokatorzy czują się trochę jak w więzieniu. Warunki bezpieczeństwa narzucają wiele ograniczeń. Dlatego, jeżeli uzyskam nominację, wyjadę tam sam. Na nudę nie można narzekać. Jednym z paradoksów Kabulu jest to, że ma on różne oblicza. Społeczeństwo najlepiej zna to tragiczne, związane z zamachami, mniej – towarzyskie. A tam kwitnie życie nocne, są dyskoteki, spotkania przy kawie czy piwie. Wielu 20-, 30-latków z całego świata po pracy w różnych instytucjach i organizacjach stara się normalnie żyć i bawić. Tamtejsze rozrywki miewają ekscytujący posmak – dyskoteki często są kontrolowane przez policję, która szuka alkoholu. Takich wrażeń nie znajdziecie gdzie indziej w Europie.

Będzie Pan zapewne najmłodszym polskim ambasadorem.

Miałem w życiu dużo szczęścia albo znajdowałem się we właściwym miejscu we właściwym czasie. W trakcie pożegnania ze służbą wojskową powiedziałem, może dość buńczucznie, że nikomu nic nie zawdzięczam, bo ciężko pracowałem na to, co mam. Cieszę się, że na mej drodze zawodowej znalazło się kilkanaście osób, które chciały wykorzystać moją energię i pasję. A zatem wiele zawdzięczam tym, którzy docenili moje zaangażowanie.

Na czym będzie polegała codzienna praca dyplomaty?

Na spotkaniach i śledzeniu tego, co się dzieje, zwłaszcza nieoficjalnie. Do moich zadań należeć będzie dbanie o polskie interesy w Afganistanie i wizerunek naszego kontyngentu.

A będzie Pan chodził po ulicach Kabulu?

Gdy przez trzy lata byłem attaché, wynajmowałem kwatery na mieście i cieszyłem się dużą swobodą. Nie siedziałem za murem, poruszałem się po ulicach bez ochrony. Tej swobody będzie mi teraz brakowało, bo jako ambasador muszę liczyć się z opinią ochrony. Tym bardziej po tragicznym zamachu na ambasadora **Edwarda Pietrzyka** w Iraku.

Nie bał się Pan chodzić sam po mieście?

Oczywiście, że się bałem. Mój stres był bardziej rozciągnięty w czasie niż żołnierzy z pododdziałów bojowych. Kabul nadal mi się śni – przelatujące rakiety, zamachy. Nie jest to najbezpieczniejsze miejsce na Ziemi.

WOJSKO I DYPLOMACJA MOGĄ WESPRZEĆ POLSKIE FIRMY ZBROJENIOWE, ALE NIE JEST TO JEDNOZNACZNE Z UZYSKANIEM KONTRAKTÓW

Dlatego jest to placówka dla ambasadora – byłego żołnierza.

Dotychczasowi ambasadorzy cywile świetnie sobie radzili.

Nie obawia się Pan, że nasi generałowie służący w Afganistanie będą traktować Pana jeszcze jako żołnierza i stawiać zadania?

Dotąd miałem dobre kontakty ze wszystkimi dowódcami kolejnych zmian kontyngentu, i liczę, że uda się utrzymać dobrą współpracę z przyszłymi. Moja wojskowa przeszłość powinna ułatwiać porozumienie.

Jakie zadania szef MSZ stawia osobie, która będzie reprezentować Polskę w newralgicznym dla Afganistanu czasie?

Po rozmowie z ministrem **Sikorskim** mam precyzyjną wizję tego, co powinno się zdarzyć w trakcie mojej kadencji. Uważam, że lata 2012–2014 są ostatnią okazją, kiedy Polska może przełożyć ogromny wysiłek wojskowy, okupiony żołnierską krwią, na rozwój obecności w sferze cywilnej.

Tak miało być w Iraku. Nie było. Zły prognostyk.

Misja iracka uchodzi za przykład zmarnowanej szansy. Wojsko Polskie skorzystało na niej ogromnie, ale Polska jako kraj już znacznie mniej. Chcę uniknąć powtórzenia się tej sytuacji w Afganistanie.

Czyli interesy...

Kiedy pierwsze zmiany kontyngentu wyjeżdżały do Iraku, media łudziły społeczeństwo, że żołnierze przysporzą państwu

korzyści gospodarczych. Dla mnie byłoby to obraźliwe, gdyby ktoś naprawdę traktował naszych żołnierzy jako narzędzie do zdobywania kontraktów. To się kłóci z moim etosem służby wojskowej. Jeśli ktoś chce robić interesy, niech wyśle przedstawicieli do znalezienia kontrahentów, a wówczas polska dyplomacja z pewnością pomoże i doradzi, jak najbezpieczniej i skutecznie robić biznes w Afganistanie.

Co zatem powinniśmy zaoferować Afgańczykom?

Choćby ponad 20 lat doświadczeń z transformacji ustrojowej, osiągnięcia naszej samorządności. Musimy to promować, dopóki mamy tam wojsko, bo po 2014 roku będzie o wiele trudniej.

Ma Pan konkretne pomysły?

Moglibyśmy wspomóc pomysł gubernatora Ghazni stworzenia w tym mieście regionalnego centrum szkolenia kadr administracyjnych dla okolicznych prowincji. Afgańscy urzędnicy mogliby kształcić się także w Polsce. Sądzę, że wojsko podchwyci ten pomysł.

Właśnie takie centrum edukacyjne możemy pozostawić po sobie w Ghazni. Nie oszukujmy się, poza wybudowanymi drogami żywot dotychczasowych projektów pomocowych bywa tam krótki. Popelniamy taki błąd, jak wielu innych – coś Afgańczykom budujemy, ale oni nie uczestniczą w kosztach, więc nie traktują tych inicjatyw jako własnych. I nie dbają o nie.

Można przełożyć polskie rozwiązania na struktury afgańskie?

Nie da się narzucić Afgańczykom polskich czy europejskich wzorców. Tamtejsze społeczeństwo zmienia się jednak i tego nie da się cofnąć. Skala przemian jest różna. Szybciej ten proces dokonuje się w społeczności miejskiej, więc pozostaje bardziej tradycyjna. Ale nie będzie tak, że gdy koalicja się wycofa, Afgańczycy wrócą do swoich plemion, a kodeksem administracyjnym obowiązującym w kraju stanie się kodeks pasztunwali. To już niemożliwe i należy wykorzystać szansę, jaką to stwarza.

Czy jest sens mówić o szansach na współpracę gospodarczą Polski i Afganistanu?

Marzy mi się – i traktuję to jako jedno z głównych zadań

– aby oprócz wspomagania administracji rozkręcić współpracę gospodarczą. Jedno jest pewne: tam nikt nikomu za darmo niczego nie da.

Investują tam Chińczycy, Hindusi, Amerykanie...

Jest kilka miejsc, gdzie i Polacy daliby sobie radę.

Gdyby był Pan prezesem dużej firmy i przyszedłby do Pana polski ambasador w Kabulu, by namówić do interesów na afgańskim rynku, co by Pan zrobił?

Zapytałbym: „A kogo pan zna w Afganistanie?”. Znajomość odpowiednich ludzi, wpływowych polityków, jest zarówno przepustką do robienia interesów, jak i gwarancją bezpieczeństwa.

Każdy rozsądny przedsiębiorca obawia się egzotycznych okazji.

To oczywiste, że nie chciałbym stracić inwestowanych pieniędzy. Ambasador powinien zatem powiedzieć, kogo zna, i przekonać mnie, że osoby te również są zainteresowane powodzeniem wspólnego biznesu.

W Afganistanie nie ma naciągaczy?

Można na nich trafić, tak jak w każdym innym kraju. Ale jest tam dużo uczciwych, poważnych przedsiębiorców, choć dla nas mogą wydawać się watażkami. Wiem to, bo ich znam. Inni dyplomaci też znają takich ludzi.

Oni czekają na współpracę z Polakami. Denerwują się nawet na nas, bo otwarcie mówią: „Za wolny Afganistan giną wasi żołnierze. Płaciecie najcenniejszą daninę, jaką jeden kraj może dać drugiemu w stosunkach międzynarodowych. Przełancie się i zrobmy wreszcie biznes”.

W jakiej dziedzinie?

Wybudujemy kopalnię, cementownię, chłodnię, przetwórnictwo owoców. Inwestorzy i pieniądze się znajdują. Afgańczycy nie mają w zasadzie tylko technologii i know-how. Sygnałów o możliwości nawiązania takiej współpracy docierało do mnie wiele, czyli nie jest tak, że są nastawieni na to, by ukraść ciężko zarobione złotówki polskich biznesmenów i wywieźć je do Dubaju.

To dlaczego nie ma takiej współpracy mimo dekady obecności Polaków w Afganistanie?

Brakuje platformy do spotkań, polsko-afgańskiej izby gospodarczej, nie ma grupy współpracy parlamentarnej. Chcę taką inicjatywę naszemu parlamentowi zaproponować. Parlamentarzyści mają w swoich okręgach wyborczych przedsiębiorców, którzy mogą być zainteresowani współpracą z Afgańczykami. Tylko jedni z drugimi muszą się spotkać. Tam trzeba pojechać, sięść do rozmowy z partnerem, wypić herbatę albo i dziesięć litrów herbaty, i dopiero ustalać szczegóły.

WIZYTÓWKA



PIOTR
ŁUKASIEWICZ

Jest absolwentem Liceum Wojskowego w Częstochowie i Wojskowej Akademii Technicznej. Służył w jednostkach rozpoznawczych. Po powrocie z misji w Iraku, gdy przebywał jeszcze na urlopie, zgodził się wyjechać z polskim kontyngentem do pakistańskiego Kaszmiru, dotkniętego w 2005 roku wielkim trzęsieniem ziemi. Następnie został polskim attaché wojskowym w Kabulu, a potem pełnomocnikiem ministra obrony narodowej do spraw Afganistanu. Zna angielski i rosyjski, uczy się dari. Na razie umie się w tym języku dogadać i kupić kebab na ulicy.



Naprawdę wierzy Pan, że to możliwe?

Gdy gubernator **Musa Khan** przyjechał do Polski, zwiedził Kraków, Wieliczkę, Warszawę. Ale najbardziej zainteresowała go gmina Czosnów, która ponoć dobrze sobie radzi. Urzędnik, nawet nie wójt, tłumaczył mu, skąd bierze pieniądze na inwestycje. On nie emocjonował się Wawelem bądź kopalnią soli, lecz Czosnowem, o którym ja wcześniej nawet nie słyszałem. Dla niego w ten sposób mogłaby działać na przykład gmina Andar w prowincji Ghazni.

Obecnie ambasada nie dba o zbliżenie polsko-afgańskie?

Jest aktywna i na tym polu, zatem nikogo tam nie oświecę. Chcę tylko położyć większy nacisk na współpracę cywilną. Mam nadzieję, że tak jak ja zdjąłem mundur, tak uda się z naszych relacji „zrzucić mundur i pancierz”.

Warto schodzić z pułapu wielkiej ideologii na poziom, na jakim funkcjonują zwykli ludzie, którzy są zainteresowani tym, aby jakość ich życia rosła. Także po to, by Polak nie kłócił się z Rosomakiem i pięciometrowym murem baz Ghazni i Warrior. W Kabulu wiedzą, że mamy znaczny kontyngent, ale wiecie, co najbardziej cenią? Polskie cukierki krówki, które w latach siedemdziesiątych do nich eksportowaliśmy, i żelazka Zelmera. Wzywam więc firmę, aby dostarczała tam artykuły gospodarstwa domowego, bo Afgańczycy o tej marce pamiętają i pewnie by je kupili, gdyby się tam pojawiły z odpowiednią reklamą.

Kogo w robieniu interesów możemy naśladować?

Ponoć w Heracie dobrze radzą sobie Włosi. Na północy pod względem biznesowym kraj opanowali Rosjanie: sprzedają gaz i eksportują wiele innych towarów. Chińczycy są wszędzie. Ich sztandarową inwestycją wydaje się kopalnia miedzi koło Kabulu.

A mogła być spółką polskiego KGHM.

Mogła. Innym przykładem są inwestycje w telefonię komórkową. Wieśniacy wydają miliony dolarów rocznie na karty prepaid. W Afganistanie działa siedem sieci mobilnych, należących do Rosjan, Francuzów, Irańczyków i Hindusów.

W dużych miastach nadal nie jest łatwo o dostęp do szybkiego i taniego internetu. Za koszmarnie wolne łącze radiowe płaciłem 200 dolarów miesięcznie. W tej dziedzinie zapewne jest biznes do zrobienia. Jeszcze inny przykład – od ośmiu lat słyszę od Afgańczyków, że pewna polska firma ma budować kanalizację w Kabulu. Wzywam ją – nie podam nazwy – by podjęła się tego zbożnego dzieła, bo do tej pory nikt się koło tego nie zakręcił.

Afganistan będzie też potrzebować broni, a my na tym rynku praktycznie nie istniejemy.

Wojsko i dyplomacja mogą wesprzeć polskie firmy zbrojeniowe, ale nie uzyskają za nie kontraktów. Jeśli chcą one robić interesy w Afganistanie, muszą otworzyć przedstawicielstwa, choćby jednoosobowe, w Kabulu. Podobnie muszą uczynić przedstawiciele innych branż. Spodziewam się, że wiele kontraktów zbrojeniowych będzie opłacanych przez państwa trzecie. Koalicja wycofa wojska z Afganistanu, ale będzie łączyć na rząd prezydenta **Hamida Karzaja**, uznawszy, że taniej utrzymać tamtejszą armię niż własne kontyngenty w tym państwie.

Już pojawiły się głosy, że ponadtrzystutysięczne afgańskie siły bezpieczeństwa są zbyt kosztowne i niepotrzebne. Co Pan na to?

To rzeczywiście za dużo jak na to państwo. Rządzący w Kabulu politycy, tacy jak minister obrony generał **Wardak**, nie budują armii tylko po to, aby uganiała się po górach za rebeliantami. Wiedzą, że to rola policji. Dla nich wojsko jest atrybutem decydującym o pozycji politycznej Afganistanu w regionie. Dlatego chcą mieć czołgi i lotnictwo. A my mamy dużo T-72 i moglibyśmy je sprzedać.

Czesi zrobili przy takiej okazji interes na Mi-35. Główny koalicjant zapłacił im za doprowadzenie do używalności śmigłowców, których nie potrzebowali. I te maszyny służą teraz Afgańczykom. Polska dyplomacja wskazywała wtedy naszej zbrojeniówce, że jest okazja do zarobku. Przemysł z niej jednak nie skorzystał. Nie zaryzykował. Wierzę, że dałoby się zdobyć różne kontrakty, ale tam trzeba być, a nie przyjeżdżać co pewien czas i kombinować, ile kałasznikowców z demobilu uda się sprzedać.

Czy pod względem politycznym zyskamy na pomaganiu Afganistanowi?

Operacja afgańska pozostanie dla NATO ważnym tematem jeszcze długo po wycofaniu stamtąd żołnierzy. Zatem nieobecność czy bierność w Afganistanie miałaby negatywny wpływ na pozycję Polski w sojuszu, którego przecież chcemy być jednym z filarów.

Jak Pan myśli, o co walczą dziś rebelianci?

Pewien amerykański generał powiedział, że w Afganistanie trwa rebelia przeciwko złym rządóm – skorumpowanym i dra-

**KIEDYS Z KOLEGAMI W NOCY,
W 30-STOPNIOWYM MROZIE,
ROZGRZEWAŁIŚMY GENERATOR,
W KTÓRYM ZAMARZŁO PALIWO.
W AFGANISTANIE TRZEBA BYĆ
PRZYGOTOWANYM NA PODOBNE
„ATRAKCJE”**

pieczym. Zdarza się, że wojują ze sobą sąsiednie wsie, ale jednoczą się przeciw obcym, którzy wkroczą na ich teren. Talibowie toczą walkę z Zachodem i jego wartościami głównie w sferze propagandowej, na najwyższych szczeblach. Dla prostego wieśniaka problemem nie są dżihad i demokracja, lecz lokalny watażka wymuszający haracze.

Sytuacja przypomina anarchię.

Celem rebelii w Afganistanie jest dążenie do sytuacji, w której nie ma silnej władzy, a panami na szczeblu lokalnym są watażkowie, których w dowolnym terminie mogą zastąpić ich silniejsi rywale. Na szczeblu dystryktu taka banda to przywódca i dziesięciu podwładnych z karabinami. Tylu wystarczy, by terroryzować okolicę, bo od ich decyzji chłopci nie mają gdzie się odwoływać. Ta wojna nie toczy się o wielkie cele strategiczne, lecz o codzienne życie i bezpieczeństwo Afgańczyków. Po

śmierci kapitana **Daniela Ambozińskiego** w Adzrestanie w 2009 roku, gdy wylądował tam na stałe pierwszy polski pododdział, przy naszej bazie ruszył bazar. Ci źli z sąsiedniej wioski łupili mieszkańców wioski bazarowej, więc targowisko ledwo zipało. Gdy obok rozłożyli się żołnierze, bazar odżył. Poniżej więc – to medialna, szokująca i uproszczona teza – nasz kapitan zginął za ten bazar. W rzeczywistości jednak walczył i zginął za spokój tych ludzi, niezmiernie umęczonych przez lokalnego bandytę.

Czy pod koniec 2014 roku cała koalicja opuści Afganistan, czy niektóre państwa zostawią tam ograniczone kontyngenty?

Ważnym jest to, o jakim rozwiązaniu politycznym, o negocjacjach z talibami. Gdyby rzeczywiście toczyły się jakieś decydujące rozmowy, to byśmy to odczuli – doszłoby do zawieszenia broni.

A nie dochodzi. To przypadek?

Nie wierzę, by jakikolwiek przywódca talibów, mułła **Omar** czy jakiś inny, mógł wpłynąć na stosowanie się do jego decyzji na terenie całego Afganistanu. Również w szeregach talibów panuje anarchia. Nie liczymy na to, że zawarcie jakiegoś porozumienia uwolni Afganistan od przemocy. Rebelia przygaśnie, jeśli władza, którą pomagamy budować, będzie się umacniać i pozytywnie wpłynie na życie miejscowych.

Zatem Afganistanowi najbardziej potrzebna jest sprawna, sprawiedliwa, uczciwa władza.

Tak. Historia miasta Ghazni w ostatnich 20 latach związana jest z niejakim Qari Babą. W latach dziewięćdziesiątych doprowadził on do zjednoczenia mieszkańców prowincji – dzięki niemu przetrwali okupację rosyjską, a następnie wojnę domową i rządy talibów. Sprzyjał im, ale dzięki temu utrzymywał spokój. Ghazni zapłonęło w 2002 roku, gdy ślepa polityka interwencji, promowanie ugrupowania Taraki kosztem plemienia Andari, zakłóciła polityczną równowagę prowincji. I teraz my, wspierając władze, popieramy jedną z frakcji w Ghazni.

Czy jesienią 2014 roku zamknie Pan drzwi naszej ambasady i wróci do kraju samolotem z ostatnimi żołnierzami?

To najgorsze, co mogłoby się stać, i miałyby wymiar symboliczny, bo współtworzyłem polską placówkę w Kabulu w 2006 roku. Dla mnie byłaby to klęska. Polska powinna być obecna w Afganistanie po 2014 roku.

Czy po zakończeniu misji w Kabulu zamierza Pan pozostać w dyplomacji?

W moim życiu było tyle nieoczekiwanych zwrotów akcji, że trudno mi snuć dalekosieżne plany. Gdyby nie odwołał mnie do kraju minister **Bogdan Klich**, pewnie wciąż byłbym w Kabulu, jako wieczny attaché wojskowy. Jestem mu za to niezmiernie wdzięczny.

Po powrocie z placówki, jeśli nie będę miał innego zajęcia, może zajmę się działalnością naukowo-dydaktyczną. Odkryłem w sobie, że lubię uczyć ludzi. Piszę doktorat, oczywiście o Afganistanie. Jestem zapraszany na konferencje i wykłady – to fascynujące spierać się z młodzieżą, konfrontować z innymi własną wizję świata. ■



Kontraktora wynajmę

Coraz więcej jest firm oferujących wojsku szkolenia.
Trzeba tylko umiejętnie je wybierać.

PIOTR BERNABIUK

Bart Mazurowski” należący do zespołu instruktor-
skiego Centrum Szkoleń Militarnych „Nasza Farma”
kilkanaście lat temu na kursie w amerykańskiej
agencji federalnej zwalczającej nielegalny handel
bronią, narkotykami i materiałami wybuchowymi (ATF) zwró-
cił uwagę na dokument, do którego – jak przeczytał – dostęp
powinni mieć jedynie agenci federalni, uprawniony personel
wojskowy i kontraktorzy. Gdy spytał opiekuna, kim są ci ostat-
ni, ten wskazał na jednego z instruktorów.

Jak to możliwe, że cywila dopuszcza się do pracy, w której
wymagany jest najwyższy poziom dyskrekcji? „Bart” dowi-
edział się, że taką ofertę dostają starzy wyjadacze ze służb i woj-
ska, którzy po przejściu na emeryturę zakładają firmy i zawiera-
ją umowy z instytucjami samorządowymi, stanowymi lub fede-
ralnymi. Zlecają im one szkolenia oraz prace związane z bez-
pieczeństwem. Są dla nich sprawdzonymi partnerami.

Przemysław Grabowski z Global Protection Group po-
twierdza, że firmy zatrudniające kontraktorów nie są tworzone
z osób przypadkowych i niewiadomego pochodzenia. Pracują

tam głównie byli, ale coraz częściej również czynni żołnierze
czy funkcjonariusze renomowanych formacji, wykorzystujący
własne doświadczenia ze szkoleń i misji bojowych. Nie ozna-
cza to, że kontraktor bezwarunkowo musi mieć „mundurową”
przeszłość, bo są dziedziny, w których poszukujący specjali-
stycznej wiedzy wojskowi korzystają z usług firm zatrudniają-
cych stuprocentowych cywilów. Przykładem jest REAGO,
w naszym kraju prekursor szkolenia z ratownictwa taktyczne-
go (Tactical Combat Casualty Care), który wiedzę medyczną
przystosował do potrzeb wojska i sprzedaje ją teraz jednost-
kom szykującym się do misji. W działalności tej korzystała
w początkowej fazie... ze wsparcia zagranicznych specjali-
stów wojskowych.

Dziś instruktorzy REAGO sami zbierają doświadczenia
w Afganistanie.

Byli żołnierze i funkcjonariusze elitarnych formacji głoszą, iż
nie należy wyrzucać na śmietnik wiedzy kupionej przez pań-
stwo – w postaci ich wyszkolenia – za wiele milionów złotych.
Należy ją zagospodarować! Zwykle słyszą wtedy pytanie: ➔



„Skoro państwo zafundowało wam wiedzę za wiele milionów złotych, to dlaczego nie spożytkowaliście jej w trakcie służby? Czy koniecznie musieliście przenieść się na «młodą» emeryturę, by doskonalić towar sprzedawać teraz należącym do tego samego państwa organizacjom?».

Jeden z doświadczonych operatorów i szkoleniowców jednostki GROM (nie podajemy nazwiska, bo wciąż jest w służbie), widzi sprawę tak: „Dlaczego wszyscy przeliczają naszą służbę na lata, a nie na jej intensywność, napięcie psychiczne i zużycie organizmu? Nieprawdą jest, że zbieramy aktywa, a jak już mamy wszystko i widzimy, że nic więcej nie da się z wojska wyrwać, to uciekamy do cywila. Przecież tę wiedzę, te umiejętności, współtworzyliśmy latami, wykorzystywaliśmy w służbie, w szkoleniu, również w akcjach bojowych. Nie trzymaliśmy niczego w tajemnicy, czekając, aż uda się wyrwać na emeryturę”.

Za absurdalne specjaliści uznają oczekiwanie, że będą jeździli po jednostkach i rozpowszechniali najcenniejsze umiejętności:

„Czemu nie szkolimy z taktyki piechocińców przygotowujących się do afgańskich patroli? Z braku mocy przerobowych. Obciążenie szkoleniem i zadaniami jest takie, że o zakładaniu «szkółki niedzielnej dla normalsów» nie ma mowy”.

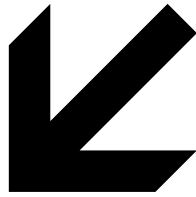
„Częściowo zużytych” żołnierzy Wojsk Specjalnych nie przenosi się na dosłużenie do 30 lat w tych jednostkach, bo nie opłacałoby się to żadnej ze stron. Żołnierz zapewne nie czułby się najlepiej w odmiennym środowisku; ponadto komandosi szybko nabywają uprawnień do pełnej podstawy emerytury. Jednostce natomiast tworzenie stanowiska służbowego dla takiego żołnierza przyniosłoby więcej kłopotów niż pożytku.

RENOMOWANY KONTRAKTOR NIE PRZYCHODZI ZNIKAĆ, NIE JEST OSOBĄ PRZYPADKOWĄ

Najkorzystniej, a również najtaniej, wychodzi wynajmując go do wykonania konkretnego zadania, zapłacić mu, ale i wyciągnąć z kontraktu jak najwięcej korzyści. Niech wyszkoli dziesięciu instruktorów, ci zaś – stu młodych dowódców, którzy przełożą wiedzę podwładnym. W ten sposób dorobimy się tysiąca ludzi obeznanych z tematem.

WSPÓLNI MISTRZOWIE

Spore szanse rozwoju współpracy z armią widzi **Przemysław Grabowski** z Global Protection Group, będącej członkiem IAPPA, światowej organizacji zrzeszającej firmy wyspecjalizowane w ochronie osobistej:



NAJWIĘKSI PASJONACI NIE OGRANICZAJĄ SIĘ DO POZNAWANIA JEDNEGO SYSTEMU

MARCELI PODHORECKI

„Wojsko się uniwersalizuje. Na coraz większą skalę zaczyna prowadzić zbliżone do policyjnych działania ochronne, przeciwterrorystyczne, związane z konwojowaniem. Coraz mniej ma do roboty w lesie, więcej za to na szlakach komunikacyjnych i w ośrodkach zurbanizowanych. Czołgiści i żołnierze jednostek zmechanizowanych w operacjach zagranicznych odchodzą od swoich standardowych metod działania: używają tego samego sprzętu, pojazdów, stosują identyczną taktykę”.

W niektórych dziedzinach następuje zbliżenie metod działania wojska, policji i innych służb ochronnych, między innymi w ratownictwie, rozpoznaniu pirotechnicznym, szkoleniu wysokościowym, a także pracy z bronią i taktyce.

„Ogromnie ważne jest to, że ci ludzie szkolą się często wspólnie, uczestniczą w stażach, biorą udział w zawodach”, twierdzi **Grabowski**. „A skoro uczą się od tych samych mistrzów i wypracowują wspólną taktykę, nie będą mieli trudności we współdziałaniu”.

W szkoleniach Global Protection Group uczestniczyli żołnierze renomowanych jednostek. Firma rozwija współpracę z resortami obrony narodowej oraz spraw wewnętrznych, ostatnio przy zabezpieczeniu pirotechnicznym Euro 2012. Utrzymuje też kontakt roboczy z ośrodkami szkoleniowymi Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, dzięki czemu potrafi zaofiarować kursy prowadzone przez specjalistów z SAS, SBS czy SEAL, a także znakomicie wyszkolonych polskich żołnierzy.

ŚWIEŻY TOWAR

Kontraktorzy są usługodawcą cennym, dopóki ich wiedza i umiejętności zachowują aktualność. Nawet wybitny specjalista, jeśli odszedł z wojska przed kilkunastu laty, może mieć nie-

wiele do zaoferowania. Major rezerwy **Arkadiusz Kups** początkowo wykorzystywał wiedzę wypracowaną i zgromadzoną w 56 Kompanii Specjalnej, gdzie zaczął służbę jako dowódca plutonu, a skończył jako szef szkolenia. Tam też rozwinął system taktyczny znany jako Combat 56.

„Z okresu służby czynnej wykorzystuję jedynie te elementy, które nie straciły aktualności”, mówi **Kups**. „Ofertę, z której korzysta dziś wiele formacji, opieram na zespole liczącym około dwudziestu instruktorów, w większości związanych z Combat 56, a służących w renomowanych jednostkach wojska, także w formacjach MSW. Z misji – wcześniej z Iraku, a teraz z Afganistanu – gdzie wykonywali najtrudniejszą i najbardziej ryzykowną robotę, przywożą oni wiedzę świeższą niż oficjalna oferta wojskowa. Bo nie musimy najnowszych trendów przepuszczać przez formalną, «papierową» maszynę”.

Arkadiusz Kups przyznaje, że nie tylko jednostki korzystają z ich pomocy w trakcie przygotowań do wyjazdów na misje. Również wielu żołnierzy indywidualnie przyjeżdża na zajęcia w wolnym czasie i za własne pieniądze.

„Chcą się uczyć dla siebie, by wyrwać się z codzienności, z marazmu. Stawiają na rozwój, wzbogacają wiedzę, liczą, że im się przyda do codziennej roboty, ale też do awansu”.

PROFESJONALNE SITO

Najwięksi pasjonaci nie ograniczają się do poznawania jednego systemu – jeżdżą po Polsce, po świecie, z czasem uzyskują papiery instruktorskie, a część z nich przebija się do renomowanych formacji. Bywa też odwrotnie, gdy na nowoczesne, atrakcyjne szkolenie przysyłani są ludzie całkowicie nieprzygotowani, którym ta wiedza do niczego nie będzie potrzebna.

Firm oferujących wojsku szkolenia przybywa, niektóre z nich mogą się pochwalić znaczącym dorobkiem. Dobrą markę mają te skupiające byłych żołnierzy jednostek specjalnych, na przykład Centrala Szkoleń AT (CSAT), prowadzona przez byłego szefa szkolenia GROM, podpułkownika rezerwy **Andrzeja Kuczyńskiego „Wodza”**. CSAT ma spore zasługi w nowoczesnym wyszkoleniu (szczególnie w taktyce specjalnej) żołnierzy jednostek rozpoznawczych na kursie Patrol.

W korzystaniu z usług zewnętrznych należy być jednak ostrożnym. Wystarczy wygooglować nośny temat, przykładowo: „czerwona taktyka” czy „taktyka specjalna”, by dostrzec, jak wiele jest propozycji, począwszy od profesjonalnych szkoleń, po czystej wody amatorszczyznę.

Wojskowi narazili się już na drwiny, gdy do szkolenia w taktyce specjalnej, raczkującej wtedy, ale mającej wysokie aspiracje jednostki firma szkoleniowa podesłała zespół miłośników zabaw Air Soft Gun (ASG). Zajęcia wyglądały dość profesjonalnie, bo amatorzy starannie przećwiczyli ściągnięte z internetu instrukcje walki elitarnych formacji wojskowych. Sprawa się oczywiście wydała. Nie przyniosło to chwały żadnej ze stron.

Odwrotną sytuację przeżyło dowództwo jednej z brygad, gdy dziennikarz opisał, jak harcerze szkolą żołnierzy w ratownictwie medycznym. Pominął przy tym to, że druhowie byli w tej dziedzinie najwyższej marki profesjonalistami. A z artykułu oficerowie musieli się tłumaczyć przed przełożonymi.

Trzeba zatem umieć w bogatej ofercie wybierać, unikać firm znikąd, gotowych przeprowadzić każde szkolenie za pół ceny, a czasem za darmo, za podziękowanie i rekomendację, którą kontraktorzy amatorzy wrzucą natychmiast na swoją stronę internetową, żeby pochwalić się szkoleniem wojskowych elit. ■

Kadet

DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Z chorążym sztabowym rezerwy **Aleksandrem Kukiełką**
o tym, czy były komandos może być przydatny armii,
rozmawia **Jacek Szustakowski**

Po zakończeniu służby zawodowej założył Pan firmę Szkoła Kadetów. Dwadzieścia sześć lat wcześniej sam Pan był kadetem Szkoły Chorążych Wojsk Zmechanizowanych. Czy wpłynęło to na wybór nazwy firmy?

Firmę nazwałem trochę z przekory, bo nie zgadzam się z decyzją o likwidacji szkół chorążych. Po trzymiesięcznym przeszkoleniu chorąży nie może mieć takiej wiedzy i umiejętności jak po trzyletniej szkole. Nazwę wybrałem także z sentymentu do szkoły imienia Nalazków w Elblągu. Sądzę, że zostaliśmy tam dobrze przygotowani do zawodu żołnierza działań specjalnych. Uczyli nas tacy wykładowcy, jak chorąży „Szatan” Stanisław Szadejko, major Depa czy pułkownik Kolan.

Czy zasady służby wyniesione ze szkoły chorążych chce Pan zaszczyścić swoim uczniom?

Tak. Z tego najważniejszą zasadą jest odpowiedzialność przełożonego za ludzi, sprzęt i wykonanie zadania. Nawet po tylu misjach bojowych słyszę od wojskowych uczestników moich kursów niepochlebne opinie o przełożonych. W trakcie szkolenia strzelców wyborowych dowiedziałem się na przykład, że oficer dyżurny decydował o sposobie ich podejścia na stanowisko. Nie pozwolił im wybrać skrytego podejścia. Zatem dwie

afgańskie wioski przyglądały się wspinacze teamu na wzgórzu.

Był Pan na czterech misjach. Z pewnością sam spotkał się z podobnymi sytuacjami?

Kilkakrotnie. Dlatego wielkie wrażenie wywarła na mnie praca oficerów, których spotkałem w sztabie CJTF-7 (Combined Joint Task Forces-7), czyli najwyższego dowództwa sił koalicyjnych w Bagdadzie, gdzie byłem oficerem łącznikowym Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe.

Co Pana zaskoczyło u Amerykanów?

To, jak rozwiązują sprawy operacyjne. Na odprawach ich generałowie starali się nas przekonać, że ten, kto przedstawia problem, nie jest ich wrogiem. Wpajali nam też, że każdy ma prawo wypowiedzieć się, niezależnie od tego, czy jest sierżantem, czy generałem. Liczą się wiedza i doświadczenie. Generał analizuje wnioski, które przedstawia mu sierżant. Na odprawach omawiany był zamiar dowódcy i wynikające z niego ograni-



ARCHIWUM A. KUKIEŁKI



czenia oraz to, na czym należy się skoncentrować. Następnie padało pytanie do zgromadzonych, ile potrzebują czasu, aby wypracować wnioski, które przedstawiano na kolejnym spotkaniu. Po ich spisaniu szef sekcji operacyjnej przygotowywał się do wystąpienia przed generałem. Proste i skuteczne.

Jakie cechy powinny wyróżniać żołnierza na współczesnym polu walki?

Najbardziej liczy się to, jak posługuje się bronią. Przez pierwsze trzy lata po powrocie z Iraku nie słyszałem, aby ktoś strzelał z beryla na 15 metrów, a z pistoletu na dziesięć. Jeśli jakiś młody dowódca zdecydował się na odstępstwo od zasady „jedyńka z pistoletu – 25 metrów”, to musiał liczyć się z karą za odstępstwo od zasad szkolenia ogniowego. Strzelanie z karabinu maszynowego z postawy stojącej na 50 metrów – to już w ogóle nie mieściło się w głowach! Miałem pewne koncepcje wprowadzenia zmian do szkolenia strzeleckiego, ale jako chorążemu trudno było mi się przebić z pomysłami.

Co Pan proponował?

Zasadę: „Szkolisz – odpowiadasz!”. Ale naprawdę, nie na papierze. Określiłem, ile strzałów powinien oddać żołnierz, aby opanować dane zadanie ogniowe. Dawało to odpowiedzialnym za szkolenie możliwość zaplanowania zużycia amunicji dla całego pododdziału. Plan dzielił szkolenie ogniowe na etapy, których podsumowaniem miał być egzamin dopuszczający do bardziej zaawansowanych treningów. Niedawno prowadziłem szkolenie, w którym uczestniczyli żołnierze z kompanii rozpoznawczej. Zapytałem chłopaków, czy często strzelają. Odpowiedzieli, że mają duży przydział amunicji. Ale ilość, jaką ja zaplanowałem na jedno szkolenie, oni zużywają przez rok.

To Pana wypowiedź z 1999 roku cytował w swojej książce były minister obrony Janusz Onyszkiewicz: „Fizycznie zachodnim komandosom w niczym nie ustępujemy. Ale nie mamy szans być lepsi, bo mamy taki, a nie inny sprzęt. Czy nie byłoby lepiej, zamiast kupować jeden samolot, dobrze wyposażyc stu komandosów? Gwarantuję, że zniszczą oni więcej czołgów wroga niż ta droga maszyna”. Nadal tak Pan myśli?

Irak zmienił nastawienie do działań specjalnych i podejście do spraw związanych z wyszkoleniem żołnierzy tych formacji. Kiedy w tej operacji komandosi z Lubliń-

ca nosili osiem magazynków, byli obiektem drwin. Po kilku latach wszyscy żołnierze wyjeżdżający na misję dostali dodatkowe magazynki. W wyścigu po sprzęt komandosi nie zawsze byli traktowani priorytetowo i, na przykład, zamiast nich noktowizory dostała brygada zmechanizowana, aby... złożyć je w magazynie. To nas bulwersowało.

Za to na nic zdały się krytyczne uwagi komandosów o pistoletach Wist...

Nasi dowódcy niejednokrotnie tłumaczyli, dlaczego mamy złe zdanie o tej broni. Cieszę się, że wreszcie te pistolety trafią do magazynów.

...i obowiązujących żołnierzy programach strzelań.

Cóż z tego, że przyjeżdżał do nas na dwa tygodnie instruktor amerykański i pokazywał, jak się trzyma broń w takich a takich warunkach, skoro obowiązująca nas instrukcja stanowiła, że mamy korzystać z broni inaczej. Nasi plutonowi dorównywali wiedzą instruktorom natowskim, ale to ciągle Kowalski czy Nowak sami czegoś się uczyli. Nie było systemu. W 2004 roku w czasie kontroli w pułku zarzucono nam, że zużywamy za dużo amunicji. Ja zaś uważałem, że strzelamy za mało. Czy warto zawracać sobie głowę jazdą na strzelnicę, by strzelić pięć razy? Dobrze wyszkolony żołnierz powinien oddawać średnio 400 strzałów z pistoletu na miesiąc. Tymczasem dla oceniających ważne było, jak rozliczyć strzelców z pięciu sztuk amunicji. Nie martwiło ich, że w trakcie strzelań nie zapewniali się warunków zbliżonych do bojowych. Zwalniało to żołnierzy z późniejszego myślenia na polu walki.

Problemem w naszej armii jest brak wiary i zaufania do podoficera. Szkolenie młodego żołnierza tego korpusu powinno polegać na przedstawianiu mu problemów, które musi rozwiązać. Jeśli zrobi coś złe, pouczmy go lub pokażmy, że się mylił, ale nie pozbawiajmy go inicjatywy i kreatywności!

Jak to zrobić?

Podejście żołnierzy do szkolenia jest różne. Jak rozmawia się z ludźmi, którzy byli na misjach, zobaczyli śmierć, musieli odpowiadać ogniem, to widać, że ich nie trzeba dodatkowo motywować. W czasie szkolenia działają jak w warunkach bojowych. Podejście do zajęć innych żołnierzy jest natomiast niewłaściwe. I to mimo dużego prawdopodobieństwa, że zostaną wysłani na misję, gdzie mogą stracić życie lub zdrowie.

Ostatnio poprosiłem młodego oficera o wykonanie zadania. Popenił on wiele błędów taktycznych. Po mojej uwadze obraził się i nie przyszedł na następne szkolenie, a swoich podwładnych pozostawił samym sobie! Dokończyłem zajęcia bez niego, z przeświadczeniem, że nie będzie w stanie dowodzić żołnierzami, jeśli nie będzie wiedział, co oni robią.

WIZYTÓWKA

ALEKSANDER KUKIEŁKA

Chorąży sztabowy rezerwy Aleksander Kukiełka przez 23 lata służył w 1 Batalionie Szturmowym i powstałym na jego bazie 1 Pułku Specjalnym Komandosów. Absolwent Szkoły Chorążych Wojsk Zmechanizowanych imienia Rodziny Nałazków (1986 rok) i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie. Uczestnik misji zagranicznych w Kambodży (1993), Syrii (1995–1996 i 1997–1998) oraz Iraku (2004). Od września 2009 roku w rezerwie. W 2010 roku założył firmę Szkoła Kadetów. Miłośnik strzelania dynamicznego. Mistrz Polski w tej dziedzinie z 2002 roku.

Dziwne, że żołnierze nie chcą korzystać z wiedzy i doświadczeń instruktorów czy kolegów, którzy byli na misjach.

Szkolonych trzeba zachęcać do wykazania aktywności na zajęciach. Gdy uczę ich na przykład nawigacji w warunkach dziennych i nocnych, preferuję po szkoleniu teoretycznym ćwiczenia praktyczne, gdzie każdy musi radzić sobie sam. Wtedy może się przekonać, czy przyda mu się w życiu wiedza wyniesiona z sali wykładowej.

A przyda się?

Przyda, gdy zobaczy, że głupi błąd nie pozwolił mu wykonać zadania. Na przykład jeden z żołnierzy ze zmęczenia zapominał, że metal wpływa na działanie busoli. W końcowej fazie zajęć praktycznych trzymał ją zbyt blisko magazynków. Pomylił się więc w pomiarach azymutów o 15 stopni i nie mógł znaleźć punktu nawigacyjnego. Gdyby zajęcia odbywały się tylko na sali wykładowej, a często tak bywa, nawet by się nie zorientował, ile może go kosztować taka pomyłka.

Lubi Pan zajęcia z nawigacji terenowej. Jak uczyć tego najlepiej?

Preferuję szkolenie indywidualne. Mogę prowadzić zajęcia w nocy, kontrolując poczynania 8–12 żołnierzy. Każdy z nich działa samodzielnie, z własną bronią i busolą.

Czy oprócz przykrych spostrzeżeń z ostatnich wizyt na poligonach i w jednostkach ma Pan jakieś pozytywne uwagi?

Spotykam też ludzi zaangażowanych w szkolenie, którzy czują się odpowiedzialni za podwładnych, przygotowują ich na takie wyzwania jak Afganistan. Tego typu dowódcą jest na przykład podpułkownik **Witold Bogulas** z 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina. Nie chciałem wierzyć, że ktoś taki istnieje, dopóki go nie spotkałem.

Czym Panu tak zaimponował?

Tym, że bezpośrednio angażuje się w proces szkoleniowy. Spotkałem wielu wyższych oficerów, którzy nie zaprzęтали już sobie głowy szkoleniem.

Szkoli Pan grupy paramilitarne. Jakie jest ich podejście do zajęć?

Zainteresowanie młodzieży szkoleniem jest tak duże, że kiedy pojawia się ktoś, kto miał coś wspólnego z wojskiem, staje się automatycznie instruktorem. Młodych nie interesują musztra i czyszczenie butów, tylko taktyka i szkolenie ogniowe. To, co jest kwintesencją pracy żołnierza. Ja im to zapewniam. To moja praca w cywilu. Najlepszą nagrodą dla mnie jest taki wpis, jaki po zajęciach zamieścił na forum jeden z uczestników: „Jeśli będziesz robił kurs szydełkowania, to ja też przyjadę”.

Ostatnio minister Tomasz Siemoniak zadeklarował wsparcie resortu w szkoleniu członków Związku Strzeleckiego „Strzelec”, bo stanowią oni wartościowych kandydatów do służby zawodowej i w Narodowych Siłach Rezerwowych.

Słyszałem, że minister obiecał strzelcom tysiąc miejsc na poligonie. Jednorazowo przyjęcie takiej grupy jest niemożliwe, bo wymagałoby zaangażowania do obsługi ćwiczeń dużej jednostki wojskowej, która nie ma czasu na takie dodatkowe przedsięwzięcia. Uważam, że w przygotowaniu kandydatów do NSR należy wykorzystać byłych żołnierzy zawodowych.

GŁÓWNYM PROBLEMEM W NASZEJ ARMII JEST BRAK ZAUFANIA DO PODOFICERA

Jeden z byłych oficerów GROM żalił się na spotkaniu przedstawicieli organizacji pozarządowych z ministrem, że w jednej z jednostek, gdzie szkolił kandydatów do NSR, miał kłopoty ze skorzystaniem ze strzelnicy.

Faktycznie, łatwiej szkolić młodzież na cywilnych strzelnicach, i chyba wojsko odniesie większe korzyści, jeśli będą się tym zajmować dobrze przygotowani byli żołnierze. To odciąży jednostki od dodatkowych zadań.

Wątpię, czy dowódca kompanii, który na poligonie musiałby zająć się szkoleniem dwustu strzelców, dobrze by się z tego wywiązał, gdyby w tym samym czasie był rozliczany z efektów szkolenia swoich etatowych podwładnych. Przecież nikt by go z tego nie zwolnił. Tymczasem rezerwista, który spędził w wojsku ponad 20 lat i zna je od podszewki, chętnie poświęci młodzieży swój czas.

Ale jak takiego rezerwistę rozliczyć z efektów pracy?

Instruktor powinien być nagradzany za efekty szkoleniowe. Postawi mu się cele, a później komisja rozliczy go z pracy. Jeśli, założmy, z przeszkolonych osób wymagane kryteria spełni 180, to instruktor dostanie zapłatę za wyszkolenie 180 kursantów. Czy to głupie?

Skądże. Podniosłoby to poprzeczkę wymagań wobec instruktorów z cywila. A ci najlepsi mogliby zająć się szkoleniem żołnierzy.

Widzę to tak: dowódca jednostki podpisuje kontrakt na szkolenie ogniowe, stawia cele i nic go więcej nie obchodzi. W gestii firmy jest wynajęcie strzelnicy, broni i instruktorów.

Dlatego zrobiłem uprawnienia instruktora strzelectwa, bo na rynku cywilnym nie ma znaczenia to, że przez 20 lat szkoliłem żołnierzy. I choć odpowiadałem za przeprowadzenie kilku selekcji do pułku, musiałem w cywilu zdobyć uprawnienia instruktora survivalu.

Dlaczego oddany sprawie komandos przedwcześnie zrezygnował ze służby?

O tym, że już czas na mnie, przesądziło pytanie przełożonego, kiedy ponownie przystąpię do selekcji do pułku. Pomyślałem, że jeśli po 23 latach służby mam udowodnić, że się do niego nadaję, to powinienem odejść. ■

ZADANIEM ZESPOŁU JEST TRANSPORT RANNYCH I CHORYCH ŻOŁNIERZY Z REJONÓW MISJI DO POLSKI

GWAŁTOWNE PRZYSPIESZENIE

Choć Zespół Ewakuacji Medycznej formalnie powołano w połowie 2010 roku, medycy o chorych żołnierzy troszczą się dopiero od niedawna.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Pierwszą, i jak dotąd najtrudniejszą ewakuację medyczną drogą lotniczą, ZEM przeprowadził w czerwcu 2011 roku. Przywiózł pacjenta w ciężkim stanie z Kosowa do Warszawy. Trzygodzinny lot był trudny, istniało bowiem ryzyko, że chory nie przeżyje podróży. Jednak się udało. Od tego czasu krakowscy medycy sprowadzili do Polski jeszcze piętnastu polskich żołnierzy.

POCZĄTEK OD KOŃCA

W 2005 roku Siły Powietrzne postanowiły dokupić do samolotów C-295M dwa w pełni wyposażone zestawy do ewakuacji medycznej Medevac System i dwa mobilne zestawy podtrzymujące życie Life Support for Trauma And Transport (LSTAT). Sprzęt został odebrany w sierpniu 2006 roku. Zgodnie z pierwotnymi założeniami miał być wykorzystywany do intensywnej opieki nad pacjentem podczas lotu, dzięki czemu wojsko mogłoby przywozić z misji do kraju rannych żołnierzy.

Wykorzystanie drogiego i nowoczesnego sprzętu nie było proste. Szczelnie zapakowane zestawy przez dwa lata były przechowywane w magazynach 8 Bazy Lotniczej. W 2008 roku zostały uruchomione i przetestowane w powietrzu i na ziemi, ale wkrótce ponownie powędrowały do magazynów.

W Siłach Powietrznych zaczął się żmudny proces formalnego wprowadzania ich do wyposażenia, co ostatecznie udało się w pierwszym kwartale 2009 roku.

Trudności z rozpoczęciem użytkowania skończyły się jednak dopiero w połowie 2010 roku, kiedy 8 Baza Lotnicza została przekształcona w 8 Bazę Lotnictwa Transportowego. Powstała wówczas komórka etatowa dla personelu medycznego, który miał zająć się lotniczym transportem chorych lub rannych żołnierzy z użyciem zamówionego pięć lat wcześniej sprzętu.

Zespołem Ewakuacji Medycznej, bezpośrednio podlegającym dowódcy 8 BLTr, początkowo kierował major **Stanisław Smulski**. Pod koniec 2010 roku do ZEM dołączyły pielęgniarka anestezyjologiczna chorąży **Anna Kaczmarczyk** i ratownik medyczny kapral **Małgorzata Michoń**. W Stanach Zjednoczonych ukończyli oni później tygodniowe szkolenie z obsługi noszy LSTAT. Po powrocie do kraju zespół nie zaczął jednak pracy. Jednym z głównych powodów była opinia ówczesnego szefa ZEM, który uznał, że o korzystaniu ze sprzętu powinien zdecydować naczelnny specjalista do spraw obronności z anestezjologii i intensywnej terapii. Szef stosownej decyzji jednak nie wydał.

Przekonań poprzednika nie podzielił nowy szef ZEM. W 2011 roku zespół zaczął ewakuować pacjentów na podstawie



między innymi dokumentu z września 2009 roku, w którym konsultant wojskowej służby zdrowia w dziedzinie medycyny ratunkowej pozytywnie zaopiniował możliwość używania w czasie lotu zestawów Medevac i LSTAT.

Zgodnie z przyjętymi założeniami zadaniem ZEM jest transport rannych i chorych żołnierzy z rejonów misji do Polski. W praktyce, ze względu na ograniczenia techniczne, można to robić tylko w Europie i z obszaru północnej Afryki. Afganistan znajduje się poza zasięgiem zespołu, ponieważ przepisy zabraniają tankowania samolotu, gdy na pokładzie znajdują się chorzy. Rannych i poszkodowanych w Afganistanie transportują więc do szpitala w Niemczech Amerykanie, i dopiero stamtąd pacjenta zabiera do Polski samolot z biało-czerwoną szachownicą. W Krakowie trwają prace nad poprawką do przepisów.

ZMIANA WARTY

Prace ZEM nabrały tempa w drugim kwartale 2011 roku. Wówczas stanowisko szefa zespołu objął major doktor nauk medycznych **Zbigniew Macioł**, specjalista medycyny lotniczej, otolaryngolog. Do personelu dołączyli nowi ratownicy medyczni: młodszy chorąży **Piotr Zwaliński** i kapral **Ignacy Brożny**. W listopadzie pracę zaczął też starszy lekarz zespołu kapitan doktor nauk medycznych **Marcin Kura**, robiący specjalizację z anestezjologii.

„Musieliśmy zacząć wszystko niemal od zera. Dysponowaliśmy dobrym wyposażeniem głównym, ale nie mieliśmy opracowanych zasad działania, leków i innego drobnego, ale niezbędnego sprzętu medycznego”, mówi szef ZEM. „Cały kłopot w tym, że jesteśmy pionierską ekipą. Nie mamy żadnych polskich wzorców. Wszystkiego musimy uczyć się sami”.

W wolnym czasie personel zespołu opracowywał dokumentację. Stworzył procedury zachowania się na pokładzie samolotu, również działania na ewentualność rozhermetyzowania się maszyny. Rozpisał krok po kroku zasady pracy z pacjentem, uporządkował wykaz chorób, które wykluczają jego transport drogą lotniczą (między innymi schorzenia kardiologiczne i pulmonologiczne). Szef zespołu zamówił dodatkowy sprzęt, lekarze opracowali wykaz niezbędnych im leków.

W czerwcu 2011 roku szef ZEM zameldował dowódcy bazy o osiągnięciu gotowości do działań i niespodziewanie dwa dni później zapadła decyzja o pierwszej ewakuacji chorego. Transportowany z Kosowa pacjent wymagał intensywnego dozoru medycznego, dlatego w trakcie lotu korzystano z zestawu Medevac. Kilka miesięcy później, również z Kosowa, zespół przywiózł do Polski kolejnego pacjenta w ciężkim stanie.

Przepisy stanowią, że potrzebę ewakuacji ранnego czy chorego żołnierza z rejonu misji zgłasza swojemu dowódcy szef służby zdrowia kontyngentu. Kolejno w akcję angażują się Dowództwo Operacyjne SZ, Siły Powietrzne i Inspektorat Wojskowej Służby Zdrowia. Do zorganizowania wylotu medycy z 8 BLTr potrzebują minimum 48 godzin, choć jak dotąd akcje w trybie pilnym jeszcze się nie zdarzyły.

„Do nas trafia dokumentacja medyczna”, mówi chorąży **Anna Kaczmarczyk**. „Analizujemy przypadek, i szef zespołu ustala, w jakim składzie polecimy po chorego. Musimy też odpowiednio się spakować”.

Jeśli pacjent jest w stanie stabilnym, ogólnym dobrym, w misji ratunkowej uczestniczą zwykle dwie osoby. Gdy jego stan określa się jako ciężki, lecą najczęściej trzy osoby z zespołu. „Wtedy zabieramy nosze LSTAT i – jeżeli stan pacjenta tego →

wymaga – asekuracyjnie zestaw Medevac”, opowiada kapral **Małgorzata Michoń**. „Na każdy wylot zabieramy dużo sprzętu. Liczymy się z możliwymi powikłaniami podczas lotu i dublujemy wyposażenie. W powietrzu musimy mieć pewność, że nawet jak się coś zepsuje, to będziemy mogli choremu pomóc”.

O tym, że usterki się zdarzają w najmniej oczekiwanym momencie, zespół przekonał się już na początku. „Sprzęt do ewakuacji medycznej był serwisowany na bieżąco, zgodnie z wymaganiami”, wyjaśnia kapitan **Kura**. „Ale w trakcie pierwszych lotów okazało się, że i LSTAT, i Medevac są awaryjne. To nic nadzwyczajnego. Sprzęt naszpikowany elektroniką po prostu czasami zawodzi. Zgłosiliśmy problemy producentowi i większość błędów została naprawiona”. Szef ZEM przyznaje, że przez kilka pierwszych ewakuacji, niezależnie od potrzeb, do każdego pacjenta zespół leciał wyposażony w nosze LSTAT i system Medevac. „Chcieliśmy zobaczyć, jak sprzęt będzie działał. Zdarzało się bowiem, że w powietrzu nie pracował już tak dobrze, jak podczas prób na lotnisku. Dziś już nie ma takiego problemu”.

AMBITNE KURSY

Cenniejsze od drogich zestawów lotniczej ewakuacji jest wykształcenie dobrego lekarza czy ratownika. Oni powinni poradzić sobie nawet wówczas, gdyby dysponowali podstawowym sprzętem.

„Wysoki poziom wykształcenia i dobre wyposażenie zapewnią naszym pacjentom maksimum bezpieczeństwa”, przekonuje kapitan **Kura**. Pogląd ten podziela szef ZEM i dlatego kieruje podwładnych na szkolenia, kursy i ćwiczenia z Amerykanami. W styczniu 2012 roku ZEM szkolił się wspólnie z amerykańskimi odpowiednikami w bazie Ramstein.

„Amerykanie byli ogromnie zaangażowani i otwarci. Przedstawili nam wiele rozwiązań proceduralnych i praktycznych, które chcemy wykorzystać w kraju”, mówi szef zespołu. „Dużo uwagi poświęciliśmy sprawom technicznym, takim jak zapoznanie się w tlen w trakcie lotu. Zapoznaliśmy się także z urządzeniami do wzajemnej komunikacji na pokładzie”.

Przez ostatnie pół roku personel ZEM podnosił kwalifikacje na kursach zaawansowanych zabiegów resuscytacyjnych u osób dorosłych, rozszerzonej pierwszej pomocy z ratownictwa medycznego w warunkach taktycznych, bojowego ratownictwa taktycznego na bazie wytycznych TCCC (Tactical Combat Casualty Care) oraz ogólnych kursach ratownictwa medycznego.

Poza kursami dodatkowymi ustalono program szkolenia indywidualnego dla całego zespołu, tak aby każda z osób dwa razy w tygodniu praktykowała w 5 Wojskowym Szpitalu Klinicznym na oddziałach ratunkowych i intensywnej opieki medycznej. Ponadto medycy szlifują język angielski – na kursach bądź indywidualnie.

Skromne siły

Większości krajów natowskich zespoły ewakuacji medycznej są osobnymi jednostkami wojskowymi. W siłach zbrojnych Hiszpanii, Szwecji, Stanów Zjednoczonych zespoły ewakuacji tworzy kilkadziesiąt osób. W Polsce sześciuosobowy ZEM podlega dowódcy 8 Bazy Lotnictwa Transportowego. Od 2006 roku zespół ma do dyspozycji lotnicze zestawy do ewakuacji medycznej, które straciły gwarancję (do 2010 roku nie były używane). Koszt konserwacji i naprawy sprzętu medycznego przeznaczonego do ewakuacji lotniczej w 2011 roku przekroczył 38 tysięcy złotych, kalibracja i serwisowanie noszy LSTAT zaś – 26 tysięcy. Szkolenia specjalistyczne personelu medycznego ZEM kosztowały 17 tysięcy złotych.



„Nie udało się nam zorganizować kursu angielskiego z terminologii medycznej, więc każdy ma obowiązkową edukację w domu”, kwituje major **Macioł**. „Kiedy odbieramy pacjenta i jego dokumentację medyczną od Amerykanów, musimy dokładnie wiedzieć, kogo i co dostajemy”.

Ostatnio personel uczestniczył także w szkoleniu z intensywnej opieki medycznej w jednym z krakowskich szpitali. „To nasza inicjatywa”, przyznaje pielęgniarka **Anna Kaczmarczyk**. „Chcemy się uczyć, ponieważ ratownictwo to nasza pasja. Szukamy ambitnych kursów, które podniosą nasze kwalifikacje, utrwalać wcześniej nabyte umiejętności”.

Dodatkowo personel ZEM zaangażowany jest w pracę na rzecz znajdującego się na terenie 8 BLTr ambulatorium. W 2011 roku obecność medyków wymagana była także podczas przedsięwzięć szkoleniowych bazy, święta 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego, lotów o statusie HEAD czy w trakcie imprez typu Air Show. Zapewniali również obsługę medyczną w czasie pielgrzymki wojskowej do Rzymu z okazji beatyfikacji **Jana Pawła II**, brali udział w ćwiczeniach „Anakonda” i „Orzeł”, a także organizowali liczne pokazy sprzętu LSTAT i Medevac dla różnych instytucji wojskowych i dziennikarzy. W przyszłości zespół ma skupić się głównie na szkoleniu, ewakuacji i zabezpieczeniu medycznym lotów.

PASAŻER RATOWNIKIEM

Niewykluczone, że Zespół Ewakuacji Medycznej będzie miał liczniejszy skład. W pierwszej kolejności dołączy lekarz, a w przyszłości być może będą to pielęgniarka i dwóch ratowników. Jeżeli medycy zaczną latać po rannych do Afganistanu,



ZEM

a nie tylko, jak dotychczas, do Kosowa czy Ramstein, to dodatkowy personel bardzo się przyda.

Już obecny etat ZEM wymaga korekty. Zgodnie z obowiązującymi przepisami tylko szef zespołu jest częścią personelu latającego. Pozostałe osoby są jedynie pasażerami zajmującymi się w czasie lotu innym pasażerem – pacjentem. Major **Macioł** nie rozumie tej sytuacji: „Zostałem przebadany przez lekarzy Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej, teraz biorę udział w szkoleniu spadochronowym. Wszyscy na pokładzie pracujemy tak samo. Powinniśmy być na etacie pokładowym, tak jak reszta załogi”.

„Gdybyśmy byli częścią załogi, zostalibyśmy objęci wspólnym programem szkolenia. To pozytywnie wpłynęłoby na naszą współpracę”, wyjaśnia kapral **Michoń**. Rzecznik prasowy Dowództwa Sił Powietrznych podpułkownik **Sławomir Gąsior** potwierdził, że DSP wystąpiło do Sztabu Generalnego WP z wnioskiem o wprowadzenie specjalności wojskowej pokładowej dla pozostałych medyków ZEM. Jeżeli SGWP przyjmie

**CENNIJSZE
OD DROGICH ZESTAWÓW
LOTNICZEJ EWAKUACJI
MEDYCZNEJ
JEST WYSZKOLENIE
DOBREGO LEKARZA
CZY RATOWNIKA**

propozycję, to, będąc na etacie pokładowym, otrzymają oni też dodatek dla członka załogi w wysokości 450 złotych brutto.

Wkrótce w wyposażeniu ZEM znajdzie się nowy sprzęt: komora do transportu pacjentów z chorobą zakaźną wraz z kombinizonami ochronnymi dla członków zespołu. „Może to trochę na wyrost, ale chcemy być przygotowani”, wyjaśnia major **Macioł**. „Możemy transportować pacjentów z Afryki. Kiedyś tego rodzaju zabezpieczenie może się przydać”.

Jego podwładni przyznają, że wyposażenie, jakim dysponują, jest imponujące. „Brakuje nam tylko drobiazgów, które podniosłyby komfort pracy. Chodzi na przykład o bezprzewodowe słuchawki do komunikacji między członkami zespołu. Teraz w trakcie lotu musimy krzyczeć ze względu na hałas, a takie słuchawki wyciszają szum i pozwalają swobodnie rozmawiać, co jest istotne, jeśli opiekujemy się rannym”, wyjaśnia ratownik medyczny kapral **Michoń**. „Nie mamy kompleksów, jeśli chodzi o sprzęt”, mówi pielęgniarka chorąży **Kaczmarczyk**. „Amerykanie byli zaskoczeni, że jest tak nowoczesny. Dziwili się także, że w Polsce zaledwie sześć osób robi to, za co u nich odpowiedzialnych jest ponad dwudziestu medyków”.

Podpułkownik **Sławomir Gąsior**, rzecznik prasowy Dowództwa Sił Powietrznych, przyznaje, że być może w przyszłości do ewakuacji medycznej będą przystosowane także samoloty C-130, na których istnieje możliwość montażu 48 kompletów noszy (C-295M może wziąć maksymalnie 24 komplety). Na razie jednak lotnicza ewakuacja medyczna prowadzona jest tylko z wykorzystaniem C-295M z krakowskiej 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, gdzie działa jedyny w Siłach Powietrznych Zespół Ewakuacji Medycznej. ■



Skrzydlate sanki

Wojskowy Orlik po raz pierwszy wylądował bez podwozia.
Kapitan Stachurski zażartował, że mogli się katapultować, ale nie byli odpowiednio ubrani.

ARTUR GOŁAWSKI

Do zaplanowanego na godzinę lotu doskonalącego PZL-130 TCII Orlik wystartował z radomskiego lotniska 1 lutego o godzinie 11.42. Maszynę o numerze bocznym 038 prowadził będący w pierwszej kabynie dowódca klucza 60 Eskadry Lotniczej kapitan pilot **Dariusz Stachurski**. Z drugiej kabiny lot nadzorował podpułkownik pilot **Piotr Romanowski**, dowódca tej eskadry.

W ćwiczeniach numer 6/18/33 kapitan miał udowodnić przełożonemu, że opanował pilotowanie nowej wersji Orlika. Wykonał dwa kręgi połączone z lądowaniem, po czym odleciał do strefy akrobacji. Na wysokości 3 tysięcy metrów lider Zespołu Akrobacyjnego „Orlik” zademonstrował figury średniego i wyższego pilotażu. Po wyjściu ze strefy maszyna zniżyła się do 300 metrów i pilot zaczął wykonywać manewr do lądowania.

NO TO MAMY PROBLEM

Stachurski zredukował prędkość i przestawił dźwignię sterowania podwoziem do pozycji „wypuszczone”. Nie usłyszał jednak charakterystycznego dźwięku, nie poczuł wibracji na drążku, także lampki w kabinie i mechaniczne sygnalizatory na skrzydłach pokazywały, że podwozie pozostało schowane i zablokowane. Powtórzył więc czynności. Znow bez skutku. Zameldował podpułkownikowi **Romanowskiemu** o sytuacji. Dowódca zaproponował, że spróbuje wypuścić podwozie z drugiej kabiny. Jego dwukrotne próby też się nie powiodły. Skwitował więc spokojnie: „No to mamy problem”.

Kapitan zgłosił awarię dyżurującemu na wieży instruktorowi pilotowi, który może znaleźć rozwiązanie problemu i przekazać je przez radiostację. Tego dnia funkcję tę pełnił porucznik **Michał Anielak**. Odczytał on załodze odpowiedni fragment instrukcji. Upewnili się, że działają prawidłowo.

Awaryjne wypuszczanie podwozia zdarza się lotnikom dość często. Każdy ćwiczy je też na symulatorze, załoga była więc na to przygotowana. Kapitan wykonał poprawnie wszystkie awaryjne czynności, ale zielone lampki na wskaźniku stanu podwozia się nie zapaliły. Piloci spróbowali jeszcze wypuścić je metodą grawitacyjną, zwiększając przeciążenie do +3g, na wypadek, gdyby przyczyną blokady było proste zakleszczenie. Ale i to nic nie dało. Wyczerpali już wszystkie sposoby przewidziane w instrukcji pilotowania Orlika.

Ponieważ mieli wątpliwości co do stanu goleni przedniej, przelecieli na wysokości wieży. Porucznik **Anielak**, patrząc przez lornetkę, stwierdził, że częściowo się wysunęła, schowane pozostały za to golenie główne. Piloci uznali, że mogą lądować bezpiecznie bez podwozia, bo zdołają zachować kontrolę nad maszyną i symetrię dobiegu.

BEZ ZDALNEGO STEROWANIA

Pułkownik pilot **Adam Ziółkowski** rozpatrywał w sztabie pisma i obsługiwał kolejnych interesantów, gdy zadzwonił do niego oficer dyżurny z meldunkiem, że jeden z Orlików ma problem z podwoziem. Pułkownik szybko udał się na wieżę, gdzie porucznik **Anielak** zapoznał go z sytuacją 038.

Dowódca 42 Bazy Lotnictwa Szkolnego i podwładni zgromadzeni na wieży mieli dylemat: namawiać kolegów do lądowania na betonie czy na zmarzniętej trawie? W takiej sytuacji w instrukcji pilotażu Orlika przewidziane są trzy rozwiązania. Pierwsze to wypuszczenie i zablokowanie goleni podwozia przedniego przy schowanych goleniach podwozia głównego. Instrukcja nakazuje katapultowanie się, a jeśli to niemożliwe, lądowanie na pasie betonowym. Drugie to lądowanie z częściowo wysuniętymi goleniami podwozia głównego; siada się na pasie betonowym. Trzecie zaś to lądowanie z całkowicie schowanym podwoziem, na pasie trawiastym.

Częściowe wysunięcie przedniej goleni i brak pewności, czy zablokowała się na zamkach, komplikowało sytuację.

„Uznaliśmy, że jak koledzy przyziemią, to ta goleń się schowa. Zasugerowaliśmy im więc, aby lądowali na pasie trawiastym”, przyznaje pułkownik **Ziółkowski**. „Uszanowaliśmy prawo załogi do samodzielnego decydowania o locie. Za pośrednictwem służby dyżurnej mówiliśmy, co naszym zdaniem jest słuszne, ale nie narzucaliśmy sposobu postępowania”.

„Nie mieliśmy poczucia, że traktuje się nas jak zdalnie sterowane modele. Odpowiadaliśmy za siebie. Tego też uczymy podchorążych”, zaznacza podpułkownik **Romanowski**. Zapewnia, że załoga nie rozważała katapultowania się, ale była na nie przygotowana. „Konieczność opuszczenia samolotu nie może zaskoczyć pilotów”.

Kapitan **Stachurski** żartuje: „Nie ubraliśmy się na taką okoliczność. Na poziomie gruntu było rześko, 18 stopni mrozu”. ➔



Mistrzowska załoga

OBAJ SĄ
PILOTAMI KLASY
MISTRZOWSKIEJ
I DOŚWIADCZALNYMI
– PODPUŁKOWNIK
KLASY I, KAPITAN KLASY II.

ma prawie 3450 godzin nalotu, z tego ponad 1,5 tysiąca na Orliku, na którym w 2011 roku wylatał 217 godzin. Należy do grupy pilotów odbierających samoloty po modernizacji z zakładów na Okęciu.

Piotr Romanowski

ma 2182 godziny nalotu, z tego 1518 na Orliku – w 2011 roku wylatał nim 120 godzin. W Zespole Akrobacyjnym „Orlik” jest pilotem prowadzącym.

Dariusz Stachurski

MILITARIUM STUDIO
ARTUR GOŁAWSKI



Dowódca Sił Powietrznych i miesięcznik „Skrzydłata Polska” wyróżnili załogę na Balu Lotnika. Dowódca bazy wręczył pilotom pamiątkowe statuetki z sylwetką samolotu z numerem 038.



Ostateczną decyzję o lądowaniu bez podwozia podjął dowódca załogi. Służba dyżurna powiadomiła o tym grupę ratowniczą. Strażacy i medycy podjechali do pasa i czekali na lądowanie. Orlik przez prawie 40 minut wypalał paliwo, by wylądować z minimalnym jego zapasem. Zużycie pilotów kontrolowali przepływomierzem. Przyjęli, że lądują, gdy zostanie 100 litrów.

„To pozwalało powtórzyć manewr”, tłumaczy **Stachurski**. „Ze 100 litrami moglibyśmy utrzymać się w powietrzu 20 minut, a jednocześnie taka ilość nie mogła spowodować wielkiego pożaru”.

Przed lądowaniem dowódca rozdzielił czynności. Planowaniem manewru zajął się kapitan, ponieważ siedział na przednim fotelu i miał lepszą widoczność. Siedzący w drugiej kabine dowódca był gotów ingerować w sytuację, gdyby pojawiły się kłopoty. Dodatkowo miał wyłączyć silnik przed przyziemieniem.

Podejście do lądowania przebiegło spokojnie. Gdy **Romanowski** na wysokości około czterech metrów wyłączył silnik, zapadła cisza. Tak jak się spodziewali, pojawił się silny moment pochylający, więc skupili się na utrzymaniu właściwych kątów natarcia. Po siedmiu sekundach szybowania z prędkością 150 kilometrów na godzinę samolot zaczął szorować brzuchem o ziemię. Pilotów słyszeli turkotanie, jak przy jeździe na sankach. Maszyna osiadła na przednim kole, które po chwili się schowało, i na końcówkach kłap. Po niecałych 400 metrach stanęła. Ćwiczenia numer 6/18/33 trwały 1 godzinę i 37 minut.

ULGA NA WIEŻY

Lądowanie zarejestrowała ekipa czekająca na samolot na ziemi. Zrobili zdjęcia i nakręcili film aparatem komórkowym, bo kamera zamarzała. Gratulacje z powodu szczęśliwego za-

kończenia jako pierwsi złożyli załodze byli członkowie grupy ratownictwa lotniskowego. Uścisnęli pilotom dłonie i pochwalili mistrzowskie opanowanie fachu. Na szczęście, ich rola mogła się do tego ograniczyć.

Pułkownik **Ziółkowski** i inni na wieży odetchnęli z ulgą. „Emocje były, bo nie wiedzieliśmy, jak zachowa się Orlik po zetknięciu ze zmarzniętym gruntem. Ulżyło nam, gdy samolot zatrzymał się, a koledzy wysiedli o własnych siłach”.

Uszkodzenia płatowca okazały się niewielkie. Na pierwszy rzut oka wymiany wymagają zgięta łopata śmigła oraz kłapy. Unieruchomienie śmigła przed przyziemieniem zapobiegło przeniesieniu momentu obrotowego na wał silnika, a przez połowę dobiegu przednia goleń podtrzymywała nos maszyny w górze i śmigło nie stykało się z ziemią, więc silnik zapewne nie ucierpiał. Pilotów wierzą, że 038 wróci do latania – dopiero co, w lipcu 2011 roku, odebrali go z zakładu po modernizacji.

DOBRE, ŻE TO ONI

Prawdopodobnie zawiódł zawór sterowania podwoziem. Dziwne jest to, że od lipca 2011 roku funkcjonował prawidłowo, a 1 lutego 2012 roku około godziny 12.40 zablokował się i nie pozwolił działać ani hydraulicce, ani pneumatyce.

„Dobrze się stało, że awaria przytrafiła się tej załodze i w takich warunkach”, przyznaje pułkownik **Ziółkowski**. „Mamy pewność, że ci koledzy niczego nie zaniedbali. Zyskaliśmy nowe doświadczenie, dotąd nikomu nie zdarzyło się lądować Orlikiem ze schowanym podwoziem”.

Gdyby awaria przydarzyła się młodemu instruktorowi i podchorążemu w nocy lub podchorążemu w locie samodzielny, instruktor pilot mógłby nakazać im, aby się katapultowali. Słabo znający Orlika samotny pilot mógłby nie poradzić sobie z właściwym wykonaniem wszystkich czynności. Służba na wieży miałaby zaś kłopot z oceną stanu podwozia. ■

flesz

WOJSKA LĄDOWE

ADAMA ROIK/COMBAT CAMERA DOSZ

**OD UMIEJĘTNOŚCI PILOTÓW MOŻE ZALEŻEĆ
BEZPIECZEŃSTWO PRACOWNIKÓW PLATFORMY.**



**LĄDOWANIE
ŚMIGŁOWCEM
NA PLATFORMIE
WIERTNICZEJ
WYMAGA
CHIRURGICZNEJ
PRECYZJI
I DOSKONAŁEJ
WSPÓŁPRACY
CAŁEJ ZAŁOGI**

TSOKOŁ



Chorążcy sztabowy marynarz Waldemar Domański i kapitan Dariusz Aleksandrowicz przed startem z 43 BLM

PIOTR ZARZYCKI

Załogi śmigłowców W-3 Sokół z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej powiększyły swoje umiejętności o manewr lądowania na platformie wiertniczej. Szkolenie odbyło się na Bałtyku. Piloci ćwiczyli start z platformy firmy Petrobaltic i lądowanie na niej, jedynym takim polskim obiekcie na naszym morzu.

Tygodniowe ćwiczenia przygotowywały załogi z 7 Dywizjonu Lotniczego do prowadzenia działań w ramach operacji kryzysowych, w tym do przerzutu pododdziałów specjalnych lub antyterrorystycznych na platformy wiertnicze.

Szkolenie rozpoczęło się od teoretycznego przygotowania do lotów nad morzem oraz lądowania na platformie wiertniczej. Następnie piloci z Wojsk Lądowych odbyli w Ośrodku Szkolenia Nurków i Pletwonurków w Gdyni trening z samoratowania i przetrwania na wodzie. Po zakończeniu zajęć teoretycznych i wznowieniu nawyków pilotażowych do wykonywania lotów nad morzem załogi przygotowane zostały do realizacji części praktycznej.

Pilotów Sokołów z Nowego Glinnika sztuki lądowania na platformach uczyli instruktorzy lotnictwa Marynarki Wojennej z 43 Bazy Lotnictwa Morskiego. ■



W-3 Sokół startuje z lotniska 43 Bazy Lotnictwa Morskiego w Gdyni-Babich Dołach. Na zdjęciu podczas lotu nad Bałtykiem

PILOCI SOKOŁÓW PO RAZ PIERWSZY MIELI MOŻLIWOŚĆ PRZEĆWICZYĆ LĄDOWANIE NA PLATFORMIE WIERTNICZEJ. W OPANOWANIU TEJ SZTUKI POMAGALI INSTRUKTORZY LOTNICTWA MORSKIEGO

flesz



ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DOSZ



Szeregowy po angielsku

Ośmielił się napisać książkę do nauki angielskiego dla żołnierzy.
Rozeszła się jak świeże bułeczki.

PAULINA GLIŃSKA

Chciał zostać lekarzem, by ratować ludzkie życie. Dostał się na studia medyczne. Jednocześnie zaczął studiować filozofię. Na obu kierunkach poznał odpowiedzi na wiele nurtujących go pytań, nabrał dystansu do świata i dowiedział się... czego w życiu robić nie chce. W 2003 roku przerwał studia. Wyjechał do Australii, kraju, na który było go stać. Dolar australijski był wtedy najtańszy. Opłacił wizę i uczelnię w Sydney. Spędzany tam czas dzielił między naukę, plażę i przesiadywanie w antykwariacie. Był także wolontariuszem w organizacji pomocowej. Na ukończenie uczelni zabrakło mu pieniędzy. W 2005 roku wyjechał do Wielkiej Brytanii. Znalazł pracę i dostał się do University College w Londynie.

SPOTKANIE Z MUNDUREM

W 2006 roku, gdy **Arkadiusz Sawa** był jeszcze w Anglii, rodzice powiadomili go, że polskie wojsko szuka go za uchylanie się od służby. Musiał przesłać zaświadczenie, że studiuje za granicą. „Zostałem wykreślony z rejestru poszukiwanych, ale gdy w 2007 roku wróciłem, po trzech dniach odwiedzili mnie policjanci z wezwaniem do komendy uzupełnień”, wspomina. „Gdy się tam stawilem, dostałem «odroczkę» na parę miesięcy”.

Wtedy na serio pomyślał o wojsku. Nie miał w rodzinie tradycji militarnych – ostatnim noszącym mundur był pradziadek. „Czułem jednak, że wojsko gdzieś we mnie siedzi. Byłem ciekaw, jak tam jest”, przyznaje. Latem 2007 roku zaczął służbę zasadniczą w 1 Warszawskiej Brygadzie Pancerniej w Wesołej. W grudniu 2008 roku został żołnierzem zawodowym. Dziś jest starszym szeregowym, kierowcą, ratownikiem w zespole ewakuacji medycznej w 1 BPanc.

„Po powrocie do Polski miałem jasno określone cele, a decyzję o wstąpieniu do wojska zawodowego dobrze przemyślałem. Może gdybym podjął ją w wieku 19 lat, ina-

czej bym do tego podszedł i byłoby mi dużo trudniej być żołnierzem”.

Pasją **Arka** stała się filologia angielska. W tym roku kończy studia na tym kierunku. Podpisuje się pod sentencją

Ludwika Wittgensteina, że „granice mojego języka wyznaczają granice mojego świata”. Ma zacięcie poliglotty, ale w nauce języków dopatruje się – jako niedoszły filozof – głębszego sensu. „Uczę się języka wtedy, kiedy społeczność, która ten język stworzyła, mi imponuje. Tak jest z angielskim, który zdominował cały świat. Język **Puszkina** też działa na mnie inspirująco”.

Teraz, słuchając rosyjskiego rapu i oglądając rosyjskie audycje, przygotowuje się do egzaminów, według normy STANAG, z języka naszych sąsiadów. Nie interesują go natomiast włoski czy francuski.

Gdy jako ekstern przygotowywał się do re-sortowych egzaminów z angielskiego na poziomie drugim i trzecim, zorientował się, że nie ma dobrej książki do nauki tego języka. Potwierdzili to koledzy, a on sam o brakach językowych polskich żołnierzy przekonał się w czasie wspólnych ćwiczeń z Amerykanami.

„O ile komunikacja podstawowa odbywała się bez większych problemów, o tyle w rozmowach na tematy wojskowe, specjalistyczne, Polacy mieli kłopoty. Tłumaczyli, że nie mają się z czego uczyć. Rozmawiałem też z lektorami przygotowującymi żołnierzy do egzaminów. Powiedzieli, że nawet jeśli starają się wprowadzić rozbudowaną terminologię wojskową, to pierwszym pytaniem uczniów jest, czy to materiał obowiązkowy. Jeśli okazuje się, że nie, chętnych do nauki ponad program nie ma. Dla-

tego postanowiłem napisać podręcznik, który pomógłby żołnierzom w zrozumieniu militarnego języka angielskiego”.

POZYTYWNY ODBIÓR

Podręcznik przygotowywał kilka miesięcy. Strona po stronie, ćwiczenie po ćwiczeniu. Zazwyczaj w czasie pozasłuż- ➔



ARCHIWUM ARKADIUSZA SAWY

W RODZINIE
STARSZEGO
SZEREGOWEGO
**ARKADIUSZA
SAWY NIE BYŁO
TRADYCJI
MILITARNYCH
– OSTATNI NOSIŁ
MUNDUR JEGO
PRADZIADEK**

bowym. Wykorzystał w tej pracy doświadczenie, które zdobył jako korepetytor. O swoim pomysłach nie mówił głośno, dopóki nie otrzymał pozytywnej recenzji ze studium języków obcych Akademii Obrony Narodowej. Wydawca zażądał, aby podręcznik uzyskał opinię którejś z instytucji wojskowych. Wtedy starszy szeregowy dowiedział się, że o wiele łatwiej książkę napisać, niż zdobyć jej recenzję i ją wydać.

Podręcznik „Angielski dla żołnierzy Wojsk Lądowych” ukazał się w listopadzie 2011 roku, w takim formacie, aby można go było wrzucić do plecaka i zabrać na poligon czy misję. To pierwsza taka książka napisana przez żołnierza dla żołnierzy, zalecana w szczególności – jak zaznacza autor – kandydatom do szkół oficerskich i podoficerskich, osobom uczącym się do egzaminu według normy STANAG 6001 na poziomach drugim i trzecim oraz pasjonatom wojskowości. Departament Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON zalecił ją jako lekturę uzupełniającą dla lektorów i studentów na kursach stanagowskich.

Pierwszy nakład – 500 sztuk – rozszedł się błyskawicznie. Wydawnictwo Bellona zdecydowało o dodruku.

„Jest zapotrzebowanie na tego rodzaju pozycje. Spotkałem się z wieloma pozytywnymi reakcjami. Wielu żołnierzy mówiło, że gdyby taka książka była dostępna wcześniej, łatwiej przyszłoby im się uczyć do egzaminów, a później – porozumiewać z sojusznikami. Język angielski

jest dziś międzynarodowym medium komunikacji. W czasie współpracy z żołnierzami innych nacji bez jego znajomości nie da się przeprowadzić żadnej odprawy, napisać żadnego dokumentu”.

ZMIANA ŚWIADOMOŚCI

Autor oprócz ogromnego wsparcia kolegów i przełożonych spotkał się także z nieprzychylnymi opiniami. Na przykład z taką, że jako szeregowy ośmielił się być mądrzejszy od starszych stopniem. To go jednak nie zraziło. „Dobrze mi w wojsku, odnalazłem tu swoje miejsce. To ważne, by czuć satysfakcję z pracy. Ja ją mam, podobnie jak pełne poparcie przełożonych i kolegów”.

Kapitan **Zbigniew Gierczak**, rzecznik prasowy 1 Warszawskiej Brygady Pancernej, uważa, że tacy ludzie jak **Arek** mogą zmienić sposób postrzegania żołnierzy najmłodszego korpusu. „On pokazuje, że szeregowy może być wykształcony, ambitny, że umie ciężko pracować”.

Poza językami **Arek** interesuje się strzelectwem. Zrobił uprawnienia instruktora strzelectwa i – za zgodą dowódcy – wykonuje dodatkową pracę. Chce skończyć studia, wziąć udział w zawodach Long Shot i zapukać do bram szkoły oficerskiej. Teraz pisze kolejny podręcznik. Tym razem dla żołnierzy przygotowujących się do egzaminu z języka angielskiego na poziomie pierwszym. Książka jest gotowa w 80 procentach. ■



Patria

Rozwiązania, które zapewniają ochronę i bezpieczeństwo

Patria, info@patria.fi, www.patria.fi

Po czterech latach prac badawczo-rozwojowych prototyp Ułana XXI, ekwipunku dla polskiego żołnierza przyszłości, jest gotowy.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Nad ekwipunkiem żołnierza przyszłości Bumar zaczął prace w 2006 roku we współpracy z francuską firmą Sagem. Partnerzy dostarczyli trzon systemu, czyli zintegrowane w jeden podzespół przyrządy celownicze i urządzenia nawigacyjne, bazujące na wdrożonym do służby francuskim systemie FELIN. Budowy uzbrojenia Ułana 21 podjęło się konsorcjum warszawskiego Instytutu Mechaniki Precyzyjnej (IMP), Zakładów Metalowych „Dezameł” z Nowej Dęby oraz Zakładu Konstrukcji Specjalnych Wojskowej Akademii Technicznej. Miało łączyć cechy granatnika samopowtarzalnego kalibru od 25 do 40 milimetrów i karabinka →

armia

UŁANA XXI
NIEOFICJALNIE
NAZYWA SIĘ
BUMAROWSKIM
TYTANEM



CYFROWY
WOJNA

WYPOSAŻENIE UŁANA XXI MA SKŁADAĆ SIĘ Z PIĘCIU SYSTEMÓW: UZBROJENIA I AMUNICJI, ROZPOZNANIA, OCHRONY, UMUNDUROWANIA I PRZENOSZENIA ORAZ KOMUNIKACJI I DOWODZENIA

automatycznego o kalibrze 5,56 milimetra. Otrzymało kryptonim „Neon”.

Ułan 21 wyszedł poza fazę projektową. Na przełomie 2007 i 2008 roku testowano w tajemnicy cztery demonstratory systemu. Funkcjonalny zestaw zaprezentowano po raz pierwszy na targach Future Soldier 2008 w czeskiej Pradze. Nasz resort obrony nie wykazał większego zainteresowania bumarowskim projektem. Był to sygnał, że interesuje go narodowy system. Bumar zakończył zatem współpracę z Francuzami i zaprosił do konsorcjum polskie firmy. Aby zachować ciągłość prac, twórcy zmienili pisownie nazwy projektu na Ułan XXI. Pierwszą wersję systemu pokazano na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach w 2009 roku.

POLSKI ŻOŁNIERZ PRZYSZŁOŚCI

Doktor inżynier **Tomasz Mirosław**, koordynator projektu Żołnierz Przyszłości w Dywizji Bumar Żołnierz, podkreśla, że inżynierowie pracujący nad tak zwanym indywidualnym systemem walki przyjęli, iż będzie on miał budowę modułową.

„Analizując możliwe scenariusze działań, trudno nie dojść do wniosku, że budowa uniwersalnego systemu na każdą okazję i za rozsądną cenę w zasadzie jest niemożliwa. Dlatego trzeba skonstruować zbiór kompatybilnych elementów, z których żołnierz skomponuje sobie wyposażenie adekwatne do sytuacji na polu walki”.

Wyposażenie Ułana XXI, podobnie jak większości opracowywanych za granicą projektów dla żołnierzy przyszłości, ma składać się z pięciu systemów: uzbrojenia i amunicji, rozpoznania, ochrony, umundurowania i przenoszenia oraz komunikacji i dowodzenia. Kluczowy jest ten ostatni (C4I). Dzięki niemu żołnierz ma otrzymywać informacje z nadrzędnych szczebli dowodzenia, w tym dane głosowe i syntetyczne (mapa z zobrazowaniem pozycji wojsk własnych i przeciwnika), informacje tekstowe oraz obrazy z grupowego systemu rozpoznania (bezzałogowych obiektów latających i lądowych). Do dowódcy natomiast mają trafiać wiadomości głosowe o pozycji własnej żołnierza, obraz z indywidualnych systemów rozpoznania oraz informacje o stanie zdrowia. Wszystkie dane będą zabezpieczone kryptograficznie. W konsorcjum kierowanym przez Bumar budowy systemu C4I podjęła się firma WB Electronics.

Demonstrator urządzenia, które ma być sercem C4I – komunikator PSI, inżynierowie z Ożarowa zaprezentowali na ubiegłorocznej wystawie MSPO. Prototyp po raz pierwszy pokazano publicznie 22 marca 2012 roku na specjalnej konferencji zorganizowanej przez Bumar Żołnierz.

Poza PSI wszystkie inne elementy wyposażenia bumarowskiego indywidualnego systemu walki w zasadzie są już gotowe albo będą w najbliższych tygodniach. Fabryka Broni „Łucznik” finalizuje prace nad prototypem MSBS – moduło-

wego karabinu o kalibrze 5,56 milimetra, który ma zastąpić beryla. Żołnierz używający Tytana w pododdziale specjalistycznym (na przykład rozpoznawczym) może być również uzbrojony w karabiny wyborowe ALEX 8,6 milimetra oraz 7,62 milimetra (OBRSM Tarnów), a także granatniki podwieszane i powtarzalne (Dezamet).

Gotowe są również nowe wzory mundurów i osłon balistycznych. Maskpol zaprezentował na MSPO 2011 innowacyjny hełm z szyną akcesoryjną oraz zestaw kamizelek kuloodpornych. Imponująco prezentuje się rodzina przeznaczonych dla żołnierzy przyszłości urządzeń optoelektronicznych. PCO (od niedawna Bumar Żołnierz) oferuje celownik termowizyjny CTS-2 (powstał we współpracy z WAT), gogle noktowizyjne MU3 oraz MTN-1 – monokular wykorzystujący syntezę obrazów nokto- i termowizyjnego.

Urządzeniem, nad którym prace nadal trwają, a które zgodnie z zapowiedziami Bumaru wejdzie w skład Tytana dopiero po 2015 roku, jest opracowywany przez Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej oraz Wojskowy Instytut Higieny i Epidemiologii system monitorowania życia MMZ.

ZDERZENIE Z BIUROKRACJĄ

Bumarowski Tytan w wersji beta prawdopodobnie zadebiutuje publicznie w najbliższych miesiącach, być może na MSPO 2012 lub październikowych targach Future Soldier w Pradze. Nie oznacza to oczywiście, że wojsko go kupi w takiej konfiguracji. Ułan XXI to bowiem jedynie propozycja przemysłu, która nie musi znaleźć akceptacji resortu obrony.

Modernizacją indywidualnego wyposażenia żołnierzy MON zajęło się w 2007 roku, czyli rok po Bumarze. Nad koncepcją systemu walki Departament Polityki Zbrojeniowej pracował przez dwa lata (2007–2009). Minister **Bogdan Klich** nie tylko zaakceptował przygotowane przez departament studium wykonalności ISW, lecz także zaliczył Tytana do czternastu kluczowych programów operacyjnych. Pod koniec 2009 roku DPZ ogłosił zatem przetarg na opracowanie założeń do projektowania oraz taktyczno-technicznych.

Zlecenie zdobyło konsorcjum, którego liderem był Bumar. Znalazły się w nim Centrum Naukowo-Produkcyjne Elektroniki Profesjonalnej „Radwar” (obecnie Bumar Elektronika), Fabryka Broni „Łucznik” – Radom, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Sprzętu Mechanicznego, Przedsiębiorstwo Sprzętu Ochronnego „Maskpol”, Przemysłowe Centrum Optyki SA (obecnie Bumar Żołnierz), Zakłady Metalowe „Mesko”, Zakłady Metalowe „Dezamet”, Radmor, WB Electronics, Wojskowa Akademia Techniczna, Wojskowy Instytut Higieny i Epidemiologii oraz Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej. W listopadzie 2011 roku, czyli w ustalonym terminie, konsorcjum złożyło w DPZ projekt koncepcyjny wraz z analizą techniczno-ekonomiczną i projektem założeń taktyczno-technicznych (ZTT).

Po czterech miesiącach wojskowi gestorzy nadal analizują opracowany przez konsorcjum projekt i wnoszą do niego poprawki. Gdy skończą, dokumentacja trafi do akceptacji Rady Uzbrojenia. Dopiero po jej aprobacie resortowego Tytana będzie można kontynuować. Trudno ocenić, w jakim stopniu będzie on zbliżony z ofertą Bumaru. **Marcin Idzik**, wiceminister obrony narodowej, zadeklarował jednak 22 marca 2012 roku na wspomnianej już konferencji, że nie wyobraża sobie, by drugi etap prac nad Tytanem miało realizować konsorcjum inne niż bumarowskie. ■

Uzbrojenie Tytana

ALEX 8,6 MILIMETRA

Karabin wyborowy w układzie bezkolbowym, strzelający nabojami 8,6 milimetra x 70 (.338 Lapua Magnum). Waży 6,7 kilograma bez lunety i urządzenia wylotowego, a 7,5 kilograma z lunetą i dwójnogiem. Zasilany jest z pięcionabojowego magazynka pudełkowego.



Oczy systemu

MONOKULAR TERMALNO-NOKTOWIZYJNY MTN-1

To urządzenie obserwacyjne, które łączy technologie noktowizyjną i termowizyjną. Zachowuje przyjazne dla oka tło i szczegóły otoczenia, jak w klasycznym noktowizorze. Pokazuje na ekranie punkty o temperaturze wyższej niż otoczenie, tak zwane hot spots. W ten sposób można wykryć osoby, rozgrzane przedmioty, pojazdy. Użytkownik cały czas ma w polu widzenia noktowizyjny obraz obserwowanego miejsca.

Monokular ma niewielkie rozmiary i jest lekki, więc może być używany jako ręczne urządzenie obserwacyjne lub montowany na hełmie. W połączeniu z celownikiem holograficznym/kolimatorowym może też stanowić element systemu celowniczego do broni indywidualnej.



40-MILIMETROWY GRANATNIK RGP-40

Broń półautomatyczna, sześciostrzałowa, do zwalczania i obezwładniania żołnierzy przeciwnika, niszczenia urządzeń, budynków, środków ogniowych, pojazdów lekko opancerzonych oraz stawiania zasłon dymnych. Amunicją są tu naboje granatnikowe o wymiarach 40 x 46 milimetrów.



MSBS 5,56 MILIMETRÓW

Prace nad prototypem tego karabinu nie zostały oficjalnie zakończone i znamy tylko jego przybliżone parametry. Według założeń przyjętych na początku prac badawczo-rozwojowych przez inżynierów z Zakładu Konstrukcji Specjalnych Instytutu Techniki Uzbrojenia Wydziału Mechatroniki Wojskowej Akademii Technicznej (WAT) oraz Fabryki Broni Łucznik – Radom masa pustego karabinka MSBS o kalibrze 5,56 milimetrów w układzie klasycznym nie powinna przekroczyć 3,7 kilograma, w bezkolbowym zaś – 3,3 kilograma. Waga broni z amunicją to odpowiednio 4,22 kilograma i 3,82 kilograma. Długość całkowita broni kolbowej wyniesie około 980 milimetrów, bezkolbowej – 720 milimetrów. Wysokość – 280 i 320 milimetrów. Teoretyczna szybkostrzelność to w przybliżeniu 700 strzałów na minutę, a praktyczna – około stu.



Strzelecki celownik termowizyjny CTS-2

Celownik termowizyjny z mikrobolometryczną matrycą detektora podczernieni nadaje się do obserwacji oraz prowadzenia ognia z broni ręcznej i zespołowej kalibru 5,56 do 7,62 milimetra o dowolnej porze dnia i nocy, bez względu na stopień oświetlenia, także w niekorzystnych warunkach atmosferycznych.

| T E N D E N C J E |

SIŁA

TRZECIEGO WYMIARU

Śmigłowce i wojska aeromobilne mają coraz większy wpływ na wynik współczesnych bitew i konfliktów. Są bowiem szybkie, ruchliwe i potężnie uzbrojone. To prawdziwa powietrzna kawaleria.

TADEUSZ WRÓBEL

Szósty sierpnia 2011 roku. Armia amerykańska prowadzi nocną operację przeciwko talibom w prowincji Wardak na zachód od Kabulu. W Afganistanie to niemal codzienność, ale wtedy zdarzyło się coś, co wstrząsnęło Amerykanami. W czasie działań rozbił się śmigłowiec transportowy Ch-47 Chinook z 38 osobami na pokładzie. Wszyscy, w tym 30 amerykańskich żołnierzy, zginęli. Nie była to pierwsza katastrofa Chinooka w Afganistanie, ale spowodowała największe straty w jednym incydencie od początku wojny w 2001 roku. Było to tym boleśniejsze, że w większości śmierć ponieśli żołnierze wojsk specjalnych sił

powietrznych oraz marynarki wojennej. Ci ostatni służyli w jednostce, która kilka miesięcy wcześniej wykonała śmiały rajd w głąb Pakistanu i zabiła ukrywającego się tam założyciela Al-Kaidy **Osamę bin Ladena**. Waszyngton szybko zapewnił, że wśród ofiar katastrofy w dolinie Tangi nie było żadnego uczestników tego rajdu.

W armii amerykańskiej jest pułk lotnictwa przeznaczony do współdziałania z innymi jednostkami specjalnymi, ale stracony w Wardak CH-47 był zwykłym transportowcem. Deklaracje talibów, którzy natychmiast ogłosili, że zestrzelili Chinooka, przyjęto z ostrożnym dystansem, bo w przeszłości



AH-64 APACHE jest podstawowym śmigłowcem szturmowym wojsk lądowych Stanów Zjednoczonych.

U S A F

przypisywali oni swym działaniom niemal wszystkie katastrofy śmigłowców w Afganistanie. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że tym razem jednak mówili prawdę. Chinook został trafiony pociskiem z ręcznego granatnika.

Niebawem pojawiły się pytania, czy należy wysłać w tak niebezpieczne misje potężny, a zatem stanowiący łatwy cel śmigłowiec transportowy. Być może w takich operacjach powinno się wykorzystywać mniejsze maszyny wielozadaniowe. Tymczasem piloci mający za sobą doświadczenie afgańskie twierdzą, że Chinook jest jednym z niewielu typów śmigłowców, który sprawdza się w wysokich górach Afganistanu.

Po sierpniowej katastrofie nikt nie podważa sensu użycia tych maszyn w Afganistanie. Pytania dotyczą jedynie sposobu, w jaki to robić. W tym kraju śmigłowiec jest z pewnością najbezpieczniejszym środkiem transportu, gdyż nieliczne tam drogi są wręcz usiane improwizowanymi urządzeniami wybuchowymi. Bezpieczniej jest więc wysadzić desant śmigłowcowy w pobliżu celu i zaskoczyć przeciwnika, niż przedzierać się do niego lądem i tym samym ujawniać wrogowi swe zamiary. W Afganistanie są też miejsca, do których nie poza śmigłowcem nie dotrze. Poza tym amerykańscy wojskowi od czasów wojny w Wietnamie nie widzą możliwości pro- ➔

W AFGANISTANIE SĄ MIEJSCA, DO KTÓRYCH NIC OPRÓCZ ŚMIGŁOWCA NIE DOTRZE

wadzenia bez tych maszyn skutecznych działań. Walory śmigłowców doceniają też inne armie.

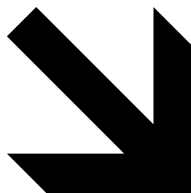
AMERYKAŃSKA POTĘGA

Stany Zjednoczone mają najbardziej rozbudowane lotnictwo wojsk lądowych i wojska aeromobilne na świecie. O ich potęgę najlepiej świadczy to, że własną brygadę lotniczą ma każda dywizja US Army i Gwardii Narodowej. Są w nich śmigłowce szturmowe, wielozadaniowe i transportowe, a także lekkie rozpoznawcze.

Przed zmianami organizacyjnymi w połowie minionej dekady brygady lotnicze US Army miały pięć różnych struktur, co wiązało się chociażby z rodzajem dywizji, którym były podporządkowane. Przeciętnie dysponowały około 130 śmigłowcami. Najpotężniejsze lotnictwo posiadała przekształcona w 1974 roku w aeromobilną 101 Dywizja Powietrznodesantowa (Powietrznoszturmowa). W jej etacie było 327 śmigłowców, w tym 84 szturmowe AH-64 Apache.

Po restrukturyzacji zmniejszyła się różnorodność struktur organizacyjnych brygad lotniczych w US Army, a liczba tych jednostek zredukowana została z 17 do 11. Amerykanie zdecydowali się na trzy typy brygad – ciężką, średnią (full spectrum) i lekką. Podstawowa różnica dotyczyła śmigłowców szturmowych. Brygada ciężka ma dwa bataliony Apache'ów, średnia jeden, a lekka żadnego. Ta ostatnia dysponuje za to dwoma szwadronami rozpoznawczymi z maszynami OH-58 Kiowa Warrior. W jednostce średniej jest jeden. Każda z brygad ma też batalion UH-60 oraz batalion mieszany z Black Hawkami i Chinookami. W Gwardii Narodowej wymieniono śmigłowce OH-58 na UH-72 Lakota. Po restrukturyzacji brygady lotnicze powinny mieć w granicach 110–120 śmigłowców.

Armia USA dysponuje kilkoma tysiącami śmigłowców różnych typów i wersji. Najwięcej jest dwusilnikowych UH-60 Black Hawk, które skonstruowano w latach siedemdziesiątych XX wieku w firmie Sikorsky. Maszyny te zastąpiły w siłach zbrojnych USA – poza Korpusem Piechoty Morskiej – Bella UH-1, którego kariera zaczęła się w czasach wojny wietnamskiej. Black Hawk to średni śmigłowiec wielozadaniowy, który w wersji desantowej może pomieścić 11-osobową drużynę piechoty z wyposażeniem (masa wewnętrzny ładunku to około 1,2 tysiąca kilogramów). Chinook jest



Nie ma jednolitej koncepcji organizacji lotnictwa wojsk lądowych i wojsk aeromobilnych. Niemal każde z państw przyjęło nieco inne rozwiązanie.



w stanie zabrać trzy razy więcej. Jego pierwsze egzemplarze pojawiły się w wojsku na początku lat sześćdziesiątych XX wieku. Obecnie do sił zbrojnych USA wprowadzana jest najnowsza wersja tej maszyny, o symbolu „F”.

Zupełnie nowym śmigłowcem w siłach USA jest UH-72 Lakota, czyli dostosowany do amerykańskich wymogów Eurocopter EC 145, dwusilnikowa lekka maszyna wielozadaniowa.

Śmigłowcem szturmowym jest ciągle unowocześniany Apache, który wszedł do służby w 1986 roku. Jego stałe uzbrojenie składa się z 30-milimetrowego automatycznego działka pod kadłubem. Na niewielkich skrzydłach po bokach



CANADIAN DOD

kadłuba znajdują się cztery podwieszenia do zasobników pocisków raketowych.

Popularnym w US Army śmigłowcem jest też OH-58D Kiowa Warrior, który od 1991 roku powoli zastępuje starsze wersje, OH-58, oraz AH-1 Cobra. Kiowa Warrior to uzbrojona, lekka, dwuosobowa maszyna rozpoznawcza. Niedawno pojawiły się informacje, że wojska lądowe zamierzają opracować nowszą wersję „wojownika”.

FRANCUSKA ŚCIEŻKA

Innych armii NATO nie stać na tak potężne lotnictwo śmigłowcowe. Dlatego europejskie rozwiązania organizacyjne

dotyczące jednostek lotniczych różnią się od tych za Atlantykiem. Przykładem może być Francja, której wojska jako pierwsze wykorzystywały masowo śmigłowce podczas wojny w Algierii w latach 1954–1962. Wtedy to z połączenia lotnictwa obserwacyjnego i pierwszej jednostki śmigłowców utworzono lekkie lotnictwo wojsk lądowych (Aviation Légère de l’Armée de Terre). Z doświadczeń Francuzów skorzystali później Amerykanie, którzy sformowali jednostki kawalerii powietrznej, walczące w Wietnamie.

W połowie lat osiemdziesiątych XX wieku Francuzi, jako jedyni spośród europejskich członków NATO, utworzyli jednostkę aeromobilną szczebla dywizyjnego. Ich 4 Dywizja Ae →



SA 341/342 Gazelle



Wojska aeromobilne zapewniają na polu bitwy możliwości, którymi nie dysponują inne rodzaje wojsk.



EC 725 Caracal



OH-58 Kiowa Warrior

USA F, AR MEE DE TERRE (2)

romobilna była o wiele mniejsza niż amerykańska Sto Pierwsza, miała bowiem tylko jeden pułk piechoty (równowartość dużego batalionu). Włączono zaś do niej trzy pułki śmigłowców bojowych (Regiment d' Helicopteres de Combat, RHC), które były wyposażone w lekkie śmigłowce Gazelle, uzbrojone w działka lub wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych. Dywizja miała też śmigłowce transportowe Puma, ale nie była jednostką powietrznoszturmową. Francuzi stworzyli ją jako zgrupowanie przeciwpancerne, które miało przeciwstawić się potencjalnej agresji wojsk Układu Warszawskiego i zwalczać kolumny wrogich czołgów.

Towarzysząca procesowi profesjonalizacji sił zbrojnych restrukturyzacja spowodowała przekształcenie w 1999 roku dywizji w brygadę. W nowej strukturze nie było jednostki piechoty, utworzono tylko pułki śmigłowców – 4,4 tysiąca ludzi i około 200 statków powietrznych. Brygada przetrwała do połowy 2010 roku.

W lotnictwie francuskich wojsk lądowych są cztery pułki. Trzy z nich to pułki śmigłowców bojowych o zróżnicowanej strukturze organizacyjnej. I tak 1 RHC liczy 13 eskadr (między innymi dziewięć ze śmigłowcami), a 3 RHC – dziewięć. Pierwszy z nich ma 59 maszyn, a drugi o dziesięć mniej. W obu są lekkie śmigłowce SA 341/342 Gazelle, w tym uzbrojone w wyrzutnie ppk HOT lub 20-milimetrowe działko. Pułki są także wyposażone w śmigłowce manewrowe Puma i Cougar. Produkcję SA 330 Puma rozpoczęto w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, a zakończono w 1987 roku. AS 532 Cougar wywodzi się ze zmodernizowanej cywilnej maszyny AS 332 Super Puma, która pierwszy raz wzbiła się w powietrze w 1977 roku. Obecne oznaczenie nadano

w 1990 roku, w celu odróżnienia wersji wojskowej od cywilnej. Ciekawostką w 1 RHC są Cougary z radarem Horizon.

Niezwykle interesujący jest trzeci spośród pułków francuskich wojsk lądowych, 5 RHC, który w pierwszej kolejności dostał nowe śmigłowce szturmowe Tiger. Francja zamierza ich zakupić osiemdziesiąt. Wprowadzaniu tego sprzętu towarzyszyła restrukturyzacja jednostki. Pułk jako pierwszy przeszedł na strukturę batalionową. W jego skład wchodzi dwa bataliony śmigłowców – jeden manewrowy i szturmowy oraz drugi rozpoznawczy i ataku. Każdy z nich ma mieć trzy eskadry lotnicze i dwie techniczne. Jest też batalion wsparcia. Według oficjalnych informacji w pułku służy 1150 wojskowych. Jednostka dysponuje 45 śmigłowcami, w tym dziewięcioma Tigerami.

Lotnictwo francuskich wojsk lądowych ma jeszcze czwarty pułk, śmigłowców sił specjalnych (trafiło do niego kilka wielozadaniowych maszyn EC 725 Caracal) oraz kilka mniejszych jednostek, w tym stacjonujące poza Francją.

Obecnie lekkie lotnictwo wojsk lądowych jest w trakcie przeobrażenia w nową generację śmigłowce, produkowane przez będącego częścią EADS Eurocoptera, które są efektem współpracy wielonarodowej. Francuzi zamierzają kupić 80 szturmowych Tigerów, ale nie wiadomo, czy wobec tendencji do ograniczania wydatków na obronę ów plan zostanie wykonany. Chciano też nabyć 133 wielozadaniowe NH90, które zastąpiłyby Pumy, a z czasem i Cougary. Jak dotychczas, potwierdzono zamiar zamówienia tylko 68.

Podobnie jak Francja dużej jednostki aeromobilnej nie ma także Hiszpania. Lotnictwo jej wojsk lądowych zorganizowane jest w sześć batalionów – trzy manewrowe (III, IV i VI)

oraz po jednym bojowym (I), ratowniczym (II) i transportowym (V). Hiszpanie mają zróżnicowany park śmigłowców. Są wśród nich amerykańskie Chinooki i UH-1H, włoskie AB-212 oraz niemieckie Bo-105. Najwięcej jest jednak wyrobów Eurocoptera – Super Puma, Cougar, EC 135. Do tego Hiszpania zakupiła 24 szturmowe Tigery i uczestniczy w programie NH90. Wstępny plan zakładał zakup 105 egzemplarzy do 2025 roku. Na początek miano zamówić 45, pojawiła się jednak informacja o zweryfikowaniu tej liczby do 38 w wersji lądowej. Pierwszy NH90 ma być dostarczony wiosną 2013 roku.

W Grecji od 1997 roku istnieje Brygada Lotnictwa Armii. Jednostka ma sześć batalionów śmigłowców, w tym dwa bataliony śmigłowców szturmowych. Jej dowództwo znajduje się w Stefanowikio w Tesalii. Tam też działa szkoła lotnicza. Grecka armia dysponuje między innymi śmigłowcami Apache, Chinook, UH-1, a także Bell 205 wyprodukowanymi przez włoską Agustę.

W sąsiadującej z Grecją Turcji, która jest jej lokalnym rywalem, dowództwu lotnictwa armii podlegają cztery pułki oraz mniejsze jednostki. Turcy mają szturmowe Cobry, których liczbę chcą zwiększyć najpierw o 60 egzemplarzy T129 (wersja włoskiej Mangusty), a potem być może rozszerzą zamówienie do 90. Wśród śmigłowców wielozadaniowych są Black Hawki, Cougary, AB-205 i UH-1. Ankara zawarła kontrakt na licencyjną produkcję ponad stu maszyn firmy Sikorsky oznaczonych jako T-70, z których około 20 ma trafić do lotnictwa armii.

KLASYCZNE ROZWIĄZANIA

Inne duże armie europejskie mają nie tylko jednostki lotnicze, lecz także aeromobilne. Jedną z nich jest brytyjska 16 Brygada Powietrznoszturmowa, którą utworzono w 1999 roku z połączenia 5 Brygady Spadochronowej i 24 Brygady Aeromobilnej. Jest to bardzo silna jednostka, mająca między innymi cztery bataliony piechoty, w tym dwa spadochronowe, trzy pułki śmigłowców oraz pułk artylerii. Brytyjskie jednostki śmigłowców są mniejsze od francuskich.

Według dostępnych informacji 3, 4 i 9 Pułk Korpusu Lotniczego Armii (Army Air Corps, AAC) mają po trzy eskadry i stanowią komponent bojowy lotnictwa wojsk lądowych. Pułki latają na 72 szturmowych śmigłowcach WAH-64D Apache Longbow i wielozadaniowych Lynxach. AAC ma jeszcze pięć innych pułków oraz kilka odrębnych eskadr i kluczy. Poza maszynami Apache i Lynx Brytyjczycy mają też lekkie Gazelle i szkolne Squirrel HT1. Interesujące, że ich wojska lądowe nie mają śmigłowców transportowych. Pumpy, Chinooki i Merliny są w eskadrach Królewskich Sił Powietrznych.

**W POŁOWIE LAT
OSIEMDZIESIĄTYCH XX WIEKU
FRANCUZI JAKO JEDYNI
SPOŚRÓD EUROPEJSKICH
CZŁONKÓW NATO UTWORZYLI
JEDNOSTKĘ AEROMOBILNĄ
SZCZEBŁA DYWIZYJNEGO**

Nasz zachodni sąsiad, Niemcy, ma też brygadę powietrznoszturmową z dwoma pułkami śmigłowców bojowych (26. i 36.), jednym transportowym (10.) i 1 Pułkiem Strzelców. Jednostka wchodzi w skład dywizji operacji powietrznych. Poza nią istnieją jeszcze trzy pułki śmigłowców transportowych, w tym dwa średnie (15. i 25.), które dysponują dużymi maszynami transportowymi CH-53G. Trzeci z pułków (30.) używa UH-1. W skład każdej z tych jednostek wchodzi dywizjon lotniczy (Fliegende Abteilung) mający eskadrę dowodzenia i dwie eskadry śmigłowców.

Niemcy, podobnie jak Francuzi, są w trakcie wprowadzania NH90 i Tigera. Do niedawna potwierdzano zamiar zakupu 80 maszyn szturmowych, ale pojawiły się informacje, że zamówienie może zostać zredukowane o połowę. Nie wiadomo, jakie będą ostateczne decyzje w sprawie NH90. Plan przewidywał zakup 80 egzemplarzy dla wojsk lądowych i 42 dla sił powietrznych. W ubiegłym roku pojawiły się jednak informacje o redukcji zamówienia do 80. Oprócz kupna nowych śmigłowców Berlin zdecydował się też na modernizację części CH-53.

Do państw NATO mających liczne lotnictwo wojsk lądowych należą Włochy, gdzie również utworzono jednostkę aeromobilną. Ciekawostką w przypadku brygady „Friuli” jest obecność w jej strukturze, oprócz piechoty aeromobilnej, pułku kawalerii pancernej wyposażonego w wozy bojowe Centauro i transporterzy opancerzone Puma. Jednostka ma dwa pułki śmigłowców. 5 Pułk Lotnictwa Wojsk Lądowych liczy dwa dywizjony (gruppo squadroni, GS), każdy – po trzy eskadry. W 49 GS są śmigłowce szturmowe A-129 Mangusta, krajowej konstrukcji, a 27 GS dysponuje wielozadaniowymi AB-205 (licencyjne Belle) i lekkimi A-109. 7 Pułk Lotnictwa Wojsk Lądowych ma trzy dywizjony – 25., 48. i 53. Poza Mangustami, A-109 i AB-205 został wyposażony jeszcze w AB-412 i AB-206C-1. Istnieją rozbieżności co liczby poszczególnych typów śmigłowców, ale można przyjąć, że jest ich w brygadzie ponad sto.

Oprócz „Friuli” armia włoska ma brygadę lotnictwa, w której poza śmigłowcami lekkimi i wielozadaniowymi są też transportowe Chinooki oraz lekkie samoloty. Jednostka, grupująca trzy pułki wsparcia (1. 2. i 4. Reggimento di Sostegno Aviazione dell’Esercito) oraz dwa mniejsze oddziały, podlega dowództwu lotnictwa wojsk lądowych, któremu podporządkowane jest też centrum szkolenia z trzema grupami eskadr.

Innym członkiem sojuszu atlantyckiego mającym brygadę aeromobilną jest Holandia. W odróżnieniu od pozostałych jednostek tego rodzaju w jej strukturze nie ma etatowych śmigłowców, bo nie istnieje tam lotnictwo wojsk lądowych. Niemniej jednak z 11 Brygadą Aeromobilną współdziałają śmigłowce z sił powietrznych. W ramach dowództwa śmigłowców są trzy eskadry – 301. wyposażona w szturmowe Apache (kupiono ich 30), 300. mająca wielozadaniowe Cougary i 298. z transportowymi Chinookami. Jednak w ramach oszczędności Holendrzy postanowili zrezygnować z Cougarów, zwiększyć za to liczbę CH-47 – z 11 do 20 egzemplarzy.

W związku z ograniczaniem wydatków na obronę sytuacja wojsk aeromobilnych i lotnictwa wojsk lądowych nie jest łatwa, bo są one niezwykle kosztowne. Z drugiej strony zapewniają na polu bitwy możliwości, którymi nie dysponują inne rodzaje wojsk. Dlatego wojska aeromobilne i lotnictwo wojsk lądowych mogą być spokojne o swoją przyszłość. ■



Zmiana warty

Wojska aeromobilne stoją przed wielkim wyzwaniem
– modernizacją floty śmigłowców.

TADEUSZ WRÓBEL

Nie ma dnia, aby śmigłowce Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie nie udowadniały swej przydatności. Nieocenione jest ich oddziaływanie psychologiczne. Skutecznie odstraszały miejscowych rebeliantów. To właśnie śmigłowce są w stanie najszybciej wesprzeć broniące się konwoje czy posterunki.

Droga powietrzna uważana jest za najbezpieczniejszy sposób przemieszczania się w Afganistanie, szczególnie nocą, po wyłączeniu wszelkiego oświetlenia, z wykorzystaniem noktowizji. Inne zadania lotnictwa Wojsk Lądowych w Afganistanie to rozpoznanie powietrzne zagrożonych rejonów i ewakuacja medyczna.

Jednostki powietrznodesantowe, kawalerii powietrznej i śmigłowców dają Wojskom Lądowym zdolność wykonywania szybkich i skutecznych manewrów. Niezwykle ważne jest zapewnienie im bezpośredniego wsparcia ogniowego z powietrza, zarówno w dzień, jak i w nocy, w różnych warunkach pogodowych. Dlatego załogi śmigłowców szkolone są nie tylko do lotów nocnych, lecz także do prowadzenia ognia w ciemnościach.

„Istnieją oczywiście pewne ograniczenia naszych działań nocnych, wynikające z tego, jakim sprzętem dysponujemy”, ostrzega szef wojsk aeromobilnych generał brygady **Dariusz Wroński**. Jednocześnie podkreśla, że niesprawiedliwe są pojawiające się niekiedy zarzuty wobec polskich pilotów śmigłow-

W POLSCE W BRYGADZIE AEROMOBILNEJ NIE MA MASZYN SZTURMOWYCH

ców, że czasami nie robią tego samego co Amerykanie. Wyjaśnia, że maszyny zza oceanu poza noktowizją mają też termowizję. Polskie śmigłowce Wojsk Lądowych w takie urządzenia nie są wyposażone. Generał podkreślał, że nawet gdyby je kupiono, to ze względu na czas potrzebny na ich zamontowanie, testy i certyfikację, a potem przeszkolenie załóg jest mało prawdopodobne, aby tę nową technologię można było wykorzystać przed planowanym na 2014 rok wycofaniem polskich żołnierzy z Afganistanu.

W Wojsku Polskim oprócz 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych istnieją dwie jednostki aeromobilne – 6 Brygada Powietrznodesantowa i 25 Brygada Kawalerii Powietrznej, która

kontynuuje tradycje powstałej w 1994 roku 25 Dywizji Kawalerii Powietrznej.

Połączenie oddziałów lądowych i powietrznych daje kapitalny efekt synergii, co pozwala na rozszerzenie zadań, jakie może wykonać taka jednostka. Początki kawalerii powietrznej nie były łatwe, gdyż należało przełamać wiele stereotypów w myśleniu. Część wojskowych powątpiewała chociażby w to, że dowódca kompanii piechoty może prowadzić też formację śmigłowców.

Przełomową datą dla polskich wojsk aeromobilnych był rok 2003, kiedy ich grupa powietrzno-szturmowa ze śmigłowcami Sokół i Mi-8 weszła w skład Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku. Później wysłano tam również szturmowe Mi-24. Dla żołnierzy 25 Brygady Kawalerii Powietrznej była to pierwsza zagraniczna misja bojowa. Od tej pory śmigłowce nieprzerwanie wchodzi w skład naszych kontyngentów. Był moment, kiedy żołnierze 6 Brygady Powietrznodesantowej, 25 Brygady Kawalerii Powietrznej oraz 49 i 56 Pułku Śmigłowców Bojowych uczestniczyli równocześnie w trzech operacjach. W Iraku kończyła się X zmiana, w tym samym czasie były dwie zmiany PKW w Czadzie (śmigłowce Mi-17) i rozpoczęła się misja w Afganistanie.

Generał **Wroński** przyznaje, że było to ogromne wyzwanie. „Mój poprzednik generał **Ireneusz Bartniak** zapytany, czy jego podwładni podoleją temu wyzwaniu, odparł, że wojska aeromobilne nie klękają”. Dziś cały wysiłek skupia się na niezwykle trudnej operacji afgańskiej. Równocześnie wojska aeromobilne stoją przed nowym wielkim wyzwaniem – modernizacją floty swych śmigłowców, gdyż znacząca część używanych dziś maszyn zakończy służbę w latach 2022–2024.

Z PUŁKÓW W BRYGADĘ

Lotnictwo Wojsk Lądowych przeszło największą od czasu powstania restrukturyzację. W jej wyniku dwa pułki śmigłowców bojowych zostały przekształcone w bazy lotnicze, które włączono do nowo utworzonej 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych z dowództwem w Inowrocławiu. Wojskowi podkreślają, że przy tworzeniu jej struktury wykorzystano doświadczenia zdobyte w trakcie misji zagranicznych i w czasie kontaktowania się z podobnymi jednostkami państw NATO. W składzie jednostki znalazły się dwie grupy działań lotniczych (śmigłowców) z eskadrami wyposażonymi w szturmowe Mi-24, średnie W-3 Sokół i lekkie Mi-2 – w sumie około 80 maszyn; podobna liczba ma być w przyszłości. Do 1 Brygady włączono również dywizjon rozpoznania powietrznego z eskadrami średnich i minibezzałogowych statków latających. Oczywiście są w niej też pododdziały dowodzenia, obsługi technicznej oraz wsparcia i zabezpieczenia. W przyszłości częścią brygady stanie się Centralna Grupa Taktycznych Zespołów Kontroli Obszaru Powietrznego (docelowo ma ich być 18).

Założono, że początkowo 1 Brygada Lotnictwa zostanie rozlokowana w obu bazach pozostałych po pułkach śmigłowców, w Inowrocławiu i Pruszczu Gdańskim. Potem zdecydowano, że drugą, gdzie już wcześniej ulokowano drony, będzie Mirosławiec. Generał **Wroński** zamierza przekonywać przełożonych, aby nie skupiać niemal całości sił brygady w Inowrocławiu. Uważa, że powinniśmy zachować bazę w Pruszczu Gdańskim zarówno ze względów strategicznych, jak i szkoleniowych.

Według danych Szefostwa Wojsk Aeromobilnych po przekazaniu czterech Mi-17 do 7 Eskadry Działań Specjalnych w podległych mu jednostkach pozostało 147 śmigłowców →

– 31 Mi-24, 39 Sokołów, 48 Mi-2, 17 Mi-8 i 12 Mi-17. Niestety, znaczącą część tych maszyn trzeba będzie wycofać ze służby w najbliższych dziesięciu latach. Na szczęście kontynuowany jest program modernizacji posiadanych przez Wojska Łądowe śmigłowców W-3W/WA Sokół do wersji W-3PL Głuszec. Należące do firmy AgustaWestland zakłady w Świdniku przekazały już cztery pierwsze maszyny, a w najbliższych latach ich liczba ma się podwoić. Głuszec jest śmigłowcem wsparcia – ma zamontowany pod dziobem wielolufowy karabin maszynowy oraz boczne podwieszenia do zasobników z raketami.

„Optymalnie byłoby przebudować 35 naszych wielozadaniowych Sokołów”, wyraził nadzieję generał **Wroński**. Uważa on też, że około 150 śmigłowców w Wojskach Łądowych jest liczbą wystarczającą dla armii tej wielkości co Wojsko Polskie. Niezbędny jest zatem nowy sprzęt, gdyż większość posiadanego trzeba będzie wycofać w ciągu najbliższych 10–12 lat. Jeżeli uda się zmodernizować Sokoły i zachować Mi-17, to potrzebnych będzie około stu nowych śmigłowców.

Inspektorat Uzbrojenia ogłosił w końcu marca przetarg na 26 maszyn. Nowe śmigłowce zostałyby dostarczone wojsku do 30 listopada 2017 roku. W informacji podano, że jesteście zainteresowani nabyciem 16 wielozadaniowych maszyn transportowych, sześciu poszukiwawczo-ratowniczych (trzy w wersji morskiej) i czterech do zwalczania okrętów podwodnych. 19 śmigłowców, w tym tuzin w wersji wielozadaniowej – transportowej, miałyby być dostarczone przed 30 listopada 2015 roku.

OCZEKIWANIE NA WYBÓR

Wojskowi są ostrożni, jeśli chodzi o określenie szczegółowych oczekiwań, jakie ma spełniać nowy śmigłowiec wielozadaniowy, który z pewnością przydałby się kawalerii powietrznej. „Możemy przyjąć, że powinniśmy zabrać drużynę piechoty z wyposażeniem i uzbrojeniem potrzebnym do wykonania konkretnego zadania, a modułowa konstrukcja ma umożliwić szybkie przystosowanie maszyny do różnych zadań, w tym wsparcia bojowego”, przedstawił ogólne oczekiwania szef wojsk aeromobilnych. Standardem w takich konstrukcjach są szerokie drzwi boczne na przestrzał, pozwalające na błyskawiczne opuszczenie kabiny transportowej.

W Polsce swoje zakłady mają dwaj czołowi światowi producenci śmigłowców – AgustaWestland w Świdniku i Sikorsky w Mielcu. W ofercie obu znajdują się konstrukcje, które mogą wziąć udział w przetargu. Włoski producent ma ich co najmniej cztery. Najnowszym projektem jest AW 149. Pierwszy raz wzbił się w powietrze w listopadzie 2009 roku. Maszyna o masie startowej 8,6 tony może przetransportować do 18 żołnierzy. Gdy zabiera ich tuzin i wyposażenie bojowe, promień operacyjny wynosi 150 mil morskich. W tej konfiguracji poza pilotami w skład załogi wchodzi dwóch strzelców obsługujących karabiny maszynowe zamontowane w oknach kabiny transportowej. Śmigłowiec może być też uzbrojony w podwieszane zasobniki z działkami, bronią maszynową czy raketami. Inną maszyną wielozadaniową w ofercie AgustaWestland jest AW159 Wildcat, zmodernizowana na zamówienie brytyjskich sił zbrojnych wersja sprawdzonego Lynxa. Masa startowa tego śmigłowca wynosi 6 ton i może on zabrać do siedmiu pasażerów.

Większe możliwości transportowe ma AW139M o masie startowej 6,4–6,8 tony, w którego kabinie znajduje się miejsce dla maksimum 15 pasażerów. W wersji desantowej zabiera

MARZENIEM ŻOŁNIERZY JEST, ABY NASTĘPCĄ MI-24 ZOSTAŁA MASZYNA BOJOWA NOWEJ GENERACJI

dwóch strzelców i ośmiu żołnierzy desantu. Kolejny śmigłowiec to NH90. Jest większy od poprzednich. Jego masa startowa wynosi 11 ton i może zabrać do 20 pasażerów.

Firma Sikorsky ma w swej ofercie produkowany w Mielcu S-70i, przygotowaną dla zagranicznych nabywców odmianę śmigłowca używanego w armii amerykańskiej. Jego prototyp wzbił się w powietrze w latach siedemdziesiątych XX wieku, ale nieustannie modernizowanie konstrukcji sprawia, że jest on nadal nowoczesny. Mocną stroną oferty Sikorsky'ego jest doświadczenie w opracowywaniu licznych wersji specjalistycznych modelu S-70. W odmianie desantowej dziesięcotonowa maszyna może zabrać 11 żołnierzy plus dwóch strzelców obsługujących boczne karabiny maszynowe.

Oczywiście poza firmami zamomowionymi już w Polsce swe oferty mogą przedstawić inni producenci śmigłowców, jak na przykład Eurocopter. Wśród zainteresowanych polskim przetargiem mogą być też firmy z Rosji, a także innych państw.

PLATFORMA PODSTAWOWA

Śmigłowiec wielozadaniowy powinien stać się w przyszłości podstawową platformą w polskich siłach zbrojnych. „W kraju tej wielkości jak nasz powinniśmy mieć poza maszynami wielozadaniowymi, w tym wsparcia, również transportowe”, stwierdził generał **Wroński**. Zastępując obecne Mi-8 i Mi-17 mniejszymi jednostkami, trzeba pamiętać, że w miejsce jednego starego śmigłowca potrzebne będą dwa nowe. Z kolei Mi-2 należy wymieniać w proporcji jeden za jeden. „Przydałyby się maszyny, które mogłyby przetransportować około plutonu żołnierzy”, powiedział dowodzący 2 Eskadrą w 7 Dywizjonie Lotniczym major **Jacek Wajda**. Do tego dzięki tylnej rampie można byłoby przewozić nimi też pojazdy. Wojskowi podkreślają, że nie da się wykonać wszystkich zadań, korzystając z jednej wersji śmigłowca.

Piloci zwracają uwagę, że poza uwarunkowaniami technicznymi bardzo istotnym elementem są ludzie. „Nie da się wyszkolić pilota tak, aby perfekcyjnie wykonywał każde różnorodne zadanie”, twierdzi szef szkolenia w 7 Dywizjonie kapitan **Dariusz Wieczorek**. „Przykładem jest lotnictwo bojowe. Mimo iż eskadry mają takie same samoloty wielozada-

VII EDYCJA KONKURSU „LEX ET PATRIA”

25 kwietnia 2012 roku w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie odbędzie się uroczysta gala finałowa VII edycji konkursu „Lex et Patria”.

Wojsko Polskie od lat cieszy się jednym z najwyższych wskaźników zaufania społecznego, dlatego zasługuje na to, aby pamiętać o tych, którzy przyczyniają się do utrzymania tak wysokiego kapitału zaufania Polaków do munduru. Stąd też pomysł, aby za sprawą konkursu „Lex et Patria” odnaleźć osoby, które dzięki przestrzeganiu prawa stały się wzorem dla innych. Ich przykład spowoduje z pewnością odrodzenie mody na zapomniane niekiedy cnoty, takie jak przyzwoitość, uczciwość, bezinteresowność, a pozytywna rywalizacja w konkursie przyczyni się do wzmocnienia poszanowania prawa w naszej armii.

Organizatorami przedsięwzięcia są Komenda Główna Żandarmerii Wojskowej, Departament Wychowania i Promocji Obronności MON oraz Stowarzyszenie Żandarmerii Wojskowej „Żandarm”.

Główne cele konkursu to promowanie działań zmierzających do zmniejszenia liczby przypadków naruszeń prawa w Siłach Zbrojnych RP, wyłonienie najbardziej praworządnej jednostki oraz nagrodzenie żołnierzy, mających odwagę zareagować w sytuacji, gdy łamane jest prawo, dzięki czemu niejednokrotnie przyczyniają się do ujawnienia sprawców przestępstw i wykroczeń.

niowe, wśród pilotów ważna jest specjalizacja”, zauważa inspektor bezpieczeństwa lotów w tej jednostce kapitan **Mariusz Kościelak**. „Podczas prac nad doktryną użycia śmigłowców w operacjach Wojsk Łądowych pilotów dzielimy pod kątem poziomu wyszkolenia: na wykonujących zadania transportowe – czyli cargo, medyczne i inne – oraz pozostałych”, dodaje dowódca 7 Dywizjonu podpułkownik **Zbigniew Mitura**.

„Naszym marzeniem jest, aby następcą Mi-24 została maszyna bojowa nowej generacji”, przyznaje generał **Wroński**. Nawet najsilniej uzbrojony śmigłowiec wielozadaniowy nigdy nie będzie w pełni dorównywał szturmowemu. Niemniej jednak priorytetem na najbliższe lata pozostają właśnie te pierwsze, bo bez nich trudno sobie wyobrazić dalsze funkcjonowanie kawalerii powietrznej.

W brygadzie lotnictwa WL grupy śmigłowców tworzone są z eskadr wyposażonych w różne typy maszyn, ale w dywizjonach 25 BKPow piloci latają na jednym typie: 7 (66) Dywizjon Lotniczy w Nowym Glinniku ma Sokoły, a 1 Dywizjon w Leżnicy Wielkiej – Mi-8 i Mi-17.

Tymczasem doświadczenia z misji zagranicznych pokazują, że najczęściej działają mieszane zgrupowania, złożone z maszyn szturmowych i transportowych. „Śmigłowce transportowe mogą wykonywać loty samodzielnie, ale jeśli to możliwe, staramy się, aby miały osłonę szturmowych Mi-24”, mówi podpułkownik **Mitura**. „Zasada jest taka, aby nie latać w pojedynkę”. Zwiększa to bezpieczeństwo, gdyby któryś ze śmigłowców musiał lądować awaryjnie.

W Polsce, w odróżnieniu od większości armii sojuszniczych, w brygadzie aeromobilnej nie ma maszyn szturmowych, choć pierwotne plany tworzenia kawalerii powietrznej je przewidywały. Za to pierwszy raz w naszym kraju Mi-24 i Mi-17 będą funkcjonować w ramach jednej jednostki, w przeznaczonej do działań specjalnych 7 Eskadrze.

Generał **Wroński** stwierdza, że ostateczne decyzje dotyczące struktur wojsk aeromobilnych powinny zostać podjęte wtedy, gdy poznamy śmigłowce, na których będziemy latać. Jedną z kluczowych kwestii jest bowiem logistyka i obsługa techniczna – im więcej typów maszyn w jednostce, tym jest ona bardziej skomplikowana. Dziś technik powinien być przygotowany do obsługi co najmniej dwóch typów śmigłowców. „Oczywiście jest to dobry kierunek, ale uważam, że bardzo ryzykowne byłoby, aby ten sam człowiek zajmował się w jednym dniu dwoma różnymi typami maszyn, bo wtedy łatwo o pomyłkę, mogącą doprowadzić do tragedii”, zauważa szef techniki 7 Dywizjonu major **Dariusz Trepak**.

Zatem, śmigłowcowa rewolucja to nie tylko nowe typy maszyn, lecz także przewartościowanie dotychczasowych rozwiązań, określenie na nowo zadań dla części posiadanych już maszyn. ■

COMMENT



DARIUSZ WRÓŃSKI

SW-4 Puszczyc jest dobrą maszyną do szkolenia podstawowego, ale ma jeden silnik, a adept opuszczający mury szkoły lotniczej w Dęblinie powinien umieć pilotować też śmigłowce dwusilnikowe. Pozwoli to na płynne wejście w szkolenie na docelowym typie już w jednostce bojowej. Optymalnie byłoby, gdyby do brygad trafiali piloci już z pewnym nalotem na takim śmigłowcu, na jakim będą latać w brygadach. Marzeniem jest, aby przychodzący do grup i dywizjonów mieli za sobą 250–300 godzin spędzonych w powietrzu, w tym loty nocne z użyciem gogli noktowizyjnych.

Generał brygady **Dariusz Wroński** jest szefem wojsk aeromobilnych Wojsk Łądowych.

WPH
SKLEP NOWOCZESNEGO ŻOŁNIERZA
 Umundurowanie · Nakrycia głowy · Koszule, bluzy, płaszcze i kurtki, spodnie
 Bielizna osobista · Galanteria mundurowa · Obuwie i galanteria skórzana · Wyroby upominkowe · Szablki, kordziki, akcesoria

<http://www.sklep-wph.com.pl>

WPH Sklep Internetowy; www.sklep-wph.com.pl
 e-mail: sklep@wph.com.pl
 Al. Niepodległości 235/237, 02-009 Warszawa
 tel/fax: 22 621 54 49
 pon-pt - godz. 9:00-17:30, sobota - godz. 9:00-12:30
 ul. Dymińska 9, 01-519 Warszawa, tel: 22 839-10-59
 pon-pt - godz. 9:00-17:00
<http://www.facebook.com/wph.sklep.internetowy>



KANONADA W KONTENERZE

To nie żołnierz jedzie na strzelnicę, to strzelnica przyjeżdża do żołnierza. I to klimatyzowana. Zaprojektowana i zbudowana w Zakładach Mechanicznych „Tarnów” SA.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Od grudnia 2011 roku Wojska Specjalne mają dwie mobilne strzelnice kontenerowe. Jedna stanęła na terenie dowództwa w Krakowie, druga w Gdyni, w Jednostce Wojskowej Formoza. O zakupie takich strzelnic myślą także w dowództwach innych rodzajów sił zbrojnych. Czyżby była to zapowiedź przełomu w polskiej armii? Koniec z kosztownymi wycieczkami, by sobie postrzelać?

Największą zaletą strzelnicy jest jej mobilność. Przewozi się ją w dwóch częściach na lawetach, a montaż zajmuje niecałą godzinę. „Bardzo wygodne rozwiązanie, oszczędza czas i pieniądze”, zachwala żołnierz z Jednostki Wojskowej Nil, odpo-

wiedzialny za urządzenie. „Możemy stanąć praktycznie w każdym miejscu i zorganizować strzelanie”.

Zajęcia można prowadzić, kiedy urządzenie stoi na lawecie albo bezpośrednio na ziemi. „Nasi żołnierze na strzelanie jeździli do oddalonego o kilka kilometrów Pasternika albo dużo dalej, do Bielska-Białej”, wspomina podpułkownik **Ryszard Jankowski**, rzecznik prasowy Dowództwa Wojsk Specjalnych (DWS). „Kilkadziesiąt osób było oderwanych od pracy przez cały dzień. Od kiedy mamy strzelnicę kontenerową, ten problem nie istnieje. Ustalony jest harmonogram korzystania z niej, więc nie robią się kolejki. Pobranie broni, amunicji, →

SĄSIEDZI DOWÓDZTWA WOJSK SPECJALNYCH O OBECNOŚCI MOBILNEJ STRZELNICY ZAPEWNE WIEDZĄ NIEWIELE. HAŁAS, KTÓRY DOCHODZI Z KONTENERA, NIE JEST UCIAŹLIWY I GINIE WŚRÓD INNYCH DŹWIĘKÓW.

strzelanie, obsługa broni po zajęciach oraz jej zwrot do magazynu zajmują kilkadziesiąt minut”.

Z mobilnej strzelnicy w Krakowie korzystają żołnierze DWS i jednostki Nil. Podczas zajęć obecni są kierownik i jedna osoba do obsługi sprzętu. Przez godzinę trening strzelecki jest w stanie odbyć trzydziestu żołnierzy, indywidualnie lub w parach – na trzech liniach otwarcia ognia, czyli z 15, 10 i 5 metrów. Warunki otoczenia można dowolnie symulować: w dzień, w nocy, z podświetleniem celów i z użyciem noktowizji.

Sąsiedzi DWS o obecności mobilnej strzelnicy zapewne wiedzą niewiele. Hałas, który dochodzi z kontenera, nie jest uciążliwy i ginie wśród innych dźwięków. Najgłośniejsze jest uderzenie pocisku o stalową płytę przeciwpancerną znajdującą się w kulochwycie. Strzelający obowiązkowo używają ochroniaczy na uszy, a osobom postronnym dźwięki te mogą skojarzyć się z odgłosem tłuczonego szkła. Strzelnica działa już drugi miesiąc. Uruchomiono ją podczas lutowej wizyty w Dowództwie Wojsk Specjalnych generała **Michaela Repassa**, dowódcy amerykańskich wojsk specjalnych w Europie.

Mobilną strzelnicę w kontenerach zaprojektowano i zbudowano w Zakładach Mechanicznych „Tarnów” SA. Żołnierze mogą w niej strzelać z pistoletów o kalibrze do 11,43 milimetra oraz maszynowych o kalibrze do 9 milimetrów, z zastrzeżeniem, że będą prowadzić

ogień pojedynczy. Dozwolony jest trening z bronią pneumatyczną kalibru 4,5 milimetra. Prędkość początkowa amunicji nie może przekraczać 1000 metrów na sekundę.

Mobilna strzelnica ma 26 metrów i waży 18 ton. Składa się z dwóch połączonych kontenerów, ale jej powierzchnię można zwiększyć poprzez dołączenie kolejnych trzech, co wydłuża dystans strzelania do 50 metrów. Teoretycznie może mierzyć ona nawet do 100 metrów. „Model, który mamy, można powiększyć kilkakrotnie”, mówi jeden z żołnierzy, ale jednocześnie przyznaje: „Żeby jednak trenować strzelanie na bardzo długie dystanse, należałoby wzmocnić kulochwyty”. Według specjalistów mobilna strzelnica zyskałaby na atrakcyjności, gdyby można było dowolnie zwiększać nie tylko jej długość, lecz także wysokość i szerokość. Nieoficjalnie mówi się o tym, że

DWS myśli o takim rozwiązaniu, niewykluczone więc, że w przyszłości trening będzie bardziej urozmaicony.

W części czołowej kontenera zamontowana jest pancerna pionowa płyta stalowa o grubości 10 milimetrów. Przed nią znajduje się dodatkowe zabezpieczenie w postaci stalowych ekranów usytuowanych pod kątem 45 stopni. Płyty boczne kontenera mają po 8 milimetrów grubości, a podłoga i sufit po 6 milimetrów. Wnętrze obite jest zielonymi grubymi płytami, zapobiegającymi rykoszetom, zrobionymi z przetworzonych starych opon samochodowych.

Pomieszczenie jest klimatyzowane, a dodatkowo w trakcie zajęć ze środka wyciągane są gazy – produkty spalania prochu.

Mobilna strzelnica kontenerowa może być przewożona wszystkimi drogami publicznymi, a korzystanie z niej jest możliwe bezpośrednio po jej złożeniu, bez konieczności uzyskania odbiorów i zatwierdzeń, także tych związanych z prawem budowlanym i zagospodarowaniem przestrzennym. ■



STRZELNICA SKŁADA SIĘ Z DWÓCH KONTENERÓW O MASIE 37 TON, ŁĄCZONYCH NA CZAS UŻYTKOWANIA



Hala strzelań to pomieszczenie o długości 20 metrów, szerokości około 2 metrów i wysokości do 2,5 metra. Powierzchnia użytkowa wynosi 44 metry kwadratowe.

Projekt pod kontrakt

Tureckie firmy zaangażowały się w prace nad kołowymi transporterami opancerzonymi, ponieważ liczą na duże zamówienia tamtejszych sił zbrojnych.

MICHAŁ NITA

Firma Otokar zainwestowała własne pieniądze w opracowanie pojazdu Arma. Siły zbrojne Turcji ogłosiły bowiem program kołowego pojazdu pancernego specjalnego przeznaczenia (Özel Maksatli Taktik Tekerlekli Zirhli Araç, OMTTZA). W grę wchodzi dostawa 336 transporterów. Według danych z 2011 roku mają to być wozy: dowodzenia – 39 sztuk, rozpoznawania skażeń – 30, wyposażone w radary – 40, rozpoznawcze (nosiciele sensorów) – 113, i wsparcia ogniowego (z armatą 20-milimetrową) – 114. Z informacji, jakie pojawiły się w mediach, wynika, że Arma ma duże szanse na sukces. Jej rywalami są dwie inne tureckie konstrukcje: Ejder, opracowany przez Nulol, i Pars, oferowany przez FNSS. Do gry włączyła się też firma HEMA z wozem Anafarta, bazującym na sześciokołowej wersji fińskiego AMV.

OFERTA HANDLOWA

W 2010 roku przedstawiciele firmy Otokar oświadczyli, że prace nad transporterem Arma powoli dobiegają końca. Producent rozpoczął je trzy lata wcześniej i na początek skoncentrował się na zbudowaniu sześciokołowej wersji pojazdu, gdyż zainteresowanie takim podwoziem wyraziła turecka armia. W sumie powstały cztery prototypy wozu. Testy odpornościowe na uderzenia pocisków prowadzono na specjalnym kadłubie. Transporter Arma znalazł się już w ofercie handlowej firmy Otokar. Przygotowany do jego produkcji zakład znajduje się w dystrykcie Arifiye w prowincji Sakarya.

Kadłub pojazdu wykonany z jednorodnych stalowych płyt pancernych chroni żołnierzy przed pociskami z broni małego kalibru oraz odłamkami pocisków artyleryjskich. Według dostępnych informacji jest też w stanie wytrzymać wybuchy ładunków o masie ponad 6 kilogramów trotylu. Jego wnętrze podzielono na przedziały kierowania, napędowy i desantowy. Pierwszy z nich znajduje się w lewej części przodu kadłuba, a drugi jest po jego prawej stronie.

Kierowca obserwuje przedpole przez trzy peryskopy. Pulpity kontrolno-pomiarowe ma po prawej stronie siedziska. Za nim znajduje się natomiast stanowisko dowódcy wozu, w którego wieżyczce zamontowano osiem peryskopów.

W przedziale desantu przygotowano miejsca dla ośmiu żołnierzy siedzących naprzeciwko siebie. Wyposażone w pasy bezpieczeństwa siedziska są zabezpieczone przed wybuchami min. Transporterem zamiast ludzi można przewozić też ładunek o masie do 4,5 tony.

Turcy wyposażyli pojazd w sześciocyldrowy silnik wysokoprężny Cummins T450 chłodzony cieczą o pojemności 8,9 litra z turbodoładowaniem i układem wtryskiwania paliwa common rail. Jego walorami są mała masa i nieduże zużycie paliwa – Arma, jeżeli ma pełny 350-litrowy zbiornik, po drodze utwardzonej może przejechać 700 kilometrów. Silnik przy 2200 obrotach na minutę rozwija moc 330 kilowatów, a współczynnik mocy jednostkowej wynosi 17,8 kilowata na tonę. W układzie napędowym Allisona 4500SP znajduje się automatyczna skrzynia biegów o sześciu przełożeniach do jazdy w przód i jednym w tył. W wozie zainstalowano trzy mosty napędowe z mechanizmami różnicowymi.

W transporterze Arma o układzie napędu 6x6 w czasie jazdy po drodze utwardzonej kierowca może przełączyć pojazd na konfigurację 6x4. W porównaniu z prototypami minimalny promień skrętu wozu jest mniejszy i wynosi 7,8 metra, a mający wspomaganie układ kierowniczy nie obejmuje dwóch tylnych kół. Transporter ma również niezależne zawieszenie hydropneumatyczne i dwuobwodowy układ hamulców. Poza tym pojazd wyposażono

Chociaż tureccy żołnierze nie mają jeszcze wozów Arma, znalazły już one nabywców za granicą. W grudniu 2010 roku Otokar zawarł umowę na dostawę niewielkiej liczby pojazdów za 10,6 miliona dolarów armii nieujawnionego państwa. W mediach pojawiły się przypuszczenia, że chodzi o Bahrajn. W czerwcu 2011 roku turecka firma podpisała nowy kontrakt, o wartości 63,2 miliona dolarów. Znowu nie ujawniono, kto jest nabywcą transporterów. Przypuszcza się, że inny kraj znad Zatoki Perskiej – Arabia Saudyjska lub Katar. Pojawiły się też informacje, że Arma jest zainteresowana Gruzja.

SZEROKOŚĆ
2700 milimetrów

w hamulec postojowy. Jak w wielu tego typu wozach opony mają wkładki umożliwiające dalszą jazdę po przestrzeleniu.

Arma jest transporterem pływającym. Na czas przeprawy wodnej uruchamiane są napędzane hydraulicznie dwa pędniki (śruby). Przed wjazdem do wody podnoszony jest falochron. Kierowca włącza też w wozie pompy zenzowe. Prędkość w czasie pływania wynosi 8 kilometrów na godzinę. Arma może w wodzie obracać się w miejscu.

Wóz w wersji podstawowej, na której bazie można tworzyć pojazdy specjalistyczne, nie ma uzbrojenia. Decyzję co do jego instalacji pozostawiono zamawiającemu. Obok wjazdu znajdującego się przy wieżyczce dowódcy można zamontować karabin maszynowy lub 40-milimetrowy granatnik obsługiwane przez trzeciego członka załogi. Na zamówienie klienta transporter jest wyposażany między innymi w wieżę z armatami, układ ochrony przed bronią masowego rażenia czy wyciągarke.

WIOSENNA PREMIERA

Na wystawie IDEF wiosną 2011 roku zademonstrowano Arme z układem napędu 8x8, która może być wyposażona w wieżę Mizrak z 30-milimetrową stabilizowaną armatą Mau-

ser MK 30-2 i karabinem maszynowym L7A2 kalibru 7,62 milimetra. Kąt podniesienia armaty wynosi od minus 8 do plus 48 stopni. Armaty może wystrzeliwać pociski odłamkowo-burzące, przeciwpancerne podkalibrowe, przeciwpancerno-odłamkowo-zapalające i pociski z programowanym czasem zadziałania zapalnika miotające elementy rażące. Do natychmiastowego użycia gotowych jest 210 naboje. Wóz z Mizrakiem wyposażono w system kierowania ogniem, kamery telewizyjną i termowizyjną oraz dalmierz laserowy. Arme 8x8 można uzbroić w cięższą armatę kalibru 40 milimetrów.

W przedziale desantu wozu w wersji transporter piechoty mieści się dziesięciu żołnierzy. W odróżnieniu od pojazdu sześciokołowego, zamiast drzwi z tyłu kadłuba znajduje się rampa. Arma 8x8 ma układ napędowy ZF ze skrzynią przekładniową o siedmiu przełożeniach w przód i jednym w tył. W tej wersji minimalny promień skrętu jest nie większy niż 10 metrów, a pojemność zbiorników paliwa wynosi 400 litrów.

Na wystawie IDEF pokazano też nieznaną wcześniej wersję transportera Arma 6x6 – wyposażony w kamery wóz saperski. Na burcie kadłuba zamontowano w nim sterowany z wnętrza manipulator do prac przy urządzeniach wybuchowych. ■



MASA
24 tony

DŁUGOŚĆ
7700 milimetrów

WYSOKOŚĆ
2440 milimetrów

PRZEŚWIT
420 milimetrów

POKONYWANIE PRZESZKÓD

kąt nachylenia wzniesienia 60 procent

PRZESZKODA PIONOWA

o wysokości 500 milimetrów

PRZECHYŁ BOCZNY - 30 procent

SZEROKOŚĆ ROWU - 2000 milimetrów

KĄT NATARCIA - 42 stopnie

KĄT ZEJŚCIA - 41 stopni



SZWECJA

Azjatycka dominacja

W latach 2007–2011 Indie były największym importerem uzbrojenia i sprzętu wojskowego na świecie, podał w swym raporcie Międzynarodowy Sztokholmski Instytut Badań nad Pokojem. Kraj ten wchłonął 10 procent eksportu z branży zbrojeniowej. Pierwszych pięć miejsc na liście importerów zajęły państwa azjatyckie. Na Chiny i Pakistan przypadło po 5 procent importu. W przypadku Republiki Korei było to 6 procent. Zamykający pierwszą piątkę Singapur zaabsorbował natomiast 4 procent. W sumie w latach 2007–2011 na kraje Azji (bez Bliskiego Wschodu) i Oceanii przypadło aż 44 procent światowego importu broni. WRT ■

INDIE

Straty jak na wojnie

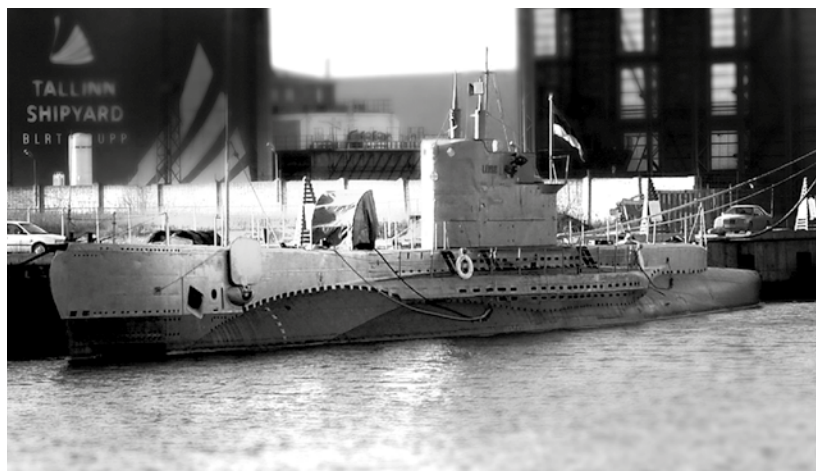
Przez trzy lata (od roku budżetowego 2008–2009 do 13 marca 2012) indyjskie siły powietrzne utraciły 33 samoloty bojowe i dziesięć śmigłowców, podało 19 marca tamtejsze ministerstwo obrony. Była to odpowiedź na zapytanie parlamentarzystów z izby niższej (Lok Sabha). W katastrofach zginęło 26 wojskowych, w tym 13 pilotów, oraz sześciu cywilów. Najczęściej rozbiły się MiG-i – 27 maszyn, w tym 16 MiG-21. Dwa dni później pojawiła się nowa informacja o stratach. W pisemnej odpowiedzi na zapytanie parlamentarzysty z izby wyższej (Rajya Sabha) minister obrony **Shri A.K. Anthony** podał, że we wspomnianym okresie (tyle że do 15 marca) zginęło 19 pilotów, a lotnictwo utraciło 50 maszyn. WROB ■

KLECHDA MORSKA

O estońskim Orle

Przed II wojną światową główną siłą estońskiej marynarki wojennej były okręty podwodne.

MACIEJ SZOPA



LPolacy dobrze znają historię ORP „Orzeł” i jego brawurowej ucieczki z portu w Tallinie. Mało kto wie natomiast, że Estończycy, podobnie jak mieszkańcy II Rzeczypospolitej, inwestowali ogromne, jak na swoje możliwości, środki w rozbudowę floty wojennej. Wykorzystując doświadczenia z I wojny światowej, Tallin postanowił zainwestować w okręty podwodne, jednostki stosunkowo niedrogie, które mogłyby zakłócić plany inwazji na estońskie wybrzeże albo – podobnie jak polskie „Rys”, „Żbik” i „Wilk” – pełnić rolę podwodnych stawiaczy min. W roku 1933 rząd estoński utworzył fundację na rzecz budowy floty podwodnej. Kosztem olbrzymich wyrzeczeń udało jej się zebrać środki na dwie nowe jednostki, które już dwa lata później zamówiono w stoczniach brytyjskich.

Okręty „Kalev” i „Lembit” przybyły do Tallina w 1937 roku. Ich załogi były już w tym czasie po szkoleniu w Wielkiej Brytanii i mogły rozpocząć służbę. Do roku 1940 jednostki nie zdziały zbyt wiele. Raz wzięły udział w cwi-

czeniu ze strzelania torpedami. W trakcie zajmowania przez ZSRR Estonii politycy tego niewielkiego kraju zabronili jakiegokolwiek obrony przed Armią Czerwoną, i obie jednostki zostały przejęte, nie wystrzelivszy ani jednego pocisku. Włączono je w skład Floty Bałtyckiej i – z wyjątkiem kilku estońskich specjalistów potrafiących obsługiwać unikalne brytyjskie urządzenia – obsadzono Rosjanami. Szkolenia sowieckich załóg gwałtownie przyspieszono, kiedy niecały rok później Niemcy napadły na ZSRR. W 1941 roku „Kalev” został zatopiony, „Lembit” zaś ruszył na swój pierwszy patrol bojowy. Do 1945 roku miał ich zaliczyć aż siedem.

Podobnie jak większość okrętów Floty Bałtyckiej brał udział w wielu ryzykownych przedsięwzięciach. W sierpniu 1941 roku położył dwadzieścia min u wybrzeży przylądka Arkona. Prawdopodobnie w wyniku ich eksplozji zostało uszkodzonych kilka niemieckich statków handlowych. We wrześniu 1942 roku łupem jednostki padł duży transportowiec „Finnland”. Odpowiedź eskorty była okrutna – na ukryty →

W 1979 ROKU OKRĘT PRZYHOLOWANO DO TALLINA, GDZIE GO ZAKOTWICZONO JAKO POMNIK WIELKIEJ WOJNY OJCZYŹNIANEJ

pod powierzchnią „Lembit” spadło 50 bomb głębinowych. Okręt przetrwał jednak ten atak i mając zaledwie sześciu rannych, wrócił do bazy. Zyskał w ten sposób przydomek „Nieśmiertelny Okręt” i okrył się sławą wśród załóg innych okrętów floty. Drugą i ostatnią ofiarą estońskiej jednostki padł w październiku 1944 roku niewielki holenderski (skonfiskowany przez Niemców) frachtowiec „Hilma Lau”.

Po zakończeniu wojny okręt służył jeszcze ponad dekadę we flocie wojennej. Następnie został odholowany do stoczni Krasnoje Sormowo, gdzie pod-

dano go badaniom – jako interesujący przykład brytyjskiej myśli technicznej. Sowieci byli szczególnie zainteresowani sposobem wykonania wężu ciśnieniowego dla działka przeciwlotniczego „Lembita”. Zdobyte w ten sposób informacje przydały się w czasie projektowania wyrzutni pocisków raketowych na okrętach kolejnych generacji.

W 1979 roku okręt został przyholowany ponownie do Tallina i zakotwiczony jako pomnik wielkiej wojny ojczyźnianej. W 1992 roku na pokład jednostki weszli członkowie estońskiej Ligi Obrony, którzy po raz pierwszy od 52 lat wywiesili na nim flagę Estonii. W roku 2011 okręt został wydobyty z wody specjalnym dźwigiem i umieszczony w budynku Estońskiego Muzeum Morskiego w Tallinie. Obecnie przechodzi generalny remont, który ma doprowadzić go do stanu z lat trzydziestych. Pomocne okazały się w tym oryginalne plany „Kalewa” i „Lembita” znalezione kilka lat temu w archiwach Wielkiej Brytanii.



RO S J A

Modernizacja lotnictwa

W ostatnich tygodniach pojawiły się informacje o kilku wieloletnich zamówieniach na nowe samoloty bojowe, złożonych przez rosyjskie ministerstwo obrony.

W ostatniej dekadzie marca RIA-Novosti poinformowała, że ministerstwo obrony zamówiło w firmie Irkut 30 wielozadaniowych myśliwców Su-30SM. Zostaną one dostarczone Rosjanom do 2015 roku. W sierpniu 2011 roku w serwisie Lenta.ru pojawiła się natomiast informacja, że Irkut wyprodukuje dla ministerstwa obrony 40 egzemplarzy Su-30SM, w tym tuzin dla lotnictwa morskiego. Do rosyjskich sił zbrojnych do 2020 roku trafią również 92 myśliwsko-bombowe Su-34. Oba typy maszyn pojawią się w miejsce Su-24. Ministerstwo obrony podało, że w 2012 roku dziesięć Su-34 trafi do Zachodniego Okręgu Wojskowego. W 2011 roku siły powietrzne dostały sześć maszyn i razem mają ich tuzin (te samoloty pochodzą z pierwszego kontraktu na 32 egzemplarze Su-34). Ze 124 zamówionych maszyn 70 ma być dostarczonych do 2015 roku. Rosyjska marynarka wojenna otrzyma nowe samoloty pokładowe dla lotniskowca „Admirał Kuźniecowa”. Kontrakt opiewa na 20 maszyn MiG-29K (na zdjęciu) i cztery MiG-29KU. Producent ma je dostarczyć w latach 2013–2015. TED



U S N A V Y

U S A

Podzielone zamówienie

W marcu 2012 roku marynarka wojenna zamówiła cztery okręty bojowe do działań przybrzeżnych (Littoral Combat Ship, LCS). Jest to element wieloletniego kontraktu przewidującego budowę w latach budżetowych 2010–2015 do 20 jednostek. Zlecenie podzielono pomiędzy dwie firmy. Lockheed Martin Corporation skonstruuje dwa okręty:

„Little Rock” i „Sioux City”, za 715 milionów dolarów. Firma Austal USA – dwa kolejne: „Gabrielle Giffords” i „Omaha”, za 691,6 miliona dolarów. Tym samym zamówiono dotąd już 12 jednostek typu LCS. Na początku marca sekretarz marynarki wojennej Ray Mabus potwierdził, że plan zakłada zakup 55 takich okrętów. TWR

**IZRAELSKA
OFENSYWA
PRZECIWKO
TEHERANOWI
NIE OGRANICZA
SIĘ JEDYNIEM DO
LIKWIDOWANIA
NAUKOWCÓW**

| B L I S K I W S C H Ó D |

WOJNA

W C I E N I U A T O M U

Między Izraelem a Iranem już trwa wojna
– na razie propagandowa i wywiadowcza.



ROBERT CZULDA

Dla **Mostafy Ahmadiego Roshana** 11 stycznia 2012 roku miał być dzień jak każdy inny. Irańczyk ledwo zdążył opuścić gabinet w jednym z teherańskich uniwersytetów i wsiąść do samochodu, gdy spokojną okolicą wstrząsnęła potężna eksplozja. Wybuchła podłożona przez niezidentyfikowanego motocyklistę bomba magnetyczna, przygotowana tak, by energia detonacji została skierowana na **Roshana**, będącego oficjalnie ekspertem z dziedziny chemii, a tak naprawdę dyrektorem fabryki wzbogacania uranu w Natanz i specjalistą od produkcji błon polimerycznych używanych w procesie wzbogacania uranu w trakcie dyfuzji gazów.

Od początku było jasne, że to nie przypadek, a za atakiem stały izraelskie służby specjalne. Taką wersję przedstawia brytyjski „The Times”, według którego izraelscy agenci obserwowali **Roshana** przez kilka miesięcy, analizowali jego zachowanie i starali się wybrać najlepszy moment do dokonania zabójstwa. Podслуchiwano też policyjny kanał. Według prasy w akcji nie brali udziału Amerykanie, ale dali na nią ciche przyzwolenie. Wątpliwości co do tego, kim byli faktyczni sprawcy, nie ma zaufany człowiek ajatollaha **Alego Chameneiego**, minister wywiadu **Heidar Moslehi**, który zapewnił społeczeństwo, że podległe mu służby rozbiły działające w Iranie i państwach sąsiednich komórki Mosadu. Ostrzegł też Izraelczyków, że czas bezkarnych akcji na irańskich ulicach już się skończył.

NAUKOWCY NA CELOWNIKU

Śmierć **Roshana** była bolesną wpadką irańskiej służby kontrwywiadowczej, która nie potrafiła uchronić czołowych naukowców biorących udział w prawdopodobnie najważniejszym programie narodowym Iranu. Jeżeli wierzyć prasie, wielu ekspertów obawia się współpracy z rządem – wiedzą, że może ona ściągnąć na nich gniew Mosadu. Przekonał się o tym w 2010 roku profesor **Masud Ali Mohammadi** z Uniwersytetu w Teheranie, ekspert od cząstek elementarnych i kwantowej teorii pola. Naukowiec zginął przed swoim domem w wyniku wybuchu zdalnie zdetonowanej bomby. Również wtedy władze zapewniały, że siatka „syjonistycznego reżimu Izraela” została rozbita. Domniemanego zamachowca nawet skazano na śmierć.

W 2007 roku w tajemniczych okolicznościach zmarł doktor **Ardeshir Hosseinpour**, również biorący udział w irańskim programie atomowym. Mówi się, choć oczywiście brak dowodów, że zaangażowany był w to Mosad, podejrzany również o przeprowadzenie dwóch skoordynowanych akcji w listopadzie 2010 roku. Wówczas zginął **Majid Shahriari**, ekspert od transportu neutronów (kwestia kluczowa w reakcji łańcuchowej), profesor na teherańskim uniwersytecie, uważany przez magazyn „The Times” za czołową postać irańskiego programu atomowego. Ranny został zaś profesor **Fereydun Abbasi**. Obaj zajmowali wysokie stanowiska kierownicze. Każdy z nich był mianowany bohaterem narodowym i uzyskał status męczennika, co jest najwyższą formą uznania przez religijne władze Iranu.

Z toczoną dziś bezpardonową wojną należy powiązać jeszcze jeden incydent. W czerwcu 2011 roku w trakcie podchodzenia do lądowania rozbił się w Rosji pasażerski samolot Tu-134. Oficjalna wersja mówi o błędzie załogi, a dokładnie o pijanym nawigatorze. Nie byłoby w całej historii nic dziwnego, gdyby nie fakt, że na pokładzie znajdowało się aż pięciu rosyjskich naukowców blisko współpracujących z Irańczykami w elektrowni w Buszer. Czy był to jedynie wypadek? Tego zapewne już nigdy się nie dowiemy.



→ WOJNA W CIENIU ATOMU

Prawdopodobnie izraelska ofensywa przeciwko Teheranowi nie ogranicza się jedynie do likwidowania naukowców. Izrael, w czym zapewne uzyskał dużą pomoc ze strony USA, jest oskarżany o zaatakowanie Iranu w 2010 roku wirusem komputerowym Stuxnet, który czasowo miał unieruchomić tysiąc wirówek w fabrykach związanych z programem atomowym. Eksperci zwracają także uwagę na serię tajemniczych eksplozji, które dotyczą irańskie instalacje. W 2010 roku doszło do trzech wybuchów w tajnej bazie z rakietami balistycznymi Shahab III. Rok później w potężnej eksplozji w bazie wojskowej Bid Ganeh życie straciło 17 osób, a 15 zostało rannych. Oficjalna wersja mówi o niewłaściwym transporcie amunicji.

Powołująca się na źródła wywiadowcze izraelska gazeta „Yediot Ahronot” przedstawiła ciekawą tezę: operację przygotował Mosad, a przeprowadzili ją członkowie marksistowskiej organizacji terrorystycznej Ludowi Mudżahedini Iranu. Ci jednak zaprzeczają, aby mieli coś wspólnego z wypadkiem. Jeżeli był to niefortunny zbieg okoliczności, to jego skutki są bolesne – w incydencie życie stracił bowiem generał major **Hassan Moghaddam** z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, ochrzczony ojcem irańskiego programu raketowego.

O tym, że w działania zamieszany jest Izrael, przekonuje magazyn „Foreign Policy”. Powołujący się na notatki CIA z lat 2007–2008 autorzy wskazują, że Mosad rekrutował terrorystów z sunnickiej grupy Ludowy Ruch Oporu Iranu. Cel był oczywisty – wspierać sunnitów, by ci walczyli z szyickim rządem w Teheranie zgodnie z maksymą, że wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem. W tym jednak przypadku Biały Dom nie był podobno wtajemniczony. Jeśli wierzyć prasie, Waszyngton wyraził nawet oburzenie, bo Izraelczycy podawali się za agentów CIA i mieli amerykańskie paszporty. Prezydent **George W. Bush** był wściekły, chociaż ostatecznie nie zdecydował się na żadne ruchy wobec nieposłusznych Izraelczyków.

Teheran nie daje wiary takim wyjaśnieniom, oskarża również USA. Jak powiedział **Ali Akbar Salehi**, minister spraw zagranicznych Iranu, rząd dysponuje wiarygodnymi dokumentami i dowodami, że w ataku na irańskich naukowców zamieszani są agenci CIA. Takie oświadczenie przekazano ambasadorowi Szwajcarii, to państwo bowiem reprezentuje amerykańskie interesy od czasu zerwania stosunków amerykańsko-irańskich w wyniku islamskiej rewolucji z 1979 roku. Minister zauważył, że udział w atakach może mieć również Wielka Brytania: do zamachu na **Roshana** doszło tuż po tym, jak **John Sawers** (szef MI6, Secret Intelligence Service) ogłosił początek operacji służb specjalnych przeciwko Iranowi.

ODPOWIEDŹ TEHERANU

Każda akcja rodzi reakcję. Jak wynika z niepotwierdzonych informacji prasowych, irański wywiad znalazł niespodziewanie sojusznika w tureckiej agencji wywiadowczej (Milli İstihbarat Teşkilatı, MIT). Dość egzotyczny sojusz (biorąc pod uwagę jeszcze do niedawna niezwykle ciepłe relacje Turcji oraz Izraela) możliwy jest w dużym stopniu dzięki **Hakanowi Fidanowi**, szefowi wywiadu MIT, który jest nastawiony proirańsko.

Współpraca dotyczy szczególnie takich państw, jak Katar, Armenia, Turkmenistan oraz Azerbejdżan. Szczegółów brak.

Ślady prowadzą na Kaukaz. Teheran jest oskarżany o planowanie ataków bombowych na izraelskie i żydowskie obiekty w Gruzji oraz Azerbejdżanie. W tym pierwszym państwie odnaleziono bombę niewybuch na samochodzie izraelskiego dyplomaty. W Azerbejdżanie miejscowe służby specjalne zatrzymały zaś domniemanych irańskich agentów i przechwyciły transfer broni, ponoć nadzorowany przez irańskie służby specjalne.

Nic dziwnego, że w krótkim czasie doszło do kryzysu w relacjach między Azerbejdżanem a Iranem. Teheran oskarżany jest o planowanie zamachów bombowych, a także o przeprowadzanie ataków teleinformatycznych i wspieranie szyickich grup radykałów islamskich. **Vafa Guluzade**, w latach dziewięćdziesiątych prezydencki doradca do spraw polityki zagranicznej, mówi otwarcie: „Iran próbuje zwiększyć wpływy w Azerbejdżanie i wywołać islamską rewolucję”. Teheran oskarża z kolei swojego mniejszego sąsiada o przyzwalanie na działalność agentów Mosadu i wspieranie mieszkających w Iranie Azerów, z których część chciałaby przyłączenia do świeckiego Azerbejdżanu.

CZYJA PROWOKACJA?

Izraelsko-irańska wojna podjazdowa niespodziewanie dotknęła także Indie oraz Tajlandię. W indyjskim zamachu bombowym na izraelskiego dyplomatę ładunek wybuchowy do karozerii przymocował motocyklista, podobnie jak podczas zamachów w Teheranie. Uderzenie w Nowym Delhi nie przebiegło zgodnie z planem, podobnie jak atak w Tajlandii, ranni zostali jedynie zamachowcy. Wszystkich aresztowała policja.

Co zrozumiałe, Izrael od razu oskarżył Iran oraz libański Hezbollah, najbliższego sojusznika Teheranu. Podobnie uważa **Arastun Orujlu**, szef azerskiego Research Center for East–West: „Iran potrzebuje zewnętrznego czynnika, by zmobilizować i zjednoczyć społeczeństwo. Zdaje sobie jednocześnie sprawę z tego, że nie byłby w stanie wygrać dużej wojny, dlatego stara się sprowokować Izrael do konfrontacji na małą skalę”. Takie wyjaśnienie może być po części prawdą, irańskie społeczeństwo (szczególnie młodzi i wykształceni mieszkańcy Teheranu) jest niezadowolone z obecnej sytuacji gospodarczej. Pojawienie się wroga zewnętrznego może doprowadzić do zjednoczenia narodu wokół władzy – coraz mniej lubianej, coraz mniej szanowanej, ale własnej, irańskiej.

Nie można jednak wykluczyć, że ostatnie incydenty z domniemanymi atakami to akcja wywiadu izraelskiego, mająca na celu zdyskredytowanie Iranu, pokazanie światu, że to faktycznie „oś zła”. Dziwi chociażby nieudolność zamachowców – w żadnym z co najmniej czterech ataków (a nawet pięciu, jeśli liczyć niedawny domniemany napad Irańczyków na saudyjskiego ambasadora w Waszyngtonie) nie zlikwidowano celu. W żadnej z akcji nie zatarto śladów, a miejscowe służby szybko odnalazły dokumenty irańskich zamachowców. Albo więc irańskie służby specjalne to amatorzy, albo też operacje były przeprowadzone przez Mosad. Jedno wiadomo na pewno: nie jest to koniec coraz ostrzejszej wojny służb specjalnych. ■



Globalne ambicje Indii

U.S. D.O.D.

Inwestycje w nowy sprzęt czynią z Indii jeden z bardziej chłonnych światowych rynków broni. Siły zbrojne mają świadczyć o potęgę kraju. Podobnie jak program atomowy.

MARCIN RZEPKA

Mimo sankcji nałożonych na Iran i zapowiedzi zbombardowania znajdujących się tam instalacji nuklearnych Indie wysyłają do Teheranu misję handlową. Licząca blisko 70 członków indyjska ekipa ekonomistów, handlowców, inwestorów ma nadzieję na podpisanie lukratywnych kontraktów. Czy balansowanie między sprzecznymi interesami Waszyngtonu, Brukseli i Tel Awiwu to nowa strategia Indii?

Polityczne cele Indii można ująć w czterech punktach: 1) zagwarantowanie bezpieczeństwa w północno-zachodniej części subkontynentu, co przejawia się przede wszystkim w prowadzeniu aktywnej polityki wobec Afganistanu i Pakistanu; 2) równoważenie potęgi Chin poprzez kontrakty z Rosją czy – na Dalekim Wschodzie – z Japonią i Koreą Południową; 3) osiągnięcie statusu mocarstwa i jednocześnie możliwości decydowania o porządku międzynarodowym, co uzewnętrznia się przede wszystkim w staraniach o uzyskanie statusu stałego członka przy Radzie Bezpieczeństwa ONZ; 4) wsparcie tych sektorów i procesów, które mogą pomóc w zdobyciu przez In-

die pozycji lokalnego i globalnego mocarstwa (poprzez rozwój gospodarki, technologii oraz modernizację armii).

Cele te omawia szczegółowo dokument zatytułowany „Non-Alignment 2.0”, opublikowany na początku lutego 2012 roku przez grupę analityków związanych z National Defence College oraz Centre for Policy Research. Istotną jego częścią jest określenie kondycji militarnej Indii i możliwości użycia twardych środków nacisku. Warto przy tym uwzględnić uwarunkowania geopolityczne regionu, które wpływają na formułowane przez Nowe Delhi strategie militarne, w tym spory graniczne z Pekinem i Islamabadem czy rozciągniętą linię brzegową, która powoduje konieczność modernizacji indyjskiej floty. Nie należy również tracić z oczu bezpieczeństwa wewnętrznego Indii.

Generał **Sundararajan Padmanabhan** w artykule poświęconym prognozom rozwoju armii indyjskiej do 2020 roku podkreślał, że jej rola polegać będzie na odstraszeniu przed agresją zewnętrzną. Gdyby zaś doszło do napaści, wojsko musi skoncentrować się na obronie kraju oraz na współpracy z rządem

CZY INDIE BĘDĄ SKUTECZNIE KONKUROWAĆ W REGIONIE Z USA ORAZ CHINAMI?

w celu pokonania zagrożeń wewnętrznych (w tym na eliminowaniu grup – zwolenników światowego dżihadu).

MODERNIZACJA ARMII

Termin „modernizacja” jest bodaj najczęściej pojawiającym się określeniem w wypowiedziach indyjskich polityków i wojskowych. Inwestycje w nowy sprzęt czynią z Indii jeden z bardziej chłonnych światowych rynków broni, rozbudzają przy tym nadzieje na kontrakty wśród producentów znad Wisły.

Modernizacja obejmuje także przekształcenia o charakterze strukturalnym i mentalnym, zwłaszcza reorganizację centrów decyzyjnych i zwiększenie efektywności prowadzonych szkoleń wojskowych. Zmiany odpowiadają również przemianom ogólnopaństwowym, zwłaszcza postępującemu procesowi urbanizacji. Wkrótce więc, jak podkreślają miejscowi analitycy wojskowi, armia indyjska będzie miała charakter „miejski”.

Przemiany w sferze wojskowości dotyczą również wprowadzania nowych technologii i wyspecjalizowanego sprzętu. Na początku marca 2012 roku ukazał się raport opublikowany przez indyjski Institute for Defence Studies and Analyses (IDSA) autorstwa **Viveka Kapura** dotyczący samolotów hipersonicznych – amerykańskich F-22, prac nad F-35, chińskich J-20 oraz ich odpowiedników rosyjskich. Wszystko to w kontekście modernizacji sił powietrznych Indii.

Siły zbrojne mają świadczyć o potęgę Indii. Podobnie program atomowy. Na mocy przyjętej w 2005 roku doktryny arsenał nuklearny Nowego Delhi ma skutecznie odstraszać. Osiągnięcie postulowanych zmian jest częścią wizji armii indyjskiej roku 2020. Czy wtedy Indie będą mocarstwem skutecznie konkurującym w regionie z USA oraz Chinami?

Mohan Raj, indyjski analityk, przekonuje, że silna armia ma odpowiadać bogatemu państwu. Doktryna militarna Indii wpisuje się więc w szersze plany strategiczne, do których należą potencjalne oddziaływanie na globalny układ sił oraz na porządek międzynarodowy. Za jej przejaw można uznać również wizytę delegacji indyjskiej w Teheranie 9–14 marca 2012 roku.

RÓWNOWAŻENIE SIŁ

Kontakty Indii z Iranem krytykują zarówno Stany Zjednoczone, jak i Izrael. Waszyngton na próżno próbuje uczynić z Nowego Delhi strategicznego sojusznika, zacieśniając współpracę w dziedzinie technologii nuklearnych, kosmicznych czy wojskowych. Na przeszkodzie stoi tradycyjna już strategia równoważenia sił rozwijana przez indyjskich polityków. Jej częścią, a jednocześnie przejawem własnych, niezależnych interesów Indii są kontakty z Iranem. Oczywiście w pierwszej kolej-

ności chodzi o zakup surowców energetycznych, ropy i gazu. Indie są trzecim co do wielkości odbiorcą irańskiej ropy, konsumują 12 procent tamtejszej produkcji.

Azadeh Pourzand, oceniając politykę Indii wobec Iranu, podkreśla jej wymiar racjonalny, stały i dalekosiężny. W zasadzie relacje między tymi krajami nigdy nie były złe, a pierwszy „traktat o przyjaźni” podpisano 15 marca 1950 roku. Po rewolucji islamskiej, na fali antyimperialnej i antyamerykańskiej polityki prowadzonej przez Islamską Republikę, Indie cieszyły się znacznym zainteresowaniem jako potencjalny sojusznik w nowym układzie światowym. We wrześniu 1992 roku premier Indii **Shri Narasimha Rao** odwiedził Teheran, później, w kwietniu 1995 roku, z rewizytą udał się ówczesny prezydent Iranu **Ali Akbar Rafsandżani**, który rozpoczął tym samym cykl spotkań i dwustronnych umów.

Kontakty dotyczą również wymiany poglądów między analitykami z tych krajów, między innymi Institute of Defence Studies and Analyses oraz irańskiego Institute of Political and International Studies, co niewątpliwie pomaga w przewidywaniu i prognozowaniu wydarzeń w obu państwach. Iran postrzegany jest jako kraj o znacznej pozycji geostrategicznej. Stąd zainteresowanie Nowego Delhi rozbudową portu irańskiego Czabahar, który może również odgrywać ważną rolę w planach handlowych i wojskowych Indii czy kontroli wód Zatoki Omańskiej. Przedsięwzięcie to stanowi przeciwwagę dla chińskich inwestycji w Gwadarze w Pakistanie. Faktycznie więc interesy indyjskie w kraju ajatollahów można rozpatrywać w kontekście rywalizacji z Chinami i Pakistanem.

Znaczenie Iranu potęguje dodatkowo możliwość uzyskania za jego pośrednictwem dostępu do atrakcyjnych dla Indii rynków środkowoazjatyckich. W obecnej sytuacji Iran skłonny jest widzieć w Indiach strategicznego partnera handlowego, a właściwie jednego z nielicznych po coraz bardziej dotkliwych sankcjach nakładanych na ten kraj. 4 marca 2012 roku prezydent Iranu **Mahmud Ahmadinejad** przyjął indyjskiego ministra **Farooqa Abdullaha**, odpowiedzialnego za sprawy energetyczne. Ustalono kilka istotnych kwestii. Przede wszystkim potwierdzono możliwość płatności indyjską walutą za irańską ropę, określono szczegóły dotyczące wizyty delegatów indyjskich 9 marca oraz podjęto działania w sprawie portu Czabahar. Rozmowy są potwierdzeniem planów Indii i determinacji w ich realizowaniu pomimo nacisków ze strony USA i Izraela.

Politykę Indii determinują dalekosiężne plany przyszłego mocarstwa, które są odzwierciedleniem ambicji gospodarczych, technologicznych i militarnych.

Vijay Prashad, nawiązując do relacji indyjsko-irańskich, twierdzi, że twarde rozmowy dotyczące Iranu przeprowadzane w gabinetach Waszyngtonu, Brukseli i Tel Awiwu nie odbiły się echem na wschód od Czabaharu. W Pekinie, Islamabadzie i Nowym Delhi rozmawiano w tym czasie raczej o procentach i kontraktach niż o inwazji na Teheran. Być może jest to dziś największa różnica między Wschodem a Zachodem. ■

DOKTOR MARCIN RZEPKA
JEST PRACOWNIKIEM NAUKOWYM
UNIwersytetu PAPIESKIEGO
JANA PAWŁA II W KRAKOWIE
I UNIwersytetu JAGIELLOŃSKIEGO.

Podwodny wyścig

Czy wyścig zbrojeń, który od lat trwa między Pakistanem a Indiami, dwoma mocarstwami jądrowymi Azji Południowej, wkracza w nową fazę?

RAFAŁ CIASTOŃ

Informacje, czy też raczej kontrolowane przecieki o pakistańskich planach budowy nuklearnego okrętu podwodnego, można odczytać jako reakcję Pakistanu na pojawienie się na Oceanie Indyjskim INS „Chakra”, uderzeniowego okrętu typu *Akula*, który Indie wydzierżawiły od Rosji. W doniesieniach prasowych na ten temat nie powołano się na żadne źródła, a podejmowane przez media próby uzyskania oficjalnego komentarza od marynarki wojennej nie przyniosły rezultatu.

Cytowany między innymi przez portal *Defensenews.com* **Mansoor Ahmed** z uniwersytetu *Quaid-e-Azam* w Islamabadzie ocenił jednoznacznie, że wiadomość ta była adresowana do rządu Indii i miała mu unaocznic, jak poważne obawy wzbudzają w Pakistanie indyjskie zbrojenia. Naukowiec dodał przy tym, że według jego wiedzy Pakistan ukończył prace nad odpalaną spod wody wersją pocisku manewrującego *Babur* i przygotowuje się do budowy zarówno uderzeniowych, jak i uzbrojonych w pociski *Cruise* atomowych okrętów podwodnych.

STRATEGICZNA TRIADA

W 2001 roku mówiło się o możliwości rozpoczęcia przez Islamabad prac nad morskim komponentem strategicznej triady jądrowej, a dwa lata później szef sztabu marynarki admirał **Shahid Karimullah** stwierdził, że Pakistan może podjąć takie kroki, „jeśli zostanie do nich zmuszony”. Trudno jednak sądzić, aby kraj ten był dziś w stanie całkowicie samodzielnie zbudować tego rodzaju jednostkę. Indiom opracowanie odpowiedniego reaktora zajęło kilkanaście lat (pomimo korzystania z pomocy rosyjskiej). Jak słusznie zauważa były zastępca dowódcy marynarki wojennej Federacji Rosyjskiej admirał **Igor Kasatonov**, w przypadku kraju bez rozwiniętego przemysłu i zaawansowanych technologii zbudowanie atomowego okrętu podwodnego wymagałoby znacznej pomocy z zewnątrz. Dla Pakistanu oznaczałoby to ścisłą współpracę z Chinami. Ale nawet biorąc pod uwagę deklarowaną przez chińskich przywódców przyjaźń między obydwojema narodami, nie wydaje się, by jej wyrazem w najbliższej przyszłości mogło stać się udostępnienie tego rodzaju technologii.

Pakistan ma dziś dwa konwencjonalne okręty podwodne francuskiego typu *Agosta 70*, kolejne trzy typu *Agosta 90*,

a także, również trzy, miniaturowe jednostki włoskiego typu *X-Craft (SWAS)*. Dzięki transferowi technologii ostatni z okrętów *Agosta – PNS/M „Hamza”* – został zbudowany w stoczni w Karaczi i wyposażony w niezależną od powietrza siłownię (*AIP – Air Independent Propulsion*). Kolejne dwa – *PNS/M „Khaliid”* i *PNS/M „Saad”* – mają otrzymać identyczne systemy podczas okresowych remontów.

Według doniesień Islamabad zawarł także umowę z chińską stoczną *Wuhan China State Shipbuilding Industrial Corpe* dotyczącą dostawy sześciu okrętów typu *Qing*, najprawdopodobniej również wyposażonych w systemy *AIP*. Dla porównania, Hindusi mają obecnie dziesięć jednostek typu *Kilo (projekt 877)* oraz cztery niemieckie *U-209*. Nie są one wyposażone w siłownię niezależną od powietrza, podobnie zresztą jak sześć francuskich *Scorpene’ów*, które mają trafić do służby w latach 2015–2018 (lub 2020). Systemy *AIP* pojawiają się dopiero na okrętach projektu 75I (również sześć sztuk), których produkcja powinna rozpocząć się w 2013 roku, jeśli do tego czasu uda się znaleźć dostawców siłowni *AIP* oraz pocisków manewrujących, mających być uzbrojeniem okrętu.

Indie wprowadzają do służby także pierwsze okręty z napędem jądrowym – dzieło krajowego przemysłu *INS „Arihant”* ma być ukończone jeszcze w 2012 roku. Wydzierżawiony na dziesięć lat „*Chakra*” w linii pojawił się w styczniu 2012. Ma umożliwić systematyczne szkolenie załóg, w miarę jak do służby trafiać będą jednostki rodzimej produkcji (mówi się o trzech do pięciu sztuk, ale może być ich więcej).

RYZYKOWNE PROJEKTY

Aby w pełni zrozumieć powody, dla których Indie tworzą flotę atomowych okrętów podwodnych, należy przyjrzeć się doktrynie jądrowej i sytuacji geopolitycznej tego kraju. W przeciwieństwie do Islamabadu Nowe Delhi zakłada, że nie użyje jako pierwszej broni jądrowej przeciw państwom ją posiadającym, jak również wobec mocarstw jądrowych. Determinuje to konieczność posiadania zdolności tak zwanego drugiego uderzenia. Okręty strategiczne, boomery, są niewątpliwie najdoskonalszym narzędziem do jego wykonania, dlatego też będą konstruowane w pierwszej kolejności, przed uderzeniowymi.



Ponadto, rozbudowując marynarkę wojenną, Indie biorą pod uwagę działania nie tylko Pakistanu, lecz przede wszystkim Chin, które utrzymują flotę około 70 konwencjonalnych oraz nuklearnych okrętów podwodnych i coraz śmielej spoglądają w kierunku Oceanu Indyjskiego.

Wydawać by się mogło, że Hindusi, skoro mają czternaście jednostek konwencjonalnych oraz plany pozyskania kolejnych dwunastu, mogą czuć się w miarę bezpiecznie. Dużym problemem są jednak wieloletnie opóźnienia związane z budową okrętów projektów 75 (Scorpene) i 75I. Do roku 2020 w służbie pozostanie maksymalnie pięć z uży-

W PRZECIWIENSTWIE DO ISLAMABADU NOWE DELHI ZAKŁADA, ŻE NIE UŻYJE JAKO PIERWSZE BRONI JĄDROWEJ PRZECIW PAŃSTWOM JĄ POSIADAJĄCYM



INDIAN - MILITARY . ORG

Wydawać by się mogło, że Hindusi, mający ambitne plany rozbudowy floty, mogą czuć się w miarę bezpiecznie. Dużym problemem są jednak wieloletnie opóźnienia związane z budową okrętów projektu 75 (Scorpene) i 75I.

wanych dziś jednostek, a dwa lata później – tylko dwie. Nawet jeśli do tego czasu uda się zbudować wszystkie okręty projektu 75I, wciąż nie zostanie osiągnięte przyjmowane minimum – osiemnaście okrętów, nie wspominając już o zrealizowaniu porzuconych ostatecznie założeń tak zwanego trzydziestoletniego planu rozbudowy z 1999 roku. Zakładał on pozyskanie dwunastu konwencjonalnych okrętów podwodnych do roku 2012 i kolejnych dwunastu do 2030.

Sytuacja Pakistanu jest zgoła inna. Z uwagi na znaczne w stosunku do Indii dysproporcje w siłach konwencjonalnych nigdy nie wykluczył on możliwości użycia broni jądrowej jako pierwszy, jeśli przeciwnikiem będzie mocarstwo nuklearne. Można zatem przypuszczać, że jeśli Islamabad podjąłby decyzję o umieszczeniu broni jądrowej na pokładach okrętów, postawiłby nie na pociski balistyczne, lecz ra-

czej na manewrujące, zdolne do atakowania zarówno jednostek pływających (hinduskich lotniskowców), jak i celów lądowych. Również z czysto technicznego punktu widzenia opracowanie morskiej wersji Babura (amerykańskie raporty nie potwierdzają istnienia takowej) byłoby dla Pakistańczyków dużo łatwiejszym zadaniem niż zaprojektowanie odpalanej spod wody rakiety balistycznej.

O tym, jak trudna jest to sztuka, przekonali się zarówno Hindusi, którzy wciąż nie mają docelowego pocisku tej klasy, trudno bowiem za taką uznać rakietę Sagarika o zasięgu około 300–700 kilometrów, jak i Chińczycy, których JL-2 od lat nie może uzyskać gotowości operacyjnej. Nosićielami rakiet uzbrojonych w głowice jądrowe nie muszą jednak być wcale okręty napędzane jądrowymi siłownikami.

Rolę tę równie dobrze mogą spełniać wspomniane jednostki typu Qing, które w oryginalnej wersji mają przenosić do trzech pocisków manewrujących CJ-10K o zasięgu 1,5 tysiąca kilometrów. Te stosunkowo nowoczesne okręty, prawdopodobnie cichsze od rosyjskich Kilo projektu 877, choć nie tak ciche jak nowsze jednostki projektu 636 czy St. Petersburg, dzięki niezależnemu od powietrza napędowi będą mogły pozostawać w zanurzeniu co najmniej kilkanaście dni, co czyni je wyjątkowo korzystną alternatywą dla dużo droższych i bardziej skomplikowanych okrętów atomowych. Trudno jednak jednoznacznie stwierdzić, czy decyzja o uzbrojeniu ich w broń jądrową zostanie podjęta. Szczegóły stosowanego przez Pakistańczyków systemu zabezpieczeń nie są wprawdzie znane, jednak według dostępnych raportów jednym z jego elementów jest fizyczna separacja głowic (a być może także zapalników) i środków przenoszenia, co na okręcie podwodnym byłoby niewykonalne.

REGIONALNE ASPIRACJE

W niedalekiej przyszłości prawdopodobieństwo pozyskania przez Pakistan nuklearnego okrętu podwodnego jest niewielkie. Nie oznacza to jednak, że kwestia ta całkowicie zniknie z retoryki cywilnych i wojskowych władz tego kraju. Ze względów politycznych i ekonomicznych Islamabad skupi się jednak na pozyskaniu jednostek konwencjonalnych, wyposażonych w niezależne od powietrza siłownice, których głównym zadaniem w warunkach bojowych będzie śledzenie i zwalczanie indyjskich lotniskowców i boomerów.

Indie z kolei muszą dziś podjąć decyzję nie tylko o wyborze dostawcy technologii dla okrętów projektu 75I, lecz także rozpoczęciu poszukiwania ich następców, ewentualnie zwiększeniu serii do 10–12 jednostek. Niezależnie od prac związanych z pozyskiwaniem jednostek strategicznych gwałtowne starzenie się posiadanych okrętów będzie wymuszało szybkie decyzje, dodatkowo motywowane obawą przed pakistańsko-chińskim sojuszem, którego morskim symbolem jest budowa infrastruktury portowej w Gwadarze, jak również naturalnymi aspiracjami Indii do pełnienia roli regionalnego mocarstwa. ■

RAFAŁ CIASTOŃ JEST PRACOWNIKIEM ADMINISTRACJI RZĄDOWEJ, CZŁONKIEM ZESPOŁU ANALIZ FUNDACJI AMICUS EUROPAE, EKSPERTEM FUNDACJI IM. KAZIMIERZA PUŁASKIEGO.



BEZPIECZNE SERCE EUROPY

NATO

Ministerstwo obrony Belgii zamierza zwiększyć fundusze przeznaczone na modernizację sprzętu wojskowego. Armia ma być bardziej mobilna i tańsza.

KAMIL SOBCZYK

Historia Belgii to dzieje walki o suwerenność i podmiotowość międzynarodową. Dzisiejsze tereny państwa od wieków były obszarem spornym i miejscem starć między wielkimi państwami Europy Zachodniej. Począwszy od walk rzymsko-germańskich, poprzez wieki rywalizacji Burgundii, Francji, Rzeszy i Hiszpanii, aż po tragiczne apogeum w postaci dwóch wojen światowych. XX wiek był dla Belgów przełomowy. Łączy on czasy upadku państwa i ciężkich zmagania wojennych z wieńczącym stulecie czasem pokoju i dobrobytu. Dziś otoczenie międzynarodowe kraju jest stabilne, a sąsiednie państwa, wspólnie z Belgią, należą do najpotężniejszego sojuszu militarnego na świecie. Najbliższe granicom kraju potencjalne źródła niepokoju to oddalone regiony Bałkanów, Europy Wschodniej i Afryki Północnej. W takiej sytuacji rząd w Brukseli nie waha się wprowadzać znacznych oszczędności w siłach zbrojnych.

U schyłku lat osiemdziesiątych belgijskie wydatki wojskowe wynosiły ponad osiem miliardów dolarów, czyli 2,5 procent PKB. Po upadku bloku wschodniego rozpoczął się proces ich stopniowej redukcji. Do 2006 roku zmniejszono budżet obronny do pięciu miliardów dolarów. Kolejne lata przyniosły najpierw niewielki wzrost wydatków, a następnie ponowny spadek. W 2010 roku Belgia wydała na siły zbrojne 5,3 miliarda dolarów, czyli około 1,2 procent PKB.

Zmiany w budżecie są częścią planu „La finalisation de la transformation” zapoczątkowanego w 2009 roku przez ministra obrony **Pietera De Crema**. Poza redukcją nakładów pieniężnych zaplanowano również zmianę budżetu. W momencie rozpoczęcia reform 60,4 procent stanowiły wydatki osobowe, jedynie 12,8 procent szło na inwestycje. Do 2020 roku pierwsze z nich mają stopnieć do około 50 procent, a drugie wzrosnąć do około 25 procent. Aby tak się stało, redukowana

jest liczba pracowników wojska oraz zwiększany udział firm zewnętrznych w funkcjonowaniu sił zbrojnych. Zwolnienia nie omijają wojskowych. W ramach konsolidacji jednostek zostanie zamkniętych około 30 instalacji wojskowych, w tym tuzin garnizonów. Powodem reform **De Crema** jest konieczność zbilansowania budżetu oraz racjonalizacja wydatków, co władze tłumaczą przeciagającym się kryzysem finansowym.

ELASTYCZNE SIŁY

Poza redukcją wydatków plan **De Crema** zakłada zmiany w organizacji sił lądowych. Cały komponent bojowy skonsolidowano w dwóch brygadach: średniej i lekkiej. Mają one liczyć odpowiednio 3 tysiące i 2,6 tysiąca żołnierzy. Pierwsza z nich to klasyczna jednostka zmotoryzowana składająca się z czterech batalionów. Jej głównym zadaniem jest działanie na terytorium Belgii i jego obrona. Brygada Lekka to jednostka powietrznodesantowa złożona z dwóch batalionów spadochroniarzy, batalionu lekkiej piechoty oraz Grupy Sił Specjalnych. W jej składzie znajdują się również ośrodki szkolenia spadochronowego i komandosów. Pełni ona rolę sił szybkiego reagowania i może służyć do wypełniania zobowiązań sojuszniczych Królestwa Belgii.

Siły lądowe mają również dwa bataliony inżynieryjne, batalion artylerii i batalion rozpoznawczy odpowiedzialny nie tylko za rozpoznanie, lecz także za wywiad i szeroko pojęte gromadzenie informacji. Wojska lądowe liczą około 12 tysięcy żołnierzy.

Podobnie jak w przypadku sił lądowych nowa struktura sił powietrznych została uporządkowana. Lotnictwo dzieli się na jednostki bojowe, jednostki wsparcia, centrum kompetencji sił powietrznych oraz jednostki wsparcia operacyjnego. Pierwsza grupa obejmuje 2 i 10 Skrzydło Taktyczne stanowiące główny element bojowy. Druga grupa składa się z 15 Skrzydła Transportu Powietrznego, szwadronu bezałogowych statków latających oraz 1 Skrzydła, które na skutek reformy stało się jednostką śmigłową. Kolejna grupa odpowiada za wyszkolenie pilotów, w jej skład wchodzi ośrodki szkoleniowe. Ostatnia konsoliduje szeroko pojęte wsparcie operacyjne i obejmuje centra kontroli sił powietrznych, bezpieczeństwa lotów, kontroli przestrzeni powietrznej oraz Skrzydło Meteorologiczne. Komponent lotniczy liczy ogółem około 7,2 tysiąca żołnierzy.

Najmniejsze zmiany dotyczą sił morskich Królestwa Belgii. Ich organizacja, podział na siły operacyjne, wsparcia i dowodzenia, się nie zmienia. Liczebność tej formacji to około 1,6 tysiąca żołnierzy.

Dla belgijskich sił zbrojnych charakterystyczny jest czwarty komponent: medyczny. Ten rodzaj wojsk składa się z dowództwa oraz pięciu elementów interwencyjnych. Do ich zadań należą: zabezpieczenie wsparcia medycznego w czasie prowadzonych operacji wojskowych, udział w pomocy humanitarnej oraz prowadzenie szkoleń i kursów w ramach sił zbrojnych. Komponent ten liczy dwa tysiące żołnierzy.

ARMIA NA KOŁACH

Ministerstwo obrony zamierza zwiększyć fundusze przeznaczone na modernizację sprzętu wojskowego. Celem jest

zapewnienie większej mobilności sił połączone ze zmniejszeniem kosztów ich funkcjonowania. Największe zmiany dotyczą komponentu lądowego belgijskich sił zbrojnych. Za przełomową można uznać decyzję o zastąpieniu czołgów Leopard 1A5 kołowymi wozami bojowymi Mowag Piranha III. Zawarty w 2006 roku kontrakt zakłada wprowadzenie do użytku do 2015 roku 242 wozów Piranha w siedmiu wersjach. Najwięcej maszyn, 99 sztuk, zamówiono w wersji dla piechoty uzbrojonej w WKM 12,7 milimetra. Na drugim i trzecim miejscu znalazły się wersja wsparcia ogniowego z wieżą CT-CV i działem kalibru 90 milimetrów (40 sztuk) oraz 32 pojazdy uzbrojone w działko 30-milimetrowe. Zainstalowanie działka niestandardowego kalibru 90 milimetrów wzbudziło w Belgii

wiele kontrowersji, gdyż nie były one zgodne ze standardami NATO. Ostatecznie w 2008 roku zrezygnowano z ich zakupu w tej wersji.

Od tamtego czasu toczy się w Belgii dyskusja, jak zniwelować braki w sile ognia. W 2011 roku pojawiły się przecieki prasowe sugerujące, że prowadzone są rozmowy z Holandią na temat zakupu używanych czołgów Leopard 2A6. Do dziś jednak ta kwestia nie została rozwiązana.

Plan **De Crema** obejmuje również zastąpienie gaśnicowych BWP AIFV-B i M113 60 austriackimi kołowymi wozami bojowymi Pandur. Obecnie są one modernizowane i dostosowywane do wykorzystania w jednostkach rozpoznawczych. Belgia wymieniła też lżejsze pojazdy kołowe. Zamówiono 220 opancerzonych wozów rozpoznawczych Dingo 2 niemieckiej firmy Krauss-Maffei-Wegmann oraz 960 włoskich wielozadaniowych samochodów terenowych Iveco LMV.

W przypadku sił powietrznych podstawą stało się utrzymanie bezpieczeństwa przestrzeni powietrznej kraju i możliwości działań ekspedycyjnych. Częścią oszczędności jest wycofanie z użycia sześciu z 60 używanych przez Belgię samolotów F-16. W związku z powstaniem Lekkiej Brygady postanowiono z kolei zwiększyć zdolności transportowe. Do 2020 roku zrealizowany ma zostać kontrakt na siedem samolotów A400M.

Głównymi zadaniami belgijskiej Marynarki Wojennej stały się utrzymanie możliwości eskortowych oraz przeciwminowych. Flota składa się z dwóch fregat klasy Karel Doorman, sześciu niszczycieli min klasy Tripartite oraz jednostek wsparcia.

Głównymi zadaniami belgijskiej Marynarki Wojennej stały się utrzymanie możliwości eskortowych oraz przeciwminowych. Flota składa się z dwóch fregat klasy Karel Doorman, sześciu niszczycieli min klasy Tripartite oraz jednostek wsparcia.

EUROPEJSKIE TRENDY

Działania belgijskiego rządu wpisują się w trendy obowiązujące w zachodniej Europie. Z czołgów zrezygnowała również Holandia, liczbę sprzętu pancernego redukuje Austria, a we Francji od lat trwają dyskusje nad zmniejszeniem liczby Leclerców. W 2008 roku ówczesny minister obrony **Hervé Morin** twierdził, że ciężkie czołgi nie są dziś tak użyteczne jak dawniej.

Królestwo Belgii jest krajem bezpiecznym, najbardziej zagrożają mu dziś problemy ekonomiczne i finansowe, szczególnie kryzys w strefie euro. Powoduje to naturalną i popieraną przez mocno pacyfistyczne społeczeństwo chęć zmniejszenia wydatków obronnych. ■

OSZCZĘDNOŚCI NA WOJSKU NIE POWODUJĄ SPRZECIWU SPOŁECZEŃSTWA, STANOWIĄ ZATEM WYGODNY INSTRUMENT BILANSOWANIA BUDŻETU PAŃSTWA

Turecki szpagat

Chociaż Turcja aspiruje do miana regionalnego mocarstwa, dla Ankarę kluczowe pozostają relacje z państwami NATO. Czy coś się zmieni w jej polityce?

ROBERT CZULDA

W ostatnich kilkunastu miesiącach pojawiały się głosy, że Turcja odchodzi od NATO, a zbliża się do państw Bliskiego Wschodu. Ankarą mniej chętnie niż w przeszłości zabiega o członkostwo w Unii Europejskiej, zerwała polityczno-militarne więzi z Izraelem, skłóciła się z Francją o masakrę Ormian, a także sprzeciwia się zbyt ostrej polityce względem Iranu. Czy to jednak wystarczy, by stwierdzić, że Turcja nie jest już faktycznie w NATO?

Zdaniem tureckich ekspertów mówienie, jakoby „małżeństwo” sojuszu z Turcją zostało zakończone, jest grubą przesadą. Przekonują oni, że Zachód źle odbiera ewolucję polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Ankarę.

„Nie odwracamy się od NATO i Europy, lecz po prostu zwiększamy aktywność polityki zagranicznej. W nadchodzących latach znaczna część uwagi naszych decydentów będzie skoncentrowana na Bliskim Wschodzie, a nie na Zachodzie, który znajduje się w kryzysie. Ten kierunek nadal pozostaje dla nas priorytetowy”, przekonuje w rozmowie z POLSKĄ ZBROJNĄ doktor **Tuncay Kardaş** z Uniwersytetu Sakarya.

KRYZYSY ZBLIŻAJĄ

Nie ma więc realnych podstaw, by uznać, że Turcja ostatecznie porzuci NATO i skoncentruje się jedynie na Bliskim Wschodzie. Zbyt silne są bowiem powiązania polityczne, militarne i gospodarcze. Pomimo wzrostu znaczenia Ankarą ma świadomość własnej słabości – wie dobrze, że sama nie rozwiąże problemów bliskowschodnich. Dotyczy to zarówno kwestii syryjskiej, jak i irańskiej. Każdy z tych kryzysów zbliża Turcję do sojuszu.

DO SOJUSZU ZBLIŻA TURCJĘ KWESTIA IRANU. STANOWISKO JEST TU JASNE: SKORO ANKARA TO CZŁONEK NATO, EWENTUALNY ATAK USA BĘDZIE SKUTKOWAŁ ZBROJNĄ ODPOWIEDZIĄ TEHERANU PRZECIWKO TURCJI

O tym, że Turcja nadal jest zainteresowana współpracą z NATO, świadczą tajne rozmowy polityczno-wojskowe z przedstawicielami sojuszu, w tym z Amerykanami, dotyczące kryzysu syryjskiego. Podobno jednym z punktów rozmów była możliwość ewentualnej akcji zbrojnej przeciwko prezydentowi **Baszarowi al-Asadowi**. W tej kwestii Turcja, mimo bliskich relacji gospodarczych z Syrią, stoi po stronie Zachodu. Do **Al-Asada** wysłano przypomnienie o ultimatum z września 2011 roku, w którym wezwano go do zakończenia stosowania przemocy.

Turcja w ostatnich tygodniach skoncentrowała w strefie przygranicznej kilka tysięcy żołnierzy. Przywódcy NATO patrzą na ruchy tych wojsk z pewnym niepokojem. Z jednej strony, rozumieją konieczność ochrony granicy przed napływem uchodźców oraz rebeliantów, dostrzegają także pozytywne aspekty wywierania militarnej presji na Syrię. Z drugiej, obawiają się jednak, że stanowcza polityka Turcji może doprowadzić do wojny. Syryjska odpowiedź zbrojna w odniesieniu do Turcji byłaby – zgodnie z artykułem V traktatu waszyngtońskiego – uderzeniem na cały sojusz. NATO ma dość smartwien i głośnienie się nad solidarną reakcją w razie tej potyczki jest chyba ostatnią rzeczą, jaką chcą zajmować się obecnie natowscy sztabowcy.

Turcję do sojuszu zbliża także kwestia Iranu, którego stanowisko jest jasne: skoro Ankarą to członek NATO, ewentualny atak Stanów Zjednoczonych będzie skutkowało zbrojną odpowiedzią Teheranu przeciwko Turcji. Mimo to w ostatnim czasie zgodziła się ona na otwarcie w miejscowości Malatya nатовskiej bazy radarowej, do której przybyli niedawno żołnierze amerykańscy. Pomimo obaw o własne bezpieczeństwo, przede wszystkim związanych z atakiem raketowym Iranu, Turcja nie zmieniła planów. Trudno o wyraźniejszy dowód na dalsze podtrzymywanie więzi Ankarę z NATO.

NA DWA FRONTY

Należy się spodziewać, że w nadchodzących latach Turcja nadal będzie prowadziła politykę dwutorową. Ankarą doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jej strategiczne znaczenie polega nie tylko na tym, iż jest państwem muzułmańskim, co zbliża ją do świata bliskowschodniego, lecz przede wszystkim na tym, że jest bliskim sojusznikiem Zachodu, z dostępem do nowoczesnych technologii oraz mocnym powiązaniem z NATO. Dzięki temu Turcja pozostaje atrakcyjna dla obu stron. ■



Reduta

N O W O G R Ó D

Nawet hitlerowscy kronikarze z uznaniem pisali o bohaterskich obrońcach Nowogrodu nad Narwią we wrześniu 1939 roku.



JAKUB NAWROCKI

Położony na skarpie przy ujściu Pisy do Narwi Nowogród w 1939 roku liczył blisko 2,5 tysiąca mieszkańców. Niemal do chwili wybuchu wojny nie było tam żadnych umocnień i wojska. W marcu 1939 roku generał **Czesław Młot-Fijałkowski** zapoznał się z tajnymi planami prac fortyfikacyjnych na odcinku działań Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”, które otrzymał z Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Od początku kwietnia 1939 roku rozpoczęto budowę ciężkich i średnich schronów bojowych wzdłuż Narwi; rzeka miała stać się naturalną barierą i linią obrony na wypadek agresji hitlerowców z Prus Wschodnich.

W wyniku zakrojonej na dużą skalę, a zarazem starannie ukrywanej operacji miał powstać zrąb polskich stałych umocnień, które zaczynałyby się od twierdzy modlińskiej, wiodły przez odcinki Ostrołęka, Nowogród, Forty Piątnickie, Wizna, Osowiec oraz Augustów i kończyły na potężnym zespole obiektów obronnych Grodna. Nowe fortyfikacje były tworzone głównie przez zmobilizowany w marcu 1939 roku batalion 33 Pułku Piechoty oraz junackie hufce pracy. W przededniu wybuchu wojny większość z planowanych 51 budowli była jeszcze niewykończona, a niektóre istniały tylko w planach.

Łomżyńskiemu Pułkowi Strzelców Kurpiowskich do obrony powierzono odcinek wzdłuż linii Narwi liczący łącznie aż 65 kilometrów. Zadanie to po wielokroć przekraczało normę, która dla pułku piechoty wynosiła maksymalnie 5 kilometrów. Dowódca jednostki, podpułkownik dyplomowany **Lucjan Stanek**, trafnie przewidział, że jeżeli dojdzie do niemieckiej agresji, przeciwnik skoncentruje swoje uderzenie w kierunku przepraw wodnych na Narwi w Nowogrodzie lub Łomży. Dlatego postanowił skupić dwie trzecie swoich sił między tymi dwoma miastami. Odcinek Nowogród–Szablak został powierzony niepełnemu 3 Batalionowi 33 Pułku Piechoty majora **Józefa Sikory**. Obsadę schronów bojowych stanowili żołnierze z wydzielonej kompanii fortecznej Korpusu Ochrony Pogranicza. Za wsparcie artyleryjskie posłużyć miała jedna bateria haubic stumilimetrowych, a cały arsenał przeciwpancerny tworzyły dwa działka przeciwpancerne.

ZASKOCZENI AGRESORZY

W pierwszych dniach września w Nowogrodzie i okolicy nie doszło do żadnego kontaktu z wrogiem. Dopiero 5 września wysunięta placówka podoficerska we wsi Morgowniki, po północnej stronie Narwi, telefonicznie poinformowała o kolumnach zmotoryzowanych zmierzających w kierunku Nowogrodu. W nocy z 5 na 6 września niemiecka grupa zwiadowcza mostem przekroczyła rzekę i wpadła pod ostrzał ze strony polskich obrońców znajdujących się w schronach bojowych. Niemiecki oddział został rozbity. Więźci do niewoli żołnierze Wehrmachtu twierdzili, że nie spodziewali się żadnego oporu.

Kolejnej nocy niemiecka 21 Dywizja Piechoty pod dowództwem generała porucznika **Kuno-Hansa von Botha** przeprowadziła zmasowany ostrzał artyleryjski połączony z bombardowaniem lotniczym. Następnie Niemcy podjęli próbę sforsowania rzeki i zdobycia Nowogrodu oraz schronów. Narew pokonała tylko załoga jednej gumowej łodzi, ale po wyjściu na brzeg wszyscy żołnierze zginęli w wyniku polskiego ostrzału. Następnego dnia wieczorem Niemcy ponowili próbę przebicia się na drugi brzeg. Za każdym razem jednak, gdy tylko udało im się utrzymać przyczółek po drugiej stronie Narwi, byli spychani przez strzelców kurpiowskich z powrotem do rzeki.

8 września, kiedy pod Nowogród nadciągnęła całość sił 21 Dywizji Piechoty oraz ciężka artyleria, rozpoczęła się główna faza bitwy. Schrony bojowe Polaków nękała teraz artyleria przeciwpancerna – dużo skuteczniejsza w starciu z żelbetonowymi bunkrami niż tradycyjna polowa. Niemcom udało się tego dnia znaleźć słaby punkt w polskiej obronie. Na wschodnim pododcinku Szablak przekroczyli rzekę i wyparli stamtąd Polaków, zajęli wieś Mątwićę i wzgórze 133. Tym samym wyszli na tyły obrońców znajdujących się w schronach i Nowogrodzie.

Pierwsze polskie kontruderzenie, przeprowadzone zbyt skromnymi siłami, zakończyło się niepowodzeniem. W tej sytuacji podpułkownik **Lucjan Stanek** podjął →

PO WOJNIE NOWOGRÓD
ZOSTAŁ ODZNACZONY
ORDEREM KRZYŻA
GRUNWALDU,
A ŻOŁNIERZOM BRONIĄCYM
TEGO ODCINKA NADANO
33 ORDERY VIRTUTI MILITARI

→ Reduta NOWOGRÓD

decyzję o dużo silniejszej kontrofensywie, tym razem od strony wsi Jednaczewo. Jedyny odwód pułku w sile jednej kompanii piechoty otrzymał zadanie zepchnięcia Niemców do Narwi. Do walki rzucono nawet dodatkowy oddział – złożony z kucharzy, telefonistów i służb tyłowych. W nocy z 8 na 9 września Polacy zmusili hitlerowców do wycofania się z zajętych pozycji i ucieczki na drugi brzeg po przerzuconej przez rzekę kładce. Tej nocy wzięto do niewoli 32 jeńców.

SPÓŹNIONA POMOC

Chwilowy sukces nie poprawił jednak coraz gorszej sytuacji na odcinku Nowogród. Polscy obrońcy byli poddawani nieustannemu ostrzałowi i bombardowaniom lotniczym. Schrony bojowe, z których korzystali, były niewykończone. Prawie we wszystkich brakowało wentylacji. Powoli kończyły się zapasy amunicji i nie można było liczyć na posiłki.

Za późno. Łączność została całkowicie zerwana, a wycieńczeni żołnierze z polskich oddziałów rozpoczęli już odwrót w kierunku Czerwonego Boru. Następnego dnia rano rzeczywistość ruszyło uderzenie 42 Pułku Piechoty. Udało się wyprzeć Niemców z Nowogrodu, ale nie na drugi brzeg Narwi. Wkrótce polskie oddziały ponownie otrzymały rozkaz wycofania się. Krwawa obrona linii Narwi i Nowogrodu dobiegła końca.

AGONIA OBROŃCÓW

Obrona Nowogrodu i schronów bojowych nad Narwią krwawo zapisała się w dziejach łomżyńskiego 33 Pułku Piechoty. 3 Batalion stracił blisko 60 procent swojego stanu osobowego. Spośród żołnierzy przerzuconej na linię Narwi kompanii fortecznej Korpusu Ochrony Pogranicza większość zginęła. Żaden z dowódców schronów bojowych nie przeżył.

Niestety nie ma zbyt wiele pozycji historycznych i naukowych

UMOCNIENIA ZNAJDUJĄ SIĘ NA GRUNTACH PRYWATNYCH I NIE MAJĄ STATUSU ZABYTKÓW.

Schrony i umocnienia w okolicach Nowogrodu budowano na prywatnych terenach. Po wojnie ówczesne władze nie były zainteresowane uregulowaniem prawnym tego, co pozostało po kampanii. Do dziś obiekty te znajdują się na gruntach prywatnych i nie mają statusu zabytków. Schrony, które nie zostały wysadzone przez Niemców w 1944 roku, pełnią dziś najprzeróżniejsze funkcje: piwnic i ziemianek czy wysypisk śmieci. Większość miejsc, gdzie toczyły się walki we wrześniu 1939 roku, po wojnie została ogołocona ze wszystkich przedmiotów przedstawiających jakąkolwiek wartość. Wyjątkiem jest schron bojowy numer 1, znajdujący się przy moście w Nowogrodzie. Został wycyszczony i odświeżony. Co roku w jego pobliżu odbywają się inscenizacje historyczne, które przypominają o bohaterskiej obronie odcinka Nowogród.

9 września dowódca 33 Pułku Piechoty nawiązał łączność telefoniczną z dowodzącym 18 Dywizją Piechoty pułkownikiem dyplomowanym **Stefanem Kosseckim** i przedstawił mu dramatyczną sytuację na odcinku Nowogród–Szablak. Usłyszał mało pocieszającą odpowiedź: „Zdaję sobie sprawę z twego położenia, ale w sytuacji, jaka się wytworzyła, nie możesz liczyć na żadną pomoc. Odwrotnie, musisz przetrwać z tym, co masz, jeszcze następne 24 godziny”.

Tego samego dnia hitlerowcy z jeszcze większą intensywnością prowadzili ciężki ostrzał i bombardowania. Jednocześnie podjęli próby zdobycia drugiego brzegu. W końcu w godzinach przedpołudniowych udało im się osiągnąć przyczółek po polskiej części rzeki i w walkach ulicznych zająć część Nowogrodu. Polscy żołnierze nie opuścili zajmowanych pozycji. Dopiero 10 września wieczorem podpułkownik **Stanek** otrzymał rozkaz do odwrotu. Dwie godziny później nadszedł ze sztabu dywizji kolejny, by jednak pozostać na swoich pozycjach, ponieważ planowane jest przeciwnatarcie na kierunku nowogrodzkim siłami 42 Pułku Piechoty.

dokumentujących tamte straszne dni. Dużo więcej można dowiedzieć się ze wspomnień i dokumentacji Wehrmachtu.

Eugen Hadamowski, niemiecki korespondent wojenny, w swojej książce „Blitzmarsch nach Warschau” dużo miejsca poświęca obronie Nowogrodu, której był świadkiem. Wspomina on: „Stanowisko to, ostatnie i decydujące przed Warszawą, trzymało się dłużej i bardziej uporczywie niż linia blokhausów pod Mławą, niż już w pierwszych dniach przełamania umocnienia Korytarza i Górnego Śląska. [...] Polskie załogi obrońców wykorzystywały wszystkie środki ostateczne i strzelały flankująco z nienaruszonych jeszcze kopuł i strzelnic. Kiedy pułk piechoty przeprawił się, dostał się pod tak silny ogień, że szturmujący żołnierze, ponosząc ciężkie straty, wielokrotnie musieli się cofać. Dalej na wschód jednakże broniła się każda załoga z żarzą wściekłością”.

Wstrząsający jest opis śmierci polskich żołnierzy ze schronu bojowego numer 6, położonego kilkanaście metrów od Narwi: „Schron [...] był tak długo i zawzięcie broniony, póki celny strzał działka szybkostrzelnego nie trafił w szczelinę obserwacyjną i eksplodował wewnątrz ze straszliwą siłą. Pan-

cerne drzwi do sąsiedniego pomieszczenia zostały wyrwane z zawiasów i ciśnięte do pomieszczenia sypialnego załogi. Bunkier zaczął płonąć. Zapaliła się słoma, na której leżeli żołnierze, i ogień objął cały schron. [...] Miejscowość Nowogród stała się pod koniec walki jedną żółtopłonącą pochodnią nad Narwią”.

Do podobnych sytuacji dochodziło także w innym bunkrach na tej linii – całe załogi ginęły, spalone miotaczami ognia, ponieważ nie chciały się poddać. Niemiecki komunikat prasowy z 16 września 1939 roku potwierdza zaciekłość walk: „Nowogród, niezwykle silnie umocnione miasto przy ujściu Pisy, było w czasie obecnych działań wojennych jednym z najtrudniejszych do przebycia punktów obrony”.

Bardzo mało jest polskich relacji z tamtych wydarzeń. Zachowały się jedynie rodzinne przekazy. Jeden z żołnierzy 33 Pułku Piechoty wspominał: „Niemcom udało się szturmem podejść pod sam schron u grobli i wtedy, kiedy byli już bardzo, bardzo blisko, my z góry



**STRZELCOM
KURPIOWSKIM**
powierzono do obrony
odcinek liczący
aż 65 kilometrów,
podczas gdy norma
dla pułku wynosiła
5 kilometrów.

patrzmy, a tu drzwi się nagle otwierają. Wypada stamtąd pięciu czy sześciu naszych żołnierzy i rusza do starcia wręcz, na bagnety. Szansy żadnej nie mieli, ponieważ na ich schron nacierały dziesiątki nieprzyjaciół. Zresztą Niemcy zaraz zaczęli strzelać do nich z bliska i chyba żadnemu z naszych nie udało się nawet dobiec do wroga”. Wśród zabitych był między innymi porucznik **Mieczysław Jarzyna** z pułku KOP Sarny. Objął on dowództwo nad kompanią forteczną po kapitanie **Eugeniuszu Kordjaczyńskim**, który zginął w innym schronie dzień wcześniej.

W CIENIU WIZNY

Polska historiografia walkom o Nowogród poświęciła niewiele miejsca. Historycy swoją uwagę skupili bardziej na obronie znajdującej się o 50 kilometrów Wizny. Tę bitwę nazywano „polskimi Termopilami”, a przecież obrońcy Nowogrodu wykazali się nie mniejszym bohaterstwem i determinacją. Także mieszkańcy miasteczka w tych trudnych chwilach zasłużyli na podziw. Nie opuścili swoich domostw i wspierali polskich żołnierzy. Pełnili funkcje pomocnicze. Dochodziło do takich sytuacji, że niektórzy wręcz błagali żołnierzy, by ci wydali im broń i umożliwili udział w obronie miasta. Po wojnie Nowogród został odznaczony Orderem Krzyża Grunwaldu, a żołnierzom broniącym tego odcinka nadano 33 ordery Virtuti Militari i 60 Krzyży Walecznych. ■



Nowogród po zajęciu przez Niemców



Polski schron nad Narwią, który został zniszczony przez Niemców w 1939 roku



W przededniu wybuchu wojny większość z planowanych 51 budowli kompleksu fortyfikacji była jeszcze niewykonczona

WIELKANOC

Znekani postem

„W śniadaniu świątecznym wzięli udział przedstawiciele społeczeństwa, by zastąpić żołnierzom w tym dniu ognisko domowe”.

ANNA DĄBROWSKA

Jak donosił korespondent „Polski Zbrojnej” 14 kwietnia 1931 roku, w 20 Pułku Strzelców Kaniowskich już od wielkiej soboty trwały gorączkowe przygotowania do świąt. „Ruch ożywiony i pomimo że część żołnierzy pułku pełni w tym dniu służbę wartowniczą, w garnizonie do wieczora wzorowy i świąteczny porządek panował w całym koszarach”.

ŻONA LUB ORDYNANS

Kto wolał, mógł pojechać do domu, zamiast spędzać święta w jednostce. „Na okres świąt Wielkiejnocy pan Minister zezwolił na udzielenie urlopów świątecznych oficerom i szeregowym oraz pracownikom wojska”.

Z przygotowaniami do świąt w domu wiązał się też inny problem. „Z zaniepo-

kojeniem przeczytaliśmy o uchwale sejmu wymagającej skasowania ordynansów”, pisał porucznik **Jakub Kowalikowski**. „W dawnych podobnych projektach figurował zawsze zamysł dania w zamian pewnego dodatku pieniężnego, który pozwoliłby na opłacenie jakiejś usługi, a obecnie o tem nic nie słyhać”.

Porucznik wyliczał, że w ich garnizonie tylko dwóch oficerów ma możliwość zatrudnienia służącej zamiast ordynansa: najstarszy szarżą z powodu największych poborów oraz porucznik posiadający dochód prywatny z majątku ziemskiego. „Kiedy pozostali oficerowie mają znaleźć czas na sprzątanie, posiłki i zakupy? Oficer jest zajęty od 7.45 do 12.00 i od 13.45 do 18.00 co najmniej. A gdzie czas na przygotowanie się do zajęć, przeczytanie gazety czy nowego podręcznika?”,

pytał. I stwierdził, że oficer musi mieć albo żonę, albo ordynansa.

Główne uroczystości wielkanocne odbywały się w Warszawie. „Grób Pański w kościele garnizonowym tonął wśród żywego kwiecica, a służbę przy nim pełnili szwoleżerowie pod komendą kaprala Mikołajczyka”, relacjonował dziennikarz w 1925 roku. „W czasie nabożeństwa rezurekcyjnego, kiedy biskup polowy **Gall** wyniósł przed drzwi Przenajświętszy Sakrament, oddziały sprezentowały broń, zaś pluton 1 dywizjonu artylerii konnej ustawiony w ogrodzie Kraśńskim oddał salwę z 21 strzałów”.

Także w pierwszej kompanii 20 Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza święcone wypadło bardzo uroczyste. „Od wczesnego ranka dowódca objeżdżał strażnice, aby tradycyjnie podzielić



NAC

MPITAWAL

Zakochany oszust

Wpadł w ręce sprawiedliwości przez nagłe uczucie.

Wachmistrz sztabowy **Roman Odorowicz** służył w Warszawie w oddziale kadry zapasowego szwadronu 1 Batalionu Żandarmerii Wojskowej. Do listopada 1919 roku wiódł normalne życie żandarma,

potem jednak postanowił dorobić do wojskowego żołdu. Na pierwszą ofiarę wybrał **Chai Weinstein**, starszą właścicielkę małego sklepiku. Naopowiadał jej, że ma dostęp do taniego cukru, ryżu i kawy oraz obiecał pośredniczyć w ich nabyciu. Wziął od niej siedem tysięcy marek na zakupy i zniknął bez śladu. Po udanym oszustwie szukał kolejnych naiwnych pań. Tym razem padło na **Jadwigę Wollerstadt** i **Magdalenę Józeficzównę**. Obie prowadziły ochronkę dla dzieci. Powierzyły mu osiem tysięcy marek, żeby kupił po okazjnych cenach książki i ubranka dla maluchów. Wachmistrz oczywiście nic nie kupił, a pieniądze

sobie zatrzymał. Ponieważ jednak dalej było mu mało, pod koniec miesiąca, kiedy odbierał zaopatrzenie do kantyny żandarmerii w Stominie, zatrzymał sobie paczkę męskiej bielizny.

Ukradzone pieniądze wystarczyły mu prawie na rok, bo w tym czasie wachmistrz zaniechał przestępczej działalności. Wreszcie jesienią 1920 roku uznał, że służba wojskowa już mu się znudziła i nie wrócił z przepustki. Aby załatwić potrzebne formalności, sfałszował dokumenty podróży i zameldował się w komendzie w Łowiczu jako podporucznik **Roman Kowalski** z 1 Pułku Ułanów Krechowieckich. W czasie jazdy z Łowicza do Kocierzewa zabił z kolei wio-

się ze wszystkimi jajkiem święconym”. Dla niektórych Wielkanoc okazała się szczególnie szczęśliwym dniem. W stolicy zastępca komendanta miasta podpułkownik **Ocetowicz** i ksiądz kanonik **Kalinowski** odwiedzili rankiem w tę wyjątkową niedzielę więźniów przy komendzie miasta, gdzie duchowny przemówił do serc zatrzymanych. „Kilku z nich okazało niezwykłą skrucę, przeto na prośbę księdza zostali zwolnieni”.

W samo południe, po życzeniach dowódcy i wzniesieniu toastu na cześć prezydenta i marszałka **Józefa Piłsudskiego**, zajęto w kompani KOP miejsca przy stołach. W 2 Batalionie 65 Pułku Piechoty w Gniewie żołnierze zebrawali się na tarasie zamkowym przy wspólnym stole przybranym zielenią przez panie z Rodziny Wojskowej. „W śniadaniu wzięli udział przedstawiciele społeczeństwa, by zaakcentować swą łączność i miłość do armii oraz zastąpić żołnierzom w tym dniu ognisko domowe”.

ZABÓJCZE KROPELKI

„Należy podkreślić z uznaniem samorzutną ofiarności społeczeństwa, które przyczyniło się w wysokiej mierze do uświetnienia świąt, rozumiejąc należycie, że tym, którzy z dala od swoich rodzin strzegą granic Rzeczypospolitej, należy okazać trochę serca i pamięci”.

W dywizjonie samochodowym w Warszawie o posiłek zadbały małżonki oficerów wraz z żoną dowódcy baonu panią pułkownikową **Dębowską**. „Nie szczędziły pracy, aby święta wypadły najokazalej”. Podano wędliny, mięsa pieczone, jajka, białą kawę, strucle i bab-

ki. Skromniej było w 21 Pułku Piechoty. „Przed każdym z rekrutów na czyściutko nakrytym stole leżało święcone jajko, kielbasa i słodka duża bułka”. W 1 Pułku Artylerii najcięższej spółdzielnia pułku zaferowała natomiast żołnierzom miód, piwo, tytoń, pierniki, cukierki i czekoladę. „Nie zabrakło również paru kropel pocieszycielki”.

Niektórzy jednak nadużywali tych „kropelek”. Jak zauważył w 1937 roku reporter „Polski Zbrojny”, kronika wypadków w święta jest zazwyczaj obfitsza niż kiedykolwiek w ciągu roku. „Ludek znękany wielkim postem rzuca się do picia i jedzenia, a potem pod wpływem alkoholu i wiosennego słońca nabiera energii, skąd wynikają kłótnie i bójki”.

Wypadki nie omijały także braci żołnierskiej. Z łamów dziennika dowiadujemy się, że w 1931 roku na Mokotowie w czasie libacji poświątecznej w mieszkaniu chorążego **Śmietańskiego** wynikła bójka, w której czasie lokatorzy zostali poranieni kijami i naczyniami kuchennymi. Gorzej skończył balujący w Wielkanoc w nocy z soboty na niedzielę znaleziono go nieprzytomnego w bramie na ulicy Szeroki Dunaj. „Po przyjeździe lekarz pogotowia stwierdził zgon z powodu nadużycia alkoholu”. W poniedziałek wielkanocny natomiast o piątej rano na terenie lotniska wojskowego szeregowcowi wartownikowi 1 Pułku Lotniczego wystrzelił karabin w czasie jego rozładowywania. „Kula ugodziła w pierś drugiego szeregowca, który padł trupem na miejscu”. Okazało się, że szeregowy poprzedniego dnia nadużył alkoholu. ■

zającego go **Jakuba Burzykowskiego**, a następnie zabrał mu wóz i konie.

Potem zapadł się pod ziemię. Żandarmeria szukała go w całym kraju, ale bezskutecznie. Może udałoby mu się uniknąć sprawiedliwości, gdyby nie na-

głe uczucie. Poznał w Krakowie pannę **Marię Fijałkowską** i zapragnął, jak sam mówił, zażyć z nią szczęścia małżeńskiego. Jej rodzina, dumna z przyszłego zięcia, postawnego żołnierza, dała o tym wzmiankę w prasie. Tą drogą żandarmeria dowiedziała się o matrymonialnych zamiarach wachmistrza. Schwytała pana młodego u progu kościoła Świętych Piotra i Pawła 17 marca 1921 roku i oddała sądowi wojskowemu w Łodzi.

Oskarżono go o przywłaszczenie pieniędzy, oszustwa, samowolne wydalenie się ze swojego oddziału z zamiarem trwałego uchylania się od ustawowego obowiązku służby wojskowej, czyli de-



POLSKA ZBROJNA
20 KWIETNIA 1928

KAPITAN ADAM KOWALSKI:

Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy miano dobrego żołnierza otrzymywał każdy sprawnie, a bezmyślnie działający materiał ludzki. kierowany rozkazem również zmechanizowanego przełożonego. Niezliczone przykłady wojny światowej dowiodły, że siła moralna i wartości duchowe żołnierza częściej decydują o zwycięstwie niż formalne i techniczne wyszkolenie. Toteż w armji naszej, na równi z wyszkoleniem bojowym i rozwojem tężyzny fizycznej żołnierza, odbywa się cicha, ale wydajna praca nad kształceniem ducha i wychowaniem obywatelskim żołnierza. Celem pracy jest też spotęgowanie w masach żołnierskich tych wartości, które w pokoju decydują o pożytku jednostki dla państwa i społeczeństwa, w wojnie zaś podtrzymują ducha żołnierskiego w uciążliwej drodze do zwycięstwa. ■

MOŻE UDAŁOBY MU SIĘ UNIKNĄĆ SPRAWIEDLIWOŚCI, GDYBY NIE UCZUCIE. ZAPRAGNĄŁ ZAŻYĆ SZCZĘŚCIA MAŁŻEŃSKIEGO

zercę, oraz fałszerstwo i zabójstwo. Przed sędzią na niekorzyść oskarżonego zeznawało dwudziestu świadków z okolic Łowicza i Krakowa. Wachmistrz zaś cały czas utrzymywał, że jest niewinny. Po tygodniowej rozprawie sąd skazał go na rok więzienia z zaliczeniem aresztu śledczego oraz degradację do szeregowca. Tak niski wyrok przewodniczący sądu podpułkownik **Bronisław Giziński** uzasadnił tym, że w przypadku morderstwa brak było dowodów. Oskarżonego uratowały też orzeczenie lekarskie: „Doktorzy psychiatry, którzy badali zdrowotność umysłu wachmistrza, orzekli, że jest on niespełna rozumu”. (A D) ■

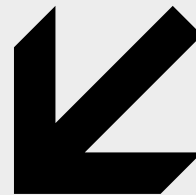
Owpót do drugiej w nocy 29 października 1955 roku portem w Sewastopolu wstrząsnął olbrzymi wybuch. W powietrze wyleciał największy okręt Floty Czarnomorskiej – flagowy pancernik „Noworosyjsk”. Potężna jednostka, którą niedawno dzięki wykorzystaniu olbrzymich środków wyremontowano, została mocno uszkodzona w części dziobowej. Siłę eksplozji oszacowano potem na co najmniej jedną kilotonę trotylu. W wyniku wybuchu zginęło stu członków ponadtysiącduosobowej załogi. Ofiar byłoby znacznie więcej, ale na szczęście większość marynarzy, łącznie z dowódcą, po zakończeniu odbywających się wówczas manewrów zeszła na ląd.

W ciągu kilku minut obsada całej bazy została postawiona na nogi. Uszkodzony okręt otoczyły holowniki i inne jednostki. Na pokład wrócili marynarze, ściągnięto grupy ratunkowe całej floty, pojawili się rozgorączko-

wani sztabowcy, z admirałami włącznie. Chcieli osobiście dopilnować, aby okręt został należycie zabezpieczony.

Akcja trwała kilka godzin. Odholowanie pancernika na płyciznę stawało się coraz trudniejsze, ponieważ okręt wyraźnie przechylał się na lewą burtę. Nadzorujący operację ratowniczą admirał **Wiktor Parchomienko** zakazał przeprowadzenia ewakuacji. Tłumaczył później, że do końca wierzył w uratowanie „Noworosyjska”.

O godzinie 4.14 okręt wyrzucił się na burtę. Tylko nielicznym udało się zeskoczyć z pokładu i uniknąć wciągnięcia pod wodę przez tonący



**UWIĘZIENI
WE WRAKU
DODAWALI
SOBIE OTUCHY,
ŚPIEWAJĄC
PIOSENKĘ
„WARIAG”**

Tajemnicza eksplozja

w Sewastopolu zniszczyła największy okręt Floty Czarnomorskiej. Spośród ponad sześciuset osób uwięzionych w stalowej trumnie uratowano tylko dziewięć.

MACIEJ SZOPA

ŚMIERĆ

W STALOWEJ TRUMNIE

N
O
W
O
R
O
S
Y
J
S
K

wrak. Najwięcej marynarzy zostało uwięzionych w części kadłubowej. Niektórzy wykorzystali wytworzone bąble powietrza i czekali na ratunek. Przez kilka kolejnych dni nurkowie słyszeli stukanie w różnych sekcjach dna pancernika. Podobno uwięzieni dodawali sobie otuchy, śpiewając popularną marynarską piosenkę „Wariag”.

Spośród ponad sześciuset osób uwięzionych w stalowej trumnie – marynarzy, członków zespołów ratunkowych i sztabowców Floty Czarnomorskiej – uratowano tylko dziewięciu. Udało im się wydostać na zewnątrz przez otwory, które ratownicy wycięli w kadłubie.

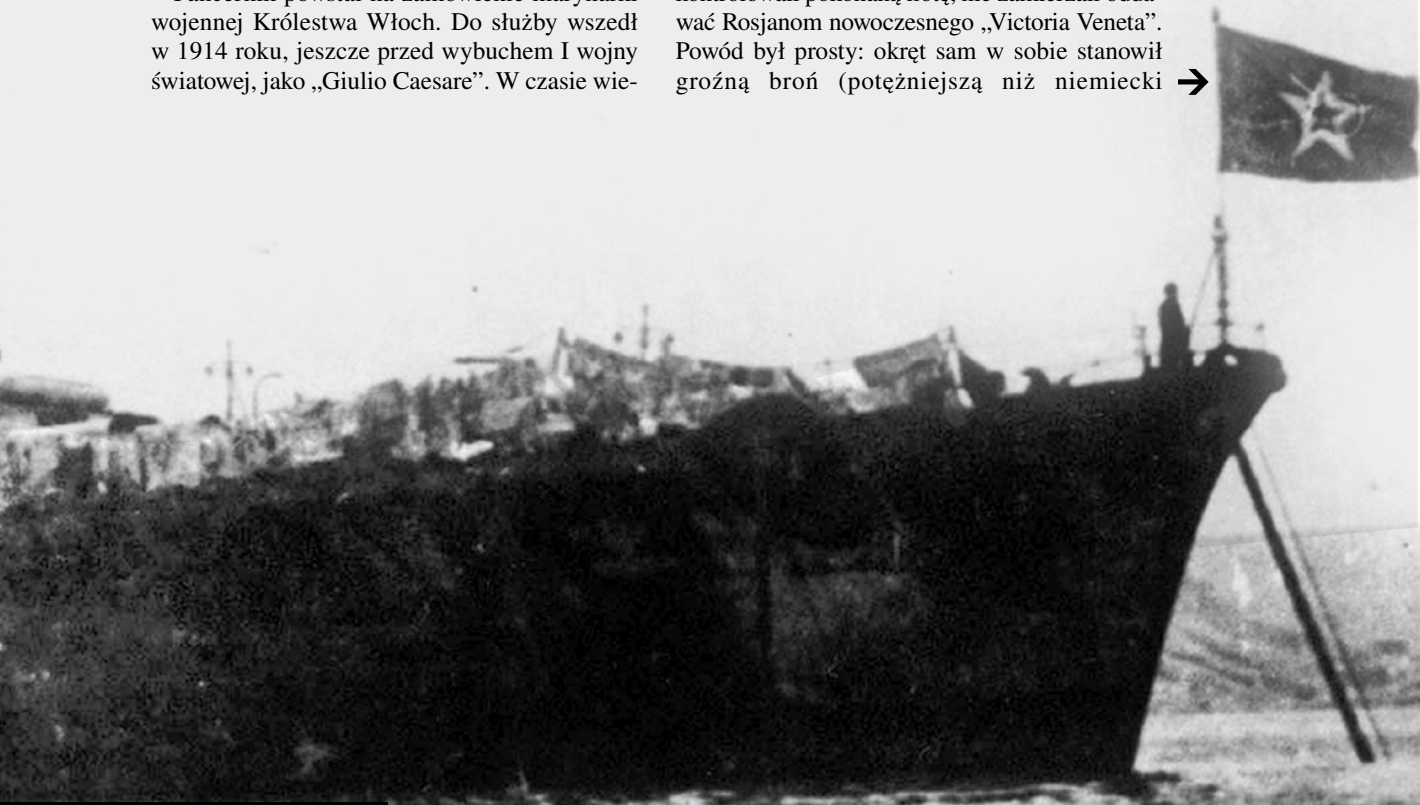
JULIUSZ CEZAR

Pancernik powstał na zamówienie marynarki wojennej Królestwa Włoch. Do służby wszedł w 1914 roku, jeszcze przed wybuchem I wojny światowej, jako „Giulio Cesare”. W czasie wie-

loletniej służby niczym szczególnym się nie wyróżnił. Zastąpił tylko z tego, że w 1940 roku podczas bitwy u przylądka Stilo pancernik HMS „Warspite” trafił w niego ciężkim pociskiem z rekordowej odległości 24 kilometrów.

Po zakończeniu II wojny światowej zwycięscy aliancy zdecydowali, że Włosi w ramach reparacji wojennych będą musieli oddać resztki swojej floty, przy czym zostały im między innymi dwa nieukończone lotniskowce, pancerniki (dwa nowe i trzy stare), dziewięć krążowników i jednaście niszczycieli. Sowieci zażądali jednego z pancerników („Victorio Veneto”) i kilku mniejszych okrętów.

Widmo zimnej wojny unosiło się już jednak nad światem. Amerykanie i Brytyjczycy, którzy kontrolowali pokonaną flotę, nie zamierzali oddać Rosjanom nowoczesnego „Victoria Veneta”. Powód był prosty: okręt sam w sobie stanowił groźną broń (potężniejszą niż niemiecki →



**KOMISJA BADAJĄCA
PRZYCZYNY WYPADKU
USTALIŁA, ŻE DO KATASTROFY
DOPROWADZIŁA STARA
HITLEROWSKA MINA
MAGNETYCZNA**

„Bismarck”), a w dodatku zastosowano w nim wiele nowatorskich rozwiązań, które można było skopiować. Zachód uznał więc, że Sowiecom trzeba przekazać jakąś dużą jednostkę, która może sprawić wrażenie wartościowej. Padło na „Giulio Cesare”, który choć stary, w latach międzywojennych przeszedł modernizację.

W 1948 roku ogłoszono, że Związkowi Radzieckiemu przypadły: pancernik, krążownik lekki, dwa niszczyciele, trzy torpedowce i dwa okręty podwodne. Jeszcze w grudniu tamtego roku „Giulio Cesare” przybił do albańskiego portu Vlorë, skąd mieli go zabrać nowi właściciele. Przedstawiciele sowieckiej misji wojskowej nie byli zachwyceni. Przejmowany okręt miał wprawdzie w miarę sprawną maszynownię oraz artylerię główną i średnią, ale brakowało mu wielu istotnych systemów. Remontu wymagała cała elektryka i hydraulika, szwankowała pokładowa łączność radiowa, brakowało też radaru oraz uzbrojenia przeciwlotniczego.

KOSZTOWNY LIFTING

„Giulio Cesare”, przemianowany na „Noworosyjsk”, już w sierpniu 1949 roku jako okręt flagowy wziął udział w manewrach Floty Czarnomorskiej. Kolejne sześć lat jednostka spędziła jednak w stoczniach, gdzie przechodziła kosztowne remonty i przebudowy. W tym czasie pancernik wzbogacił się o 24 podwójne zestawy przeciwlotnicze kalibru 37 milimetrów, nowy radar i urządzenia do komunikacji pomiędzy poszczególnymi stanowiskami. Wymieniono nawet napęd jednostki – nowy zestaw maszyn wyprodukowały dla „Noworosyjska” zakłady w Charkowie.

W tym samym czasie w stoczniach powstawali młodszy i potężniejszy „bracia” pancernika. Nowe okręty miały zmienić układ sił na morzu. Planowano strzelać z artylerii głównej pociskami nuklearnymi. „Noworosyjsk” wrócił do służby w maju 1955 roku i brał udział w intensywnych ćwiczeniach aż do fatalnej październikowej nocy.

Komisja badająca przyczyny wypadku ustaliła, że do katastrofy doprowadziła prawdopodobnie stara hitlerowska mina magnetyczna, która z niewiadomych przyczyn nagle się aktywowała. W wyniku dokładnego zbadania dna w sewastopolskim porcie po katastrofie odnaleziono dziewiętnaście min różnych typów, z czego aż jednaście było na tyle silnych, że mogło doprowadzić do podobnej eksplozji. Fachowcy podkreślali jednak, że dziesięć lat po zakończeniu wojny miny powinny już dawno skorodować.

LISTA PODEJRZANYCH

Nic zatem dziwnego, że na temat przyczyn tragedii zaczęło krążyć wiele plotek, niektóre rozpuszczały same władze. Podejrzwano atak zachodniego okrętu podwodnego. W wyniku dochodzenia okazało się, że tej nocy z powodu niedbalstwa sieci przeciwtorpedowe wokół pancernika były podniesione. Podobnie było z tymi, które zabezpieczały wejście do Sewa-

stopola. Na dodatek okręt mający dozorować tej nocy port stał w zupełnie innym miejscu, niż powinien. Śladów wskazujących na użycie torpedy jednak nie odnaleziono, zaczęto więc mówić o podwodnych sabotażystach.

Tak zuchwałą akcję mogli przeprowadzić tylko Włosi lub Brytyjczycy. Chociaż włoski rząd bardzo wiele by ryzykował, gdyby firmował taką akcję, to niechęć wielu Włochów przez to, że przekazano „Giulio Cesare” Sowiecom była tak wielka, że odebrano to wówczas jako hańbę narodową. Jednym z ludzi, którzy głośno krytykowali oddanie pancernika, był książę **Junio Valerio Borghese**. Dowodził on najlepszymi

włoskimi okrętami podwodnymi i kierował operacjami podwodnych sabotażystów, tak zwanych ludzi-żab. W 1941 roku przeprowadził rajd na port w Aleksandrii zakończony wyłączeniem z walk na lata dwóch brytyjskich pancerników: HMS „Queen Elizabeth” i HMS „Valiant”. **Borghese** był nieprzejednanym antykomunistą i publicznie ogłosił, że zemści się za „kradzież” włoskiego pancernika.

Brytyjczycy natomiast – druga światowa potęga w sabotażu podwodnym – posiadali specjalistów z różnych jednostek, którzy wyszkolili się w tego typu działaniach między innymi dzięki prowadzeniu ataków na stacjonujący w Norwegii niemiecki pancernik „Tirpitz” w trakcie II wojny światowej. Uznano, że taką akcję mogła przeprowadzić na przykład 12 Flotylla pod dowództwem kapitana **Lionela Crabba**, tym bardziej że Brytyjczycy pod koniec października 1955 roku zorganizowali ćwiczenia na Morzu Egejskim.

Nie można też wykluczyć, że pancernik zniszczyli sami Sowieci. W 1955 roku w Związku Radzieckim po śmierci **Stalina** toczyła się bezwzględna walka o władzę. Frakcją marszałka **Gieorgija Żukowa** popierał w tym czasie słynny dowódca całej marynarki wojennej – admirał **Nikołaj Kuzniecowa**. Zatopienie pancernika doprowadziło do dymisji i degradacji morskiego dowódcy. Admirał był zwolennikiem odmiennej doktryny morskiej niż przyszły przywódca ZSRR, **Nikita Chruszczow**. Zdaniem **Kuzniecowa** o sile foty miały decydować pancerniki, krążowniki i lotniskowce, podobnie jak w czasie II wojny światowej. Potężne zgrupowania morskie miały jak niegdyś spotykać się na środku

morza, a zwycięzcą zostawać ten, kto miał więcej ciężkich luf, śmigieł i torped.

Wraz z odejściem admirała zmieniła się koncepcja rozwoju radzieckiej marynarki wojennej. Na złom trafiły na siłę utrzymywane do tej pory okręty, które tak naprawdę były przestarzałe i nie miały racji bytu. Nigdy nie ukończono też kolejnego „pokolenia” potężnych pancerników. Miejsce efektywnej floty nawodnej zajęły siły podwodne wyposażone w pociski raketowe. ■



W 1940 ROKU PODCZAS BITWY U PRZYŁĄDKA STILO HMS „WARSPITE” TRAFIŁ WE WŁOSKI PANCERNIK „GIULIO CAESARE” CIĘŻKIM POCISKIEM Z REKORDOWEJ ODLEGŁOŚCI 24 KILOMETRÓW



WŁODZIMIERZ
KALICKI

Slalom Kossaka

W SPRAWACH PATRIOTYZMU
POLACY OD ARTYSTÓW
WYMAGALI WIĘCEJ
NIŻ OD GENERAŁÓW



W ybitnych polskich malarzy, którzy mierząc się z tematami batalistycznymi, prócz walorów artystycznych na oku mieli także powinności patriotyczne, było w czasach rozbiorów wielu. Dialog z narodową historią, wychowywanie polskiej, oświeconej publiczności wykluczało malowanie na zamówienie scen batalistycznych gloryfikujących zaborcze armie. Tylko jednemu malarzowi udało się rozwiązać polityczną kwadraturę koła. Tylko on, tworząc sceny batalistyczne na zamówienie zaborców, przeszedł do historii jako malarz arcy-patriotyczny.

Wojciech Kossak, kiedy dobiegał trzydziestki, miał już opinię utalentowanego piewcy wielkości polskiego oręża. Wspólnie z ojcem **Juliuszem** namalował „Bitwę pod Raszynem”, samodzielnie zaś „Żołnierzy unoszących generała Kickiego z pola bitwy pod Ostrołęką” i „Somosierrę”. W latach 1886–1887 powstało jedno z jego sztandarowych dzieł patriotycznych – „Olszynka Grochowska”. Parę lat później, zaproszony przez Jana Stykę, stworzył najważniejsze partie „Panoramy Racławickiej”, która dla kilku pokoleń stała się nieomal patriotyczną instytucją wychowawczą. Do końca życia malował ułanów i sceny z polskich bitew.

Pod koniec XIX wieku **Kossak** zdobył uznanie na polskich salonach. Naprawdę wielkich pieniędzy i sławy trzeba było jednak szukać gdzie indziej – na dworach europejskich monarchów. Tak się złożyło, że malarstwo **Kossaka** i samego artystę polubili dwaj cesarze – **Franciszek Józef I** oraz **Wilhelm II**.

Kiedy **Kossak** malował dla dworu wiedeńskiego, dbał, by umieścić jakiś polski element w odtwarzanym przezeń bitewnym epizodzie. I tak „Atak 1 Pułku Ułanów austriackich pod Savoną” przedstawiał co prawda austriacką szarżę w 1895 roku w wojnie we Włoszech z wojskami rewolucyjnej Francji, ale jej bohaterem był Polak w austriackich barwach, rotmistrz **Brochocki**, uhonorowany za tę bitwę najwyższym austriackim wojskowym Orderem Marii Teresy.

Gorzej było w Berlinie. Artysta, uzyskawszy bardzo wysokie honoraria, stworzył dla **Wilhelma II** dziewięć obrazów batalistycznych z armią pruską w roli głównej. „Wszystkie epizody, które namalowałem, są na tle pobitej armii pruskiej”, zapisał artysta po latach. Istotnie, gdy wybierał tematy obrazów, **Kossak** lawirował niczym utalentowany slalomista: trzy przedstawiają klęski Prusaków, dwa – zwycięstwa, ale nad Rosją, więc jest to do zaakceptowania, trzy kolejne dzieła – zwycięstwa Prusaków nad Francuzami, ale ukazane tak, że albo artysta większą sympatią darzył tych, którzy przegrywali, albo francuskiej klęski na płótnie wcale nie widać. Przytomnie zauważyła to niemiecka cesarzowa, a kropkę nad „i” postawił Paryż, kiedy przyznał **Kossakowi** za obrazy malowane dla kajzera... Krzyż Legii Honorowej. Mnóstwo wpływowych rodaków wyklinało jednak malarza jako sprzedajnego zdrajcę. Tłumaczenia nic nie pomagały. Dopiero parę lat później **Kossak** symbolicznie zerwał z niemieckim mecenatem, kiedy namalował serię obrazów o ostantacyjnie antypruskiej wymowie.

Generałom i wyższym oficerom odrodzonej Polski nie wypominano ich wcześniejszych karier w armiach zaborczych, choć austriacki generał dywizji (Feldmarschalleutnant) **Tadeusz Rozwadowski** za akcję pod Borowem we wrześniu 1914 roku dostał Order Marii Teresy, generał **Władysław Anders** w tym czasie z poświęceniem bił się w szeregach carskiej kawalerii, a dowódca III powstania śląskiego pułkownik **Maciej Mielżyński** był jednym z adiutantów niemieckiego cesarza **Wilhelma II**.

W sprawach patriotyzmu Polacy od artystów wymagali więcej niż od generałów. ■

CIEŻAR M I L C Z E N I A

„Nie będzie ci łatwo w życiu, gdyż nosisz moje nazwisko”, napisał w 1946 roku Hans Frank, hitlerowski gubernator okupowanej Polski, do syna Normana.



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

W 1999 roku w trakcie porządkowania papierów po zmarłym ojcu dziennikarz **Stephan Lebert** natknął się na pożółkły maszynopis – wywiady przeprowadzone w 1959 roku przez jego ojca **Norberta**. Ich bohaterami były dzieci prominentnych nazistów: **Himmlera, Göringa, Bormanna, Hessa, Franka** i **von Schiracha**. Syn postanowił kontynuować dzieło ojca i po latach ponownie odwiedził potomków hitlerowskich zbrodniarzy. Powstała książka „Noszę jego nazwisko”, która pokazała, co się działo w wolnych Niemczech z dziećmi przywódców III Rzeszy.

ŚLADEM OJCA

Pośród dziewięciu opisanych osób tylko cztery: **Niklas** i **Norman Frankowie**, **Karl-Otto Saur**, syn wysokiego urzędnika ministerstwa gospodarki Rzeszy, oraz **Martin Bormann junior**, przyznały, że są dziećmi zbrodniarzy wojennych i wybrały drogę konfrontacji z przeszłością. Pozostałe wręcz przeciwnie. **Wolf Rüdiger Hess**, **Guđrun Himmler**, **Edda Göring** oraz **Robert** i **Klaus von Schirachowie** starają się zrehabilitować rodziców, ponieważ uważają ich za ofiary systemu, a nie jego architektów.

W Niemczech zawsze opłacało się nosić nazwisko Göring. Tak stwierdziła **Edda Göring** piętnaście lat po zakończeniu wojny. „Niemcy kochali mojego ojca”, tłumaczyła. **Hermann**

Göring, prawa ręka **Adolfa Hitlera**, założyciel tajnej policji gestapo, został skazany na śmierć wraz z jedenastoma innymi hitlerowcami w czasie procesów norymberskich w 1946 roku. Dzień przed egzekucją połknął truciznę.

„Tata był wzruszającym i troskliwym ojcem. Pozostały mi po nim dobre wspomnienia”, wyznała w 1986 roku w wywiadzie dla magazynu „Quick”. Podobnie pamięta dni, kiedy zjawiał się z wizytą „kochany ojciec chrzestny” **Adolf Hitler**. Wspomina też, z jakimi honorami była podejmowana w 1958 roku w trakcie wakacji w Hiszpanii: przyjęli ją burmistrz Madrytu i gubernator Grenady, rząd oddał jej do dyspozycji samochód, a sprzedawca w sklepie, gdy usłyszał, że jest córką **Göringa**, zrezygnował z wystawienia rachunku. Profity z posiadania takiego nazwiska czerpała także w Niemczech. Nie zapomniała o niej rodzina **Richarda Wagnera** i przysyłała bilety na premierowe koncerty festiwalu w Bayreuth.

CICHA POMOC

Edda w swoim mieszkaniu w Monachium urządziła muzeum poświęcone ojcu. „Bardzo go kocham i nie można ocze-kiwać, że będę go oceniać w jakikolwiek inny sposób”, wyznała w 1996 roku amerykańskiemu dziennikarzowi **Geraldowi Posnerowi**. Zupełnie inaczej na **Hermanną Göringą** patrzy jego stryjeczna wnuczka **Bettina Göring**. Podała się sterylizacji, aby, jak tłumaczy, nie przekazać dalej krwi potwora. →



→ CIĘŻAR MILCZENIA

O przywrócenie dobrego imienia ojcu całe życie walczy **Guđrun Himmler**. **Heinrich Himmler**, Reichsführer SS i szef policji, stał w hierarchii tuż za **Hitlerem** i kierował programem eksterminacji. Guđrun miała czternaście lat, gdy ciało jej ojca zostało spalone, a prochy rozsypane. „Nie wierzę, że połknął kapsułkę z trucizną”, mówi. Nie wyrzekła się nazwiska, co sprawiło, że przez lata miała problem ze znalezieniem pracy. „Moim zadaniem życiowym jest to, żeby ukazać go światu w innym świetle. Mój ojciec został okrzyknięty największym ludobójcą wszystkich czasów. Chcę zrewidować ten obraz, a przynajmniej ustalić, co myślał i dlaczego tak postępował”. Córka **Himmlera** nie tylko kultywuje pamięć o ojcu, lecz także działa w organizacji Stille Hilfe (Cicha Pomoc), otaczającej na starość opieką nazistowskich funkcjonariuszy.

MECZENNIK POKOJU

Inny problem ma **Katrin Himmler**, stryjeczna wnuczka **Heinricha Himmlera**. Wyszła za mąż za Żyda z Izraela i zastanawia się, jak pewnego dnia opowie synowi o jego stryjecznym pradziadku Heinrichu. „Nie uważam, że bym odziedziczyła po nim «zło», ale żyję z jego nazwiskiem”, przyznaje. „Zdaję sobie sprawę z tego, że był najstraszniejszym masowym zabójcą współczesnych czasów. Ja za to jednak nie odpowiadam”.

Wolf Rüdiger Hess nie rozumie pytania: czy nazwisko, które nosi po ojcu, stało się przekleństwem. „Jak tak wielkie nazwisko mogłoby być przekleństwem?”, pyta. Zapewnia, że nigdy nie traktowano go wrogo, a to, jak się nazywa, przyniosło mu korzyści. „Nie można bardziej kochać, czcić i podziwiać zmarłego ojca niż on”, pisał **Stephan Lebert**. „To, co **Rudolf Hess**, zastępca **Adolfa Hitlera** i formalnie trzecia (po **Göringu**) osoba w państwie, powiedział czy napisał przez całe swoje życie, zawsze było dla jego syna czymś w rodzaju biblii”.

W 1959 roku **Wolf Rüdiger Hess** odmówił służby wojskowej, bo – jak stwierdził – nie mógłby walczyć dla kraju, który więzi jego ojca. Stał się gorącym wielbicielem **Hitlera**. Nie wierzy w Holokaust, a o Żydach mówi, że jeśli jakiegos narodu wszyscy nie lubią, to musi istnieć ku temu powód. Przez lata walczył o uwolnienie ojca. Bez skutku. **Hess** zmarł w 1987 roku po 40 latach spędzonych w więzieniu w Spandau, gdzie przez ostatnie 20 lat był jedynym więźniem. Miał 93 lata. Oficjalna przyczyna zgonu: samobójstwo przez powieszenie.

Wolf Rüdiger Hess jest przekonany, że ojciec został zabity, ponieważ mógłby „zrehabilitować”

nazizm. Nazywa go męczennikiem pokoju i tłumaczy, że w 1941 roku poleciał do Anglii, żeby ratować pokój na świecie.

WYZNANIE WINY

Hans Frank, odpowiedzialny za program obózów zagłady, w których zginęło sześć milionów Żydów, był siódmym na liście głównych oskarżonych przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Został powieszony 16 października 1946 roku. Pozostawił pięcioro dzieci. Dystans do pamięci o ojcu ma tylko dwóch synów: najstarszy **Norman** i najmłodszy **Nikolas**.

Emocje związane z ojcem **Nikolas Frank** opisał w wydanej w 1987 roku książce „Mój ojciec Hans Frank”. Wcześniej, w latach osiemdziesiątych, jako reporter „Sterna” opublikował cykl artykułów „Mój ojciec, nazistowski morderca”. „Czy wolno tak traktować własnego ojca?”, pytała wówczas Niemcy. „Taki syn to hańba”, pisali oburzeni czytelnicy.

Podobną drogę wybrał **Norman Frank**, który także nie ma wątpliwości: ojciec był winien. Popełnił straszliwe zbrodnie, a dzieciom pozostawił niejako w testamencie wyznanie winy. Nie wierzy w skrucę **Hansa Franka**, który na dwa dni przed egzekucją tak pisał do najstarszego syna: „Ta śmierć to akt wojenny, a na wojnie się umiera. W tym, co mi się przydarza, nie ma niczego niezwykłego... Czy myślisz, że przez resztę życia miałbym się dać szargać dezertantom, emigrantom i zdrajcom ojczyzny? Umieram jako uosobienie naszej dawnej Rzeszy”. W wywiadzie udzielonym pod koniec lat osiemdziesiątych amerykańskiemu dziennikarzowi **Geraldowi Posnerowi** **Norman** przyznał, że nie chciał mieć dzieci, ponieważ uważa, że nazwisko Frank powinno zniknąć na zawsze.

TRUPY W PIWNICY

Monika Hertwig, córka **Amona Götha**, komendanta podobozu Auschwitz w Płaszowie, który został powieszony w 1946 roku za zabicie tysięcy ludzi, długo nie wiedziała, kim był jej ojciec. Gdy we wrześniu 1946 roku wykonano wyrok, miała dziesięć miesięcy. Mama nigdy o nim nie opowiadała. Dopiero w latach sześćdziesiątych od właściciela restauracji, do której lubiła wpadać, przez przypadek dowiedziała się, że był mordercą. W 2010 roku **Monika Hertwig** przyjechała do Polski, by wziąć udział w spotkaniach z młodzieżą pod hasłem: „Kiedy przyjaciel staje się wrogiem”. Część krewnych i sąsiadów uważa, że w ten sposób bezcześci narodową pamięć.



KAŻDA
HISTORIA
JEST INNA,
ŻADNA NIE
PRZYNIOSŁA
JEDNAK
ODKUPIENIA.
JAK BOWIEM
UWOLNIĆ SIĘ
OD CIĘŻARU
PRZESZŁOŚCI?



Hermann Göring z rodziną

Gudrun – córka Heinricha Himmlera
działa w organizacji otaczającej opieką
nazistowskich funkcjonariuszy.

„POPEŁNIAMY ISTOTNY I DRAMATYCZNY BŁĄD, GDY ZAKŁADAMY, ŻE TYLKO ŹLI LUDZIE SĄ ZDOLNI DO ZŁYCH UCZYNKÓW”, PISZĄ STEPHAN I NORBERT LEBERT.

Szymon Wiesenthal mówi, że to bardzo znamienne, iż wielu największych prominentów narodowego socjalizmu w domach było niezwykle czarującymi ludźmi. Ci sami ludzie, wychodząc rano z domu, czule całowali swoje dzieci, a kilka godzin później mogli posłać do gazu lub zatluc na śmierć kilku Żydów. Świadomość tego faktu, twierdzi **Wiesenthal**, jest czymś strasznym i zarazem niezwykle ważnym, gdyż tylko ten, kto to zrozumiał, wie, że Zło drzemie w każdym prawie człowieku i w każdej niemal chwili może się ujawnić. Niech nikt nie mówi, że dzisiaj nie jest możliwa taka okrutna dyktatura. To jest właśnie ta prawdziwa nauka, która płynie z horroru narodowego socjalizmu: trzeba nieustannie walczyć z tym Złem, żeby nie dopuścić go do głosu”.

Fragment książki „Noszę jego nazwisko”

„Czułem, że mamy trupy w piwnicy, ale nie miałem odwagi pytać”, przyznał w jednym z wywiadów **Jens Jürgen Ventzki**, syn hitlerowskiego burmistrza Łodzi. W książkach o II wojnie światowej znajdował wzmianki o ojcu – **Wernerze Ventzki**, ale bał się o nim czytać. Wstrząs przeżył dopiero w 1990 roku w muzeum żydowskim we Frankfurcie nad Menem na wystawie o getcie łódzkim. Po raz pierwszy zobaczył tam dokumenty podpisane przez ojca. Zrozumiał wtedy, że on nie tylko wiedział, co się działo, ale wręcz w tym uczestniczył.

Drogę odkupienia win ojca wybrał **Martin Bormann**, najstarszy syn **Martina Bormanna**, szefa kancelarii **Hitlera**, jego zastępcy i szefa NSDAP. Został księdzem, pracował jako misjonarz w Afryce. Jego bracia i siostry dorastali w rodzinach zastępczych i nic nie wiedzieli o losach ojca. Większość zna go tylko ze zdjęć w gazetach. Mimo oficjalnego komunikatu, że **Martin Bormann** zginął w czasie ucieczki z bunkra **Hitlera**, nie mają ani dowodu, że ojciec umarł, ani jakichkolwiek przesłanek, że żyje.

Martin Bormann junior nie ma wątpliwości co do winy ojca. Jego podpis wielokrotnie widniał pod ważnymi dokumentami i rozkazami. „Nie można uciec przed rodzicami, kimkolwiek byli”, przyznał w rozmowie ze **Stephanem Lebertem**. Jako jedyny w rodzinie próbuje uporać się z dziedzictwem ojca, między innymi w książce „Życie na przekór cieniom”. „Kiedy jesteśmy razem, nigdy nie rozmawiamy o dawnych czasach”, przyznaje. „Rodzeństwo zna

moją książkę. Gdyby mnie zapytali, dostaliby odpowiedź. Ale nie pytają. Może jest jeszcze za wcześnie. Może kiedyś zapytają wnuki naszego ojca”.

TERAPIA DZIECI

W latach osiemdziesiątych izraelski psycholog **Dan Bar-On**, którego rodzina uciekła w 1933 roku z Berlina do Palestyny, stworzył grupę terapeutyczną dla dzieci niemieckich zbrodniarzy wojennych cierpiących na kompleks rodziców – rozdartych między miłością i nienawiścią, poczuciem wstydu i jego blokadą. Wywiady z nimi opublikował w książce „Das Last der Schweigen” („Ciężar milczenia”).

Można zrozumieć, że dzieci nazistowskich prominentów chcą ich pamiętać jako troskliwych i ciepłych rodziców, a nie jako katów. Nawet **Martin Bormann**, uchodzący za wzór uporania się z przeszłością, przechowuje poźółtkłą kartkę pocztową, na której ojciec napisał w 1943 roku kilka słów.

Niklas Frank w swojej książce pisał o przekleństwie nazwiska, o nienawiści połączonej z rozpaczą, o tym, że przez całe życie nie udało mu się uwolnić od pamięci o ojcu. Także **Monika Hertwig** nie potrafi się pogodzić z historią swego ojca. „Do jakiego stopnia można oddzielić zabójcę od taty? Ile mam w sobie z mordercy?”, pyta. Niektórzy dokonali publicznego rozrachunku z rodzicami nazistami. Każda historia jest inna, żadna nie przyniosła jednak odkupienia. Jak bowiem uwolnić się od ciężaru przeszłości? ■

Zbiory w sieci

Pokój spotkań Wojskowego Instytutu Wydawniczego, czyli sala 216, jest jednocześnie wirtualnym muzeum wojskowych geografów. Sala na drugim piętrze budynku w Alejach Jerozolimskich w Warszawie dawniej mieściła bibliotekę Wojskowego Instytutu Geograficznego, w której odbywały się odprawy geografów. Przypomina o tym relief nad wejściem. Dzisiaj stała się też wirtualną salą tradycji. Na platformie Myvimu.com prezentowane są eksponaty związane z Wojskową Służbą Geograficzną (Topograficzną), w szczególności z Wojskowym Instytutem Geograficznym w Warszawie, Szkołą Podchorążych Piechoty w Komorowie i 12 Kompanią Geograficzną Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Można obejrzeć ponad 700 eksponatów, wśród nich zdjęcie wnętrza sali z 1938 roku, odznakę pamiątkową Służby Topograficznej czy pocztówki poświęcone wojskowej geografii. Wirtualne muzeum znajdziemy na stronie <http://myvimu.com/museum/1025-sala-216>. A D ■

Komórką w taliba

Amerkańscy żołnierze w Afganistanie „uzbroili się” w smartfony. Na misji armia Stanów Zjednoczonych korzysta z różnorodnych urządzeń z systemem Android. Dośłane do Afganistanu smartfony mają być częścią wyposażenia jednostek piechoty. Będą służyć do określania dokładnej lokalizacji oddziału w czasie rzeczywistym, przesyłania obrazu z miejsca działania żołnierzy wraz z opisem oraz do komunikacji głosowej. Według Pentagonu, każda informacja przesyłana przez wojskowe smartfony jest dokładnie szyfrowana. A D A ■



U S A F

Lot ściśle tajny

Od ponad roku na orbicie wokół Ziemi krąży tajemniczy wojskowy bezzałogowy wahadłowiec.

Amerkański miniprom X-37B, nazwany Orbital Test Vehicle 2, został wystrzelony w marcu 2011 roku. Planowano, że wróci na Ziemię po 270 dniach. Zbudowany przez Boeinga, ważący około 5,5 tony i mierzący 10 metrów wahadłowiec bije wszystkie rekordy pod względem czasu pozostawania na orbicie.

Nie wiadomo jednak, co właściwie tam robi. US Air Force, właściciel X-37B, twierdzi, że lot ma służyć weryfikacji założeń konstrukcyjnych i osiągnięć systemów zainstalowanych w pojeździe. Pentagon oznajmił natomiast, że X-37B wyznacza standardy w dziedzinie pojazdów kosmicznych wielokrotnego użytku. Na razie data jego po-

wrotu na Ziemię nie została ustalona, a wojskowi chcą maksymalnie przedłużyć pobyt promu na orbicie. To już druga misja amerykańskiego miniwahadłowca. Pierwszy, nazwany OTV-1, został wystrzelony w Kosmos w kwietniu 2010 roku i wrócił na Ziemię po 224 dniach. Był to najdłuższy kosmiczny lot maszyny wielokrotnego użytku.

W planach jest trzecia ekspedycja X-37B, planowana na jesień 2012 roku. Oficjalnie wahadłowiec ma służyć do wnoszenia na orbitę i zabierania z niej satelitów oraz serwisowania ich w Kosmosie. Pojawiają się jednak spekulacje, że mógłby być pojazdem szpiegowskim, wykorzystywanym na przykład do ataków na wroga satelity. D A B ■

Ograniczona prohibicja

Dowódcy wojsk USA w Korei Południowej szukają sposobów, aby ograniczyć liczbę gorszących zdarzeń z udziałem swych podwładnych.

Chodzi przede wszystkim o pijackie burdy czy wywołujące antyamerykańskie nastroje wśród Koreańczyków napaści na tle seksualnym. Serwis agencji Yonhap podał, że w Yongsan, największej amerykańskiej bazie wojskowej w Seulu, postanowiono wprowadzić całkowity zakaz sprzedaży alkoholu po godzinie 21.

Cytowany w dzienniku „Stars and Stripes” komendant bazy pułkownik

William Huber wyjaśnił, że chodzi o to, aby we wszystkich amerykańskich sklepach wojskowych na terenie Seulu alkohol można było nabyć w tych samych godzinach. Choć dowództwo amerykańskie temu zaprzeczyło, nie sposób nie zauważyć związku decyzji o ograniczeniu dostępu do napojów wyskokowych ze wzrostem liczby incydentów z udziałem pijanych żołnierzy.

Od 1 października do 31 grudnia 2011 roku odnotowano ich 127, czyli o ponad połowę więcej niż w poprzednim kwartale. Z rosnącym problemem nadużywania alkoholu można też łączyć wprowadzenie przepisów, które ograniczyły Amerykanom prawo do pobytu poza bazami w nocy. Godzinę policyjną przywrócono (obowiązywała przez dziewięć lat, do lipca 2010 roku) po tym, gdy szeregowiec z 2 Dywizji Piechoty zgwałcił we wrześniu 2011 roku koreańską nastolatkę. Teraz amerykańscy żołnierze nie mogą przebywać poza bazami od 1.00 w nocy do 5.00 nad ranem. WRO

EKSTREMALNE KULINARIA

Winniczki z masłem czosnkowym

Trzydzieści winniczków – na jedną porcję podajemy od 6 do 10 ślimaków – pół szklanki octu lub dwie łyżki soli, sześć ząbków czosnku (można wziąć więcej), pół kostki masła, liście czosnku niedźwiedziego, sól.



TRUDNE

Ślimaki moczymy przez godzinę w słonej lub kwaśnej wodzie, dokładnie płuczemy kilka razy i wrzucamy do wrzątku na parę minut. Wyjmujemy, studzimy i szpikulcem lub małym widelczykiem

wydobywamy mięczaki ze skorupki. Ocinamy wnętrzności – jadalna jest tylko mięsista noga. Ślimaki dusimy do miękkości na niewielkiej ilości masła mniej więcej 1,5 godziny. Miksujemy pozostałe masło z czosnkiem oraz solą. Ugotowane ślimaki polewamy masłem czosnkowym, posypujemy posiekanym czosnkiem niedźwiedzim i podajemy. Świetnie smakują ze świeżą bagietką i białym winem.

Mięso winniczków jest chude i zawiera dużo białka. Ślimaków trzeba szukać nad ranem, w wilgotnej trawie na łąkach, w parkach i ogrodach. Można je zbierać tylko w maju i tylko te, których muszla ma co najmniej 3 centymetry średnicy. ANN

EKSTREMALNE KULINARIA

Wiosenna sałatka z mniszka

Dwie, trzy garście młodych liści mniszka, łyżka oliwy, pół łyżki jasnego octu winnego, łyżeczka musztardy dijon, pół łyżeczki cukru, sól, pieprz.



ŁATWE

Listki mniszka myjemy i osuszamy. Większe możemy podrzeć na kawałki. Z oliwy, octu, musztardy, cukru, soli i pieprzu przygotowujemy sos. Mieszamy dokładnie liście z sosem i od razu podajemy.

Mniszek pospolity, zwany dmuchawcem lub mleczem, znajdziemy w całym kraju na łąkach, miedzach i w widnych lasach. Działa on oczyszczająco, wzmacniająco i odtruwająco. Młode liście mniszka są bardzo popularnym składnikiem sałatek we Francji. Najlepiej smakują od marca do

maja. Zbiera się je, gdy tworzą rozetę. Właściciele działek i ogrodów mogą przykryć liście na kilka dni ciemną folią, naczyniem lub zasypać piaskiem, aby je wybielić – stracą wtedy swoją goryczkę. Jeśli nie mamy takich możliwości, możemy moczyć zerwane liście co najmniej 30 minut w zimnej, osolonej wodzie. ANN



Dwa życia



MILITARIUM STUDIO

Życie Czesława Chmielewskiego wywróciło się do góry nogami, kiedy odnalazł swoją żołnierską mogiłę. Nieoczekiwany widok doprowadził go do zawału serca. Kiedy wyszedł ze szpitala, postanowił spłacić dług wobec poległych kolegów.

JACEK SZUSTAKOWSKI

Podpułkownik w stanie spoczynku **Czesław Chmielewski** ma 89 lat. W czasie II wojny światowej walczył w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej oraz w 2 Armii Wojska Polskiego. Jako młody podporucznik 17 Pułku Piechoty brał udział w forsowaniu Nysy Łużyckiej i walkach z oddziałami Grupy Armii „Środek” feldmarszałka **Ferdinanda Schörnera** pod Budziszynem. 23 kwietnia 1945 roku został ciężko ranny.

Pamięta, że chciał pojmać niemieckiego oficera, który wyskoczył z płonącego czołgu. Szamotał się z nim i w tym czasie nastąpił potężny wybuch. Nie wie, co było dalej. Przytomność odzyskał dopiero po kilku dniach, w wojskowym szpitalu. Po półrocznym leczeniu nie wrócił już do macierzystej jednostki. Skierowano go do ochrony zachodniej granicy Polski.

W 1948 roku musiał pożegnać się z mundurem. Rodzice wybranki jego serca powiedzieli, że zgodzą się oddać mu cór-

kę, pod warunkiem, że młodzi wezmą ślub kościelny. „Zależało mi na tej dziewczynie. Co miałem więc robić? 20 lipca ksiądz z Witnicy udzielił nam ślubu”. Przez to podpadł pewnemu kapitanowi i z powodu konfliktu z nim zwolnił się z wojska.

Pewnie dzisiaj pan **Czesław** z żoną **Janiną** poświęcaliby czas wyłącznie 12 wnukom i 17 prawnukom, a nie muzealnym eksponatom, gdyby nie niesamowite odkrycie na cmentarzu 2 Armii Wojska Polskiego w Zgorzelcu. Jeszcze kiedy dopisywało mu zdrowie, pułkownik **Chmielewski** co roku jeździł w dniu Wszystkich Świętych na groby swoich frontowych kolegów z 17 Pułku Piechoty. W 1971 roku pojechał na cmentarz z rodziną. Chodził od mogiły do mogiły i składał na nich kwiaty. Ze wspomnień wyrwał go głos córki, która zapytała, czy znał porucznika **Chmielewskiego**. Zamarł z wrażenia.

Na chwiejnych nogach podszedł do grobu, przy którym stała córka. Kiedy zobaczył swoje nazwisko, serce zaczęło mu mocniej bić. W pułku pana **Czesława** nie było żadnego innego oficera o nazwisku **Chmielewski**. Kto zatem spoczywa w tym grobie? Nieoczekiwany widok i myśli kłębiące się w głowie doprowadziły go do zawału serca. Kiedy wyszedł ze szpitala, postanowił resztę życia poświęcić na spłacenie długów wobec poległych kolegów, zwłaszcza żołnierza, który pod jego nazwiskiem spoczął na cmentarzu w Zgorzelcu.

Najpierw jednak zaczął się zastanawiać, dlaczego w macierzystym pułku uznano go za zabitego lub zaginionego. Uświadomił sobie, że koledzy widzieli, jak padał. Nie zdążyli sprawdzić, czy żyje, a potem nie odnaleźli go w szpitalu. W czasie wizyty u znajomego w Warszawie wpadła mu w ręce książka **Kazimierza Kaczmarka** „Przez trzy granice. Z dziejów 17 pp”. Była w niej lista poległych i zaginionych żołnierzy. Pod datą 23 kwietnia 1945 roku znalazł swoje nazwisko. Z Centralnego Archiwum Wojskowego otrzymał informację, że porucznik **Czesław Chmielewski** pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Virtuti Militari.

HEŁM ZE ZBOŻA

„Napisałem do ministerstwa obrony, że żyję, i skoro nadano mi Krzyż Virtuti Militari, to proszę o jego wręczenie. Po jakimś czasie przyjechał tutaj generał z Wrocławia i udekorował mnie tym najcenniejszym bojowym odznaczeniem”.

Więść o tym szybko rozeszła się po Witnicy i następnego dnia do domu **Chmielewskich** zaczęły się schodzić grupki młodzieży z nauczycielami. „Dzieciaki pytały, czy to prawda, że mam Krzyż Virtuti Militari. Chciały go zobaczyć”. Komбатant opowiedział im trochę o swoich wojennych przeżyciach i zdradził, że będzie zbierał eksponaty do izby pamięci.

Wówczas jedna z dziewczynek pochwaliła się, że u nich na strychu są dwa lewe buty wojskowe dziadka, który walczył

PUŁKOWNIK CO ROKU JEŹDZIŁ WE WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH NA GROBY SWOICH FRONTOWYCH KOLEGÓW Z 17 PUŁKU PIECHOTY. NAZWISKA NA NAGROBKACH PRZYPOMINAŁY MU TOWARZYSZY WALKI

pod Moskwą. Z kolei jakiś chłopczyk powiedział, że jego babcia hełmem nabiera zboże z worka, żeby nakarmić kury. Pan **Czesław** miał też trochę swoich wojskowych pamiątek. Między innymi Krzyż Walecznych i srebrny medal „Zasłużonym na Polu Chwały”, którymi go uhonorowano, zanim dojechał się na Virtuti Militari.

DOMOWE MUZEUM

Eksponatów przybywało, ale nie było odpowiedniego miejsca na lokalizację minimuzeum, choć miejscowy oddział Związku Bojowników o Wolność i Demokrację oraz władze miasta poparły ideę utworzenia izby pamięci żołnierskiej. W końcu pan **Czesław** postanowił przeznaczyć na gromadzenie wojskowych pamiątek jeden z pokoi w rodzinnym domu. Żona wyraziła zgodę, gdyż wiedziała, jak bardzo zależy mężowi na spłaceniu honorowego długu.

Zbiory szybko uzupełnili kombatanzi z Witnicy. Część eksponatów kupił do nowej placówki jej pomysłodawca i zarazem kustosz. Z czasem **Chmielewscy** oddali na potrzeby muzeum wszystkie sześć pokoi na parterze domu, a potem także pomieszczenia gospodarcze i garaż. Ekspozycja zewnętrzna tak się powiększała, że w końcu zabrakło miejsca na podwórku i dwie armaty wylądowały w ogródku: pułkowa 76 milimetrów wzór 1943 i przeciwpancerna 45 milimetrów wzór 1942. Między zabudowaniami i ogrodem stoi zaś niemal półtonowy kolos – armata przeciwlotnicza 85 milimetrów wzór 1939.

Na podwórku można też oglądać kilka innych armat przeciwpancernych, armatę przeciwlotniczą 37 milimetrów wzór 1939 i moździerz 120 milimetrów wzór 1939. Kolekcję uzupełniają armata dywizyjna 76 milimetrów wzór 1942, wystawiona na cokole w ogródku od strony ulicy. W betonowy podest wmurowano tablicę z napisem „W hołdzie tym, którzy ciszą swoich moglił proszą o pamięć”. W zdobyciu tych największych eksponatów pomogli pułkownikowi **Chmielewskiemu** między innymi żołnierze z 13 Kostrzyńskiego Pułku Artylerii, oficerowie z Szefostwa Uzbrojenia i Elektroniki Śląskiego Okręgu Wojskowego oraz kadra z Komendy Poligonu w Wędrzynie.

RUSZNICE I BERETY

W domu natomiast znajdują się eksponaty związane z kampanią wrześniową 1939 roku, walką żołnierzy polskich na wszystkich frontach oraz historią ludowego Wojska Polskiego. Jeden z pokoi wypełniają pamiątki zostawione przez wycieczki i prywatne osoby odwiedzające muzeum. Gratką dla kolekcjonerów są odznaki wszystkich pułków kawalerii, jakie istniały w przedwojennej Polsce. Uwagę zwiedzających przykuwają też siodło, połamana szabla i hełm z dziurą po kuli, które po 32 latach od bitwy nad Bzurą wydobyto z rzeki. Mi →



← PUŁKOWNIK
CZESŁAW CHMIELEWSKI:

„NA ŻÓLNIERSKIEJ KRWI NIE WOLNO ZARABIAĆ”. DLATEGO JEGO PRYWATNE MUZEUM CHWAŁY OREŻA POLSKIEGO MOŻNA ZWIEDZAĆ BEZPŁATNIE

Atrakcja Witnicy

Wizyta Izba Pamięci Żołnierskiej Związku Inwalidów Wojennych PRL została otwarta w domu państwa Chmielewskich 12 października 1972 roku.

W 1985 roku decyzją ministra kultury i sztuki izba pamięci została przemianowana na Regionalne Muzeum Chwały Ořeza, a potem właściciel placówki zmienił jej nazwę na Prywatne Muzeum Chwały Ořeza Polskiego. Można je zwiedzać od poniedziałku do piątku, w godzinach od 10 do 16, bezpłatnie. Przed wybraniem się do placówki przy ulicy Sikorskiego 35 warto zadzwonić pod numer telefonu: +48 95 751 53 14 i umówić się na wizytę.



JACEK SZUSTAKOWSKI (2)

Eksponatów przybywało, ale nie było miejsca na minimumzeum. W końcu pan Czesław przeznaczył na nie jeden z pokoi w swoim domu.

łośnicy militariów mogą obejrzeć kilka ciekawych modeli karabinów i rusznic przeciwpancernych, hełmofony czołgowy i lotniczy, aparat telefoniczny z telegrafem wzór 1930, hełmy z powstania warszawskiego i angielski MK II z siatką, berety z brygady pancernej generała Stanisława Maczka czy czapkę pilota z Dywizjonu 303. Marzeniem pana Czesława było zdobycie motocykla K-750. Otrzymał go od syna pewnego kombatanta.

Kustosze z premedytacją umieścił obok siebie flagi narodowe – niemiecką z polską, radziecką z amerykańską. Tę ostatnią podarował mu jeden z senatorów Kongresu Stanów Zjed-

noczonych. Darczyńcy przekazują do muzeum również mundury i części wojskowego ekwipunku. Wśród znanych osób, które zostawiły tutaj swoje pamiątki, są generał dywizji rezerwy Roman Polko i pierwszy polski kosmonauta Mirosław Hermaszewski.

„Przed 40 laty myślałem o zgromadzeniu eksponatów w jednym pomieszczeniu. Miały być karabiny z szabelką, zdjęcia, kilka odznaczeń”, mówi kustosz. Tymczasem teraz na potrzeby muzeum przeznaczył prawie cały dom. „Chciałem pokazać prawdziwą historię wojskowej niedoli, a żołnierskie przyrzeczenie zobowiązuje”.



Hoplita ateński

Ciężka piechota stanowiła podstawową siłę armii greckich miast-państw.

TOMASZ HOCHLEWICZ

W historii antycznej Grecji V wiek przed naszą erą to burzliwy okres. W tym czasie miały miejsce krwawe wojny obronne z Persami. Wybuchła również wojna peloponeńska, w której Sparta i Ateny walczyły o dominację nad pozostałymi narodami Hellady. Ateny były wówczas potęgą morską. Nieco gorzej przedstawiała się ich sytuacja na lądzie. Podstawę armii stanowili ciężkozbrojni hoplici – żołnierze rekrutujący się z bogatszych obywateli. Biedniejsi natomiast służyli jako procarze, a nawet wioślarze na okrętach wojennych. Hoplici ateńscy reprezentowali średni poziom wyszkolenia w skali całej Grecji. W starciu z hoplitami spartańskimi, którzy z walki uczynili treść swojego życia, byli zatem na przegranej pozycji.

Nie oznaczało to, że Ateńczycy byli ludźmi wojownikami. Swoje zalety udowodnili między innymi podczas bitwy pod Maratonem, w której hoplici po wielokilometrowym szybkim marszu i biegu uzyskali przewagę nad wypoczętymi Persami.

Bogaci obywatele nie tylko byli zobowiązani do kupna rynsztunku wojskowego, ale także utrzymywania ciała w dobrej formie. To właśnie prawdopodobnie stąd wzięło się zamiłowanie starożytnych Greków do uprawiania sportów siłowych i dbania o kondycję.

Wyposażenie hoplitów w całej Grecji było podobne. Ich podstawowy ekwipunek stanowiły: okrągła i wypukła tarcza (aspis) o średnicy około jednego metra, włócznia, hełm osłona na tułów i nagolenniki.

Szkielet tarczy wykonywano z drewna. Na zewnątrz obijano ją cienką warstwą brązu, a od wewnątrz wykładano skórą. Tarcza była bardzo ciężka, więc do noszenia służyły dwa uchwyty: zamo-

cowana pośrodku obręcz na ramię (porpax) oraz znajdujący się na krawędzi skórany pasek, w który wsuwało się dłoń (antilabe).

Charakterystyczną bronią hoplitów były włócznie (doru) o długości 2,5 metra przeznaczone do zadawania pchnięć. Grecy żołnierze posługiwali się również mieczami, ale tylko w ostateczności. Do dyspozycji mieli kilka typów tej broni. Większość była jednak rozszerzona na końcu, ponieważ służyła do zadawania prostych ciec z góry.

Hoplici najczęściej nosili hełmy typu korynckiego, które nie tylko wyróżniały się pod względem estetycznym, lecz także zapewniały wojownikowi niemal stuprocentową osłonę głowy i twarzy przy niewielkim ograniczeniu pola widzenia. Pod koniec V wieku przed naszą erą coraz częściej jednak używano hełmów typu attyckiego, chalcydyckiego czy trackiego.

Hopilicy nie zawsze nosili pancerze. Zachowały się posągi czy ceramika z wyobrażeniami nagich wojowników lub ubranych tylko w tunikę. Jeśli jednak kogoś było stać na zbroję, kupował lnianą osłonę tułowia (linothorax) wykonaną z lekkiej tkaniny albo drogi metalowy pancerz z uwydątnioną muskulaturą (musculata). Metalowy kirys był stosunkowo ciężki, ale zapewniał solidną ochronę. W V wieku przed naszą erą elementy ochronne były zrobione głównie z brązu. Z żelaza, które wówczas było już znane, ale bardzo drogie, wykonywano miecze, groty włóczni i strzały.



W następnym numerze:
grenadier Legii Nadwiślańskiej



NAZWA: **HOPLITA ATEŃSKI**
OKRES: V WIEK
PRZED NASZĄ ERĄ
GRUPA: MILITES OPTIMI

Elegancki hełm koryncki zapewniał optimum widoczności i świetnie chronił twarz wojownika.

Tarcza aspis wykonana z wyłobionego drewna i obita blachą miedzianą ważyła około 10 kilogramów.

Żelazne elementy były drogie – na zbroję z tego metalu mogli pozwolić sobie najbogatsi wojownicy.

Nagolenniki z brązu były wykute na kształt ludzkiego ciała, podobnie metalowa osłona tułowia (musculata).

Hopliti używali włóczni o długości około 2,5 metra. Oddział wyposażony w taką broń tworzył ścianę śmierci, niemal nie do pokonania dla przeciwnika.

MARK JASKIEWICZ (4)





Wzgórza pamięci

„Byliśmy oddechem milionów, którzy uratowali ojczyznę”,
wryto po niemiecku na cokole krzyża na cmentarzu w Smerekowcu. Jest on jedną z ponad czterystu nekropoli powstałych po I wojnie światowej w Galicji Zachodniej.

ANNA DĄBROWSKA

Największa i najważniejsza ofensywa I wojny światowej na wschodzie, bitwa gorlicka, doprowadziła 2 maja 1915 roku do przerwania rosyjskiego frontu. Efektem walk, oprócz zwycięstwa armii niemieckiej i austro-węgierskiej, były setki tysięcy poległych żołnierzy pozostałych na pobojowiskach lub pochowanych w prowizorycznych grobach.

Pod koniec 1915 roku Austriacy postanowili w Wiedniu utworzyć Wydział Grobów Wojennych przy Ministerstwie Wojny. Jedną z jego filii był Oddział Grobów Wojennych Cesarskiej i Królewskiej Komendantury Wojskowej w Krakowie.

Podlegał mu teren Galicji Zachodniej podzielony na 11 okręgów cmentarnych. Jego zadaniem była ewidencja poległych, ich ekshumacja i przenoszenie w wybrane miejsca oraz projektowanie i budowa cmentarzy.

W Krakowie pod dowództwem komendanta majora **Rudolfa Brocha** służyło i pracowało ponad trzy tysiące osób – rzemieślnicy: cieśle, kamieniarze, ogrodnicy oraz projektanci: architekci, rzeźbiarze, rysownicy. W tej drugiej grupie było kilku Polaków, między innymi malarz **Wojciech Kossak**, rzeźbiarz **Jan Szczepkowski** czy akwarelista **Henryk Uziębło**. Oddział w trzy lata wybudował ponad 400 cmentarzy, na któ-



ANNA DĄBROWSKA

rych pochowano około 60 tysięcy ciał zebranych z pobojuwisk. Do budowy nekropolii użyto setek ton materiałów, w tym 61 tysięcy ton drewna modrzewiowego, ponad 18 tysięcy ton łamanego kamienia i 10 tysięcy ton żeliwa. Do obsadzenia cmentarzy sprowadzono między innymi 420 tysięcy sadzonek wiecznie zielonych roślin.

KRZYŻ NA WZGÓRZU

Cmentarze powstawały jako indywidualne założenia, a projekty architektów wylaniano w konkursach. Na cmentarzach, poza nagrobkami i krzyżami, powstały kapliczki, obeliski, kolumny, ołtarze i tablice. Nekropolie sytuowano przy głównych drogach, koło wiejskich cmentarzy oraz na mało dostępnych leśnych wzgórzach. Chowano na nich żołnierzy kilkunastu narodowości, w tym Polaków, z trzech walczących armii: austro-węgierskiej, niemieckiej i rosyjskiej, oraz wielu wyznań: katolików, protestantów, prawosławnych, żydów i muzułmanów.

Projekt tych cmentarzy był świadectwem rycerskiego podejścia do poległych, niezależnie od tego, kim byli i po której stronie walczyli.

Jednym z największych i najbardziej reprezentacyjnych cmentarzy na tym terenie jest nekropolia numer 91 w Gorlicach w okręgu III. Usytuowana na Górze Cmentarnej widoczna jest z każdej części miasta, a ze wzniesienia można zobaczyć panoramę Gorlic i otaczających je gór. Konkurs na projekt cmentarza wygrał kapitan **Emil Ladewig**, austriacki architekt. Na teren nekropolii wiedzie okazała brama, w której w latach sześćdziesiątych umieszczono tablice z nazwiskami 61 niemieckich żołnierzy z 272 Pułku Piechoty przeniesionych w to miejsce z likwidowanego gorlickiego cmentarza numer 89.

Na powierzchni blisko hektara pochowano tutaj 425 żołnierzy armii austro-węgierskiej, 287 rosyjskiej i 140 niemieckiej, zarówno w mogiłach pojedynczych, jak zbiorowych. Na cmentarzu znajdują się także puste groby z II wojny światowej. Szczątki pochowanych w nich 362 żołnierzy niemieckich zostały w 1997 roku przeniesione na cmentarz wojenny w Sie-

mianowicach Śląskich. W centrum nekropolii na postumencie postawiono wysoki kamienny krzyż projektu niemieckiego architekta **Gustawa Ludwiga**, obecnie ozdobiony dwoma tablicami z roku 1928 i 1946. Ciekawym rozwiązaniem jest też ołtarz polowy wkomponowany w część cmentarnego muru.

PIĘĆ WIEŻ

Najpiękniejsze i chyba najbardziej różnorodne cmentarze Galicji Zachodniej powstały w I Okręgu Cmentarnym „Żmięgród”. Wszystkie 31 obiektów zaprojektował **Duszan Jurkowicz**. Kompozycje cmentarne tego słowackiego architekta inspirowane regionalnym budownictwem Beskidu Niskiego uznawane są za najbardziej udane spośród nekropolii założonych przez oddział krakowski.

Za najwspanialsze dzieło **Jurkowicza** uważany jest cmentarz numer 51 położony niedaleko wsi Regetów na szczycie wzgórza Rotunda. Pochowano tutaj 42 Austriaków, głównie z 1 Pułku Cesarskich Strzelców Tyrolskich i 36 Pułku Piechoty oraz 12 Rosjan z 193 Pułku Piechoty. Na planie koła powstało pięć strzelistych drewnianych wież. Cmentarz nie najlepiej zniósł próbę czasu. Odnową obiektu zajęła się grupa pasjonatów – wykonano nowe krzyże i emaliowane tablice z nazwiskami pochowanych oraz zrekonstruowano dwie drewniane wieże.

Pozostałe cmentarze też są powoli odnawiane, nie zawsze jednak w zgodzie z pierwotnym wyglądem. Tak było we wsi Blechnarka nad rzeką Ropą na cmentarzu numer 49. W 1996 roku postawiono tutaj nowe krzyże w przypadkowych miejscach, zapomniano też o emaliowanych tablicach. Dawny wygląd cmentarzowi przywrócono dopiero dziesięć lat później. Na polance spoczywa tutaj w lesie 103 żołnierzy austro-węgierskich służących głównie w 3 Pułku Cesarskich Strzelców Tyrolskich i 87 Pułku Piechoty oraz 196 żołnierzy rosyjskich z 176 i 196 Pułku Piechoty.

ZACIEKŁY BÓJ

Także w lesie, a dokładnie na zalesionym szczycie Beskidka, umiejscowiono cmentarz numer 46, gdzie pochowano 168 osób poległych z wojsk austro-węgierskich oraz 135 z rosyjskich. Głównym elementem cmentarza zbudowanego na planie zbliżonym do krzyża łacińskiego jest dwudziestometrowa kamienna wieża nakryta gontowym dachem i zwieńczona żelaznym krzyżem. Kiedyś była ona wieżą widokową, z której rozciągała się piękna panorama Beskidów, jednak dziś wstęp na nią jest zabroniony.

Łatwo dostępny jest natomiast cmentarz numer 56 w Smerekowcu. Kamienny mur otacza groby 22 żołnierzy austriackich oraz Rosjanina zwieńczone krzyżami z metalowymi daszkami. Nad wszystkim góruje rzeźbiony drewniany krzyż pomnikowy ze zwornikiem, którego główkę zrobiono z zapalnika od pocisku artyleryjskiego.

Jednym z najbardziej znanych cmentarzy w Beskidzie Niskim, przede wszystkim z powodu dogodnego położenia i dojazdu, jest nekropolia numer 60 na Przełęczy Małastowskiej. Spoczywa tutaj 174 Austriaków. W centralnym punkcie znajduje się pomnik-kaplica. Masywna budowa z bali jest kryta gontem i zwieńczona kompozycją z drewnianych krzyży. Inskrypcja na tablicy umieszczonej na kaplicy głosi po niemiecku: „Pamiętajcie w swoich pełnych szczęścia dniach, że na tej ziemi gorzał zaciekły bój, że tu tysiące odniosło śmiertelne rany, aby wokół was rozkwitało błogosławieństwo słońca”. ■

JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH
I JEDNOCZEŚNIE
NAJBARDZIEJ
REPREZENTACYJNYCH
CMENARZY NA TYM
TERENIE JEST **NEKROPOLIA
NUMER 91** W GORLICACH

| POŻEGNANIA |

Panu chor. Tomaszowi Zarzeckiemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy wojska
Ośrodka Szkolenia Poligonowego
Wojsk Lądowych Wędrzyn.

Panu płk. Wiesławowi Mitkowskiemu

wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Syna Łukasza

składają dowódca, kadra i pracownicy wojska Dowództwa
16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu

Panu płk. Dariuszowi Bogackiemu

z powodu śmierci

Teściowej

składają żołnierze oraz pracownicy Oddziału Specjalnego
Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim.

Panu Majorowi Ireneuszowi Cioskowi

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają Komenda, Senat oraz społeczność Wyższej
Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych imienia generała
Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu.

**Panu Pułkownikowi
Wiesławowi Mitkowskiemu**

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Syna

składają szef, kadra i pracownicy Wojewódzkiego Sztabu
Wojskowego w Kielcach.

Pani Elżbiecie Graczyk

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają koleżanki i koledzy z 9 Brygady Kawalerii
Pancernej w Braniewie.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu

**Pułkownikowi
Zbigniewowi Romanowskiemu**

z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra i pracownicy wojska Gdyńskiego
Oddziału Zabezpieczenia Marynarki Wojennej.

Panu mjr. Januszowi Burzych

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają
szef, koleżanki i koledzy z Szefostwa Planowania
Logistycznego Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu Chorążemu Danielowi Krzemionce

z 12 Brygady Zmechanizowanej oraz

Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają podoficerowie 12 Szczecińskiej Dywizji
Zmechanizowanej.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje

Panu mjr. Grzegorzowi Konopko

z powodu tragicznej śmierci
w katastrofie lotniczej w USA

Siostry, Szwagra i Siostrzenicy

składają żołnierze i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Białymstoku
oraz wojskowych komend uzupełnień
województwa podlaskiego.

POŻEGNANIA

Panu płk. Wojciechowi Matuszewskiemu
szefowi Sekretariatu Szefa Sztabu Generalnego WP
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają generał Mieczysław Cieniuch,
szef Sztabu Generalnego WP,
oraz żołnierze i pracownicy Sztabu Generalnego WP.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Pana ppłk. rez. Ryszarda Byzdry

Żonie, Dzieciom i Najbliższym

składa szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Białymstoku.

Panu Majorowi Mirosławowi Mice

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra i pracownicy wojska Oddziału
Wychowawczego Dowództwa Wojsk Lądowych.

Panu kpt. Piotrowi Żebrowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Brata

składają dowództwo, kadra i pracownicy 3 Brygady
Rakietowej Obrony Powietrznej.

Wyrazy głębokiego żalu oraz szczerze kondolencje

Panu chor. rez. Mariuszowi Nychowi

oraz Rodzinie

z powodu śmierci

Syna

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy wojska
jednostek w Sochaczewie.

Panu Pułkownikowi
Jarosławowi Ciepłowskiemu

wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Siostry

składają naczelny prokurator wojskowy, prokuratorzy
i pracownicy Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

Wyrazy głębokiego żalu oraz szczerze kondolencje

Panu mł. chor. sztab. rez.

Arturowi Borkowskiemu

oraz Rodzinie

z powodu śmierci

Syna

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy wojska
jednostek w Sochaczewie.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
koleżance

Jadwidze Kołodziejczak

z powodu śmierci

Taty

składają Wojskowy Komendant Uzupełnień,
kadra i pracownicy Wku w Lidzbarku Warmińskim.

Szefowi Sekretariatu Szefa Sztabu Generalnego

Panu płk. Wojciechowi Matuszewskiemu

wyrazy szczerzego współczucia i żalu
w trudnych chwilach po śmierci

Ojca

składają szef i kierowniczka kadra Zarządu Organizacji
i Uzupełnień – P1.

Panu Majorowi Robertowi Lachowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Brata

składają dowództwo, kadra i pracownicy
Pułku Ochrony w Warszawie.



WOJCIECH KISS-ORSKI

ZAMKI

Warownia przy gdanisku

Dobrze zachowany zamek razem z przylegającą do niego katedrą tworzą imponujący gotycki zespół obronno-sakralny.

ANNA DĄBROWSKA

Rezydencję kapituły pomezkańskiej w Kwidzynie wzniesiono w latach 1310–1350 na wysokim prawym brzegu pradoliny Wisły. Budowla z kamieni i cegieł powstała na

planie typowym dla zamków krzyżackich, czyli czworoboku z wewnętrznym dziedzińcem i wieżami w narożach. W drugiej połowie XIV stulecia dobudowano korpus łączący kościół

z warownią, od północy wzniesiono łączącą się przez ganek z zamkiem wieżę studzienną, która jednocześnie flankowała przejazd przez most zwodzony. Wieże wraz z krytymi gankami tworzyły jednolity system obronny wokół kompleksu. Jego najsilniejszym punktem była usytuowana w południowej części dziedzińca dzwonnica o wysokości 59 metrów ze szczytem zwieńczonym krenelażem.

Najbardziej charakterystycznym i najlepiej rozpoznawalnym elementem architektury kwidzyńskiego zamku jest największe na terenie państwa krzyżackiego gdanisko. W razie zagrożenia pełniło ono też funkcję miejsca ostatniej obrony. Znajduje się w odległości 55 metrów od zachodniego skrzydła zamku, z którym było połączone krytym gankiem wspartym na pięciu ceglanych filarach. Pod gdaniskiem przepływał strumień odprowadzający z zamku nieczystości.

Kwidzyńska warownia w XV i XVI wieku była wielokrotnie szturmowana i niszczona, głównie przez polskie wojska. W trakcie wojny trzynastoletniej w 1460 roku zdobyły ją i mocno uszkodziły oddziały pod dowództwem **Andrzeja Puszkarza**. Na mocy zawartego sześć lat później drugiego pokoju toruńskiego Kwidzyn pozostał w granicach państwa zakonnego, ale biskupem pomezkańskim wybrano polskiego duchownego **Wincentego Kiełbasę**. Po jego śmierci wybuchła tak zwana księża wojna, w której wojska polskie po kilkumiesięcznym oblężeniu ponownie zajęły zamek kapituły.

Kolejny raz Polacy zdobyli warownię w 1478 roku. Wówczas poważnie uszkodzili zamek. W trakcie prac remontowych rozebrano częściowo znisz-

WYSTAWA

Dzieje „Orła”

Historię najsłynniejszego polskiego okrętu podwodnego poznamy w Muzeum Militariów we Wrocławiu. Na dwudziestu jeden planszach zaprezentowano materiały archiwalne związane z przebiegiem służby ORP „Orzeł” – od rozpoczęcia jego budowy w sierpniu 1936 roku, przez podniesienie ban-

dery 2 lutego 1939 roku, wyjście na ostatni patrol 23 maja 1940 roku, aż po uznanie go za zaginiony 8 czerwca 1940 roku. Okręt zasłynął brawurową ucieczką z internowania w Tallinie i przedarciem się do Wielkiej Brytanii oraz zatopieniem statku „Rio de Janeiro” z transportem niemieckich wojsk.

Na wystawie „ORP «Orzeł» – dzieje okrętu” znalazły się też eksponaty

związane z innymi jednostkami podwodnymi II Rzeczypospolitej. Po raz pierwszy obejrzymy na przykład niepublikowane dotąd fotografie z patroli na Morzu Północnym. Wystawa jest czynna do końca kwietnia 2012 roku. (AD) ■



➔ **Vademecum**

Kwidzyn leży 36 kilometrów na południe od Malborka. Samochód można zostawić na darmowym parkingu obok zamku. Do miasta dojedziemy też pociągiem. Warownia znajduje się w centrum i widać ją z daleka. W mieszczącym się w zamku muzeum przy ulicy Katedralnej obejrzymy wystawę sztuki, rzemiosła artystycznego i przyrodniczą, ekspozycję archeologiczną i etnograficzną, średniowieczne narzędzia tortur oraz kolekcję militariów. Najcenniejszym eksponatem jest spiżowa bombarda na kule kamienne, pochodząca z XV wieku. Warto też zwrócić uwagę na pruski karabin piechoty Mauser M57 oraz sztucery tarczowe systemu AYDT. Muzeum czynne jest codziennie z wyjątkiem poniedziałków: od maja do września w godzinach 9–17; od października do kwietnia: w tygodniu 9–16, w weekendy 9–15. Bilet wstępu kosztuje 8 złotych, a wejście na dziedziniec i do podziemi 1,50 zł. W poniedziałki wstęp na dziedziniec jest bezpłatny. W mieście nie ma problemu z noclegiem – można wybierać między kilkoma hotelami oraz licznymi pokojami gościnnymi i pensjonatami.

czony wieże narożne. Nie minęło pięćdziesiąt lat i w 1520 roku znów podszli pod Kwidzyn. Ostrzał artyleryjski kolejny raz naruszył mury budowli.

Po sekularyzacji zakonu zamek przejęli protestanci biskupi i mieszkali w nim do połowy XVI wieku. Później twierdza przeszła w ręce księcia pru-

skiego **Albrechta Hohenzollerna**. Stała się budynkiem rządowym, w którym urządzono także mieszkania dla urzędników administracji książęcej. Po zniszczeniach dokonanych w czasie wojen szwedzkich południowe skrzydło zamieniono na magazyn żywności dla stacjonującego w mieście garnizonu wojskowego. Po pierwszym rozbiore Polski zamek był, aż do 1935 roku, siedzibą sądu, a część jego pomieszczeń – w tym gdanisko – zaadaptowano na więzienie. W 1798 roku władze pruskie wyburzyły południowe i wschodnie skrzydła warowni, a pozyskany w ten sposób materiał wykorzystano do budowy nowego gmachu sądu ziemskiego.

Rozbiórkę powstrzymało dopiero rozporządzenie króla **Fryderyka Wilhelma IV**, który nakazał rozpoczęcie na zamku prac rekonstrukcyjnych, przywracających dawny kształt budowli. Najważniejsze prace przeprowadzono w 1874 roku pod kierunkiem **Gustawa Reicherta**. Odbudowano wtedy wieże narożne oraz zrekonstruowano szczyty gdańskie i wieży studziennej. W okresie międzywojennym na terenie warowni działało lokalne muzeum, a od 1936 roku stała się ona siedzibą hitlerowskiej szkoły Hitlerjugend. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną zamek, w odróżnieniu od Starego Miasta, uniknął kolejnych zniszczeń.

Gmach w 1945 roku przejęło Ministerstwo Kultury i Sztuki, a od 1950 jest on siedzibą Muzeum w Kwidzynie, oddziału Muzeum Zamkowego w Malborku. Dzisiaj można tam zwiedzać między innymi zachowane pod skrzydłami północnym, zachodnim i wschodnim piwnice, krużganki, rektarz zimowy, kaplicę, wieżę studzienną i słynne gdanisko. ■

WYSTAWA

Białe gwiazdy

WMuzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie trwa Rok Amerykański. Organizatorem – muzeum oraz Konsulatowi Generalnemu Stanów Zjednoczonych Ameryki w Krakowie – zależało na zaprezentowaniu cyklu wydarzeń przybliżających wspólne, polsko-amerykańskie dziedzictwo lotnicze.

Z tej okazji przewidziano wystawy, programy edukacyjne oraz projekcje filmowe. Pierwsza ekspozycja, „Białe gwiazdy nad Polską”, poświęcona jest zaangażowaniu lotnictwa armii USA w walki nad naszym krajem. Wystawa jest otwarta do czerwca 2012 roku. Do maja 2012 roku w muzeum są też organizowane projekcje amerykańskich filmów fabularnych i krótkometrażowych dokumentów poświęconych lotnictwu. Każdy pokaz poprzedza komentarz eksperta i krytyka filmowego. (AD) ■

K S I A Ź K A



Orwellowski świat

Życie w najbardziej totalitarnym reżimie współczesnego świata.

POLECAMY

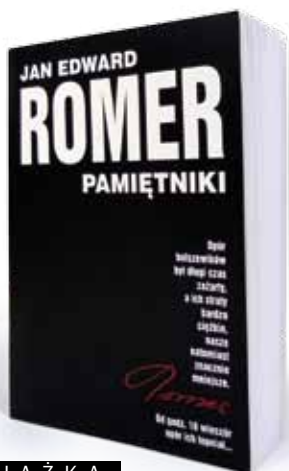


Ostatnio głośno było o Korei Północnej w związku z zapowiedzią Pjongangu umieszczenia na orbicie sztucznego satelity. Co jednak tak naprawdę dzieje się w tym najbardziej odizolowanym państwie na świecie? Jak wygląda życie zwykłych ludzi w kraju, który ma własną oficjalną ideologię Dżucze, własny kalendarz mierzący czas od narodzin **Kim Ir Sena**, a obowiązkiem każdego obywatela jest codzienne czyszczenie wiszących na ścianie portretów przywódców? Na te pytania odpowiada amerykańska dziennikarka **Barbara Demick**.

Reportaż powstał na podstawie wywiadów z uciekinierami z Korei Północnej. Ich opowieści składają się na historię Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej od jej powstania, przez wojnę koreańską, czasy po śmierci **Kim Ir Sena** i klęskę głodu, który zabił jedną piątą mieszkańców. Ci, którym udało się przekroczyć rzekę na granicy z Chinami, a stamtąd przedostać się do Korei Południowej, opowiadają o życiu podporządkowanemu partii, nieustannej inwigilacji i obozach pracy. Książka jest jednym z dziesięciu tytułów nominowanych do nagrody imienia **Ryszarda Kapuścińskiego** za reportaż literacki. ■

ANNA DĄBROWSKA

Barbara Demick, „Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej”, wydawnictwo Czarne, 2011



KSIĄŻKA

Kulisy historii

Krytyczny, a przez to ciekawy i niekiedy zaskakujący obraz początków II Rzeczypospolitej.

Pamiętniki generała **Jana Edwarda Romera** obejmują okres od 1914 do 1927 roku. Znaczną ich część zajmują opisy działań wojennych, z których wyłania się obraz początków II Rzeczypospolitej. Czytamy, jak generał „dawał ostrogę” swoim ułanom, jak skarżył się na madame **Paderewską** zajmującą miejsce w pociągach wiozących broń i zaopatrzenie do walczącej Polski, jak walczył z biurokratami i aferzystami, którzy próbowali zbić fortuny na zaopatrzeniu polskiego wojska w nieuczciwy sposób. Znajdziemy też opisy słabego wyszkolenia rekrutów, a nawet... racjonalnego wykorzystania furmanek. Dzięki książce poznajemy też życiorys autora. Generał broni **Romer** był zawodowym oficerem Cesarsko-Królewskiej Armii. W czasie I wojny światowej walczył na froncie wschodnim i włoskim. Po 1918 wstąpił do Wojska Polskiego, brał udział w walkach z Ukraińcami, kierował Polską Misją Wojskową do spraw Zakupów we Francji. W 1920 roku dowodził najpierw dywizją, a później armią. Po wojnie był szefem Naczelnej Kontroli Wojskowej i dowódcą Okręgu Korpusu w Lublinie. ■

BOGDAN JAŚKIEWICZ

Jan Edward Romer, „Pamiętniki”, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2012

Pierwsi na polu walki

Atutem jednostek ekspedycyjnych US Navy jest krótki czas reakcji.

PIOTR ZARZYCKI

11 Jednostka Ekspedycyjna Piechoty Morskiej (11th Marine Expeditionary Unit, MEU) to jeden z siedmiu tego typu zespołów zadaniowych amerykańskiej marynarki wojennej. Jej żołnierze są przygotowani do szybkiego reagowania na sytuacje kryzysowe w niemal każdym zakątku świata. Uznaje się ich za jedną z najskuteczniejszych jednostek na świecie.

Program Discovery World „Zabójcze elity armii” odstąpił przed widzami tajemnice jej sukcesu. Kamera zawędruje do kalifornijskiej siedziby oddziału w Camp Pendleton, gdzie zobaczymy, jak marines przygotowują się do opanowywania zamieszek, ewakuacji obywa-

teli USA z gorącego terenu czy pomocy rannym po wybuchu improwizowanych urządzeń wybuchowych. Każde z ćwiczeń ma odwzorowywać rzeczywistość. O realizm dodatkowo dbają charakterystorzy z Hollywood, zapewniający rannym odpowiedni „makijaż”.

W każdym MEU są komponenty: lądowy, powietrzny, logistyczny i dowództwo. Łącznie daje to 2,2 tysiąca żołnierzy, którzy w połączeniu z bogatym uzbrojeniem tworzą niszczycielską siłę. Wystarczy wspomnieć, że część lądowa to między innymi 1,2 tysiąca marines, cztery czołgi M1A2 Abrams i kilkanaście transporterów opancerzonych LAV (Light Armored Vehicle).

MODEL

Armia w miniaturze

Miłośnicy wojskowych modeli nie powinni przegapić I Model Show we Wrocławiu. W konkursie 14–15 kwietnia 2012 roku wystartują wykonane w różnych skalach modele, także wojskowe. Zobaczymy między innymi miniatury gąsienicowych i kołowych pojazdów wojskowych, samolotów, śmigłowców, artylerii i okrętów. Wśród

atrakcji przewidziano giełdę i warsztaty modelarskie, wystawę pojazdów historycznych i wojskowych oraz uzbrojenia strzeleckiego z okresu II wojny światowej, a także pokazy grup rekonstrukcyjnych. (AD) ■



Więcej informacji na stronie:
www.lo2.wroc.pl/pages/read/99



KONKURS:

Wśród osób, które udzielią prawidłowej odpowiedzi na pytanie: „Jaki przydomek nosi 11 Jednostka Ekspedycyjna Piechoty Morskiej?”, rozlosujemy nagrody ufundowane przez Discovery World: cztery zestawy talonów do wykorzystania w sklepie Militaria.pl oraz firmowe gadżety. Odpowiedzi prosimy przysyłać na adres: konkurs@zbrojni.pl z dopiskiem „Elita”.

W powietrzu mają natomiast do dyspozycji cztery śmigłowce AH-1W Super-Cobra i sześć pionowzlotów AV-8B Harrier.

Marines wypowiadający się przed kamerą zwracają uwagę na ogromną rolę elementów logistycznych. Do dyspozycji każde MEU ma między innymi kilkanaście śmigłowców ze średnim i dużym udźwigniem, ciężarówki, opan-

cerzone buldożery czy przenośną stację oczyszczania wody, która choćby najbrudniejszą wodę na świecie zamieni na zdatną do spożycia. W programie będzie można zobaczyć typową operację desantową przeprowadzoną przez piechotę morską USA. Autorzy pokażą, jak wygląda desant na bronioną przez wroga plażę z ogromnych poduszkozców LCAC.

Marines to jednak nie tylko niszcząca siła. Nieraz żołnierze tej formacji są wysłani do udzielenia pomocy humanitarnej. Twórcy programu kilkakrotnie wracają do historycznych wydarzeń z udziałem amerykańskich żołnierzy, którzy pomagali w usunięciu skutków kataklizmów na Filipinach czy Indonezji.

„Zabójcze elity armii” to pozycja dla ludzi interesujących się tajnikami działania elitarnych jednostek wojskowych. Realizmu programowi dodaje to, że o wszystkich procedurach, sprzęcie, uzbrojeniu i jego wykorzystaniu opowiadają żołnierze, którzy na co dzień z niego korzystają.



„ZABÓJCZE ELITY ARMII” (ANG. ANATOMY OF COMBAT FORCE)

Premiera: wtorek, 17 kwietnia, godzina 21.30 na kanale Discovery World.
Emisje kolejnych odcinków: wtorki, godzina 21.30.



MODEL

Nazistowska limuzyna

Ten samochód, jak chyba żaden inny, kojarzy się z hitlerowskimi dygnitarzami. Mercedes typ 770K (W150) został opracowany w 1938 roku jako wersja rozwojowa modelu W07. Otrzymał nowe podwozie z przekonstruowanym, niezależnym zawieszeniem. Zmodernizowany ośmiocylindrowy silnik mógł

osiągać moc do 230 koni mechanicznych. Do końca 1943 roku zmontowano jedynie 88 sztuk W150, z tego 46 w wariantcie Tourenwagen, czyli z otwartym nadwoziem. Część samochodów otrzymała opancerzone nadwozie. Warto jeszcze dodać, że w 1938 roku Mercedes typ 770K, nazywany Grosser Mercedes, był najdroższym niemieckim autem osobowym oferowanym do sprzedaży. W żadnym cenniku nie pojawiła się jego cena, zamiast niej widniała informacja: „dostępny na życzenie”.

Na czterech ramkach z beżowego plastiku producent (ICM) umieścił 220 części, a na dodatkowej 26 detali przezroczystych. Wszystkie elementy zostały wykonane na bardzo wysokim poziomie. W modelu bardzo starannie zrobiono zawieszenie z detalami ramy, zbiornika paliwa, układu wydechowego, a także dokładną repliką silnika układu przenie-

GRA PLANSZOWA

Zdobyć relaksy

Wraca klimat kolejkowych przepychanek.

Chcesz sobie przypomnieć, jak to było stać pół dnia w kolejce, a potem wracać do domu z dumą, że zdobyło się buty Relaks czy herbatę Popularną? Możesz to zrobić dzięki grze Kolejka, która pokazuje realia lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Każdy z graczy rozstawia członków rodziny w kolejkach, aby zdobyć upragnione towary rzucone do sklepów. Gra jest na tyle prosta, że zagra w nią ośmiolatek, a jednocześnie wciągająca dla dorosłych, szczególnie z powodu atmosfery lat PRL-u. Wydany przez Instytut Pamięci Narodowej tytuł stał się tak popularny, że pierwszy i drugi nakład rozeszły się błyskawicznie. W 2011 roku do sklepów trafił dodatek Ogonek. Dzięki niemu do kolejkowych rozgrywek może zasiąść sześć osób. Gra wzbogaciła się też o doniesienia „Trybuny Ludu” i kuponą w sklepie monopolowym „walutę zastępczą”.

ANNA DĄBROWSKA

Gra planszowa Kolejka, wydawca Instytut Pamięci Narodowej.

sienia napędu. Efektownie prezentuje się wnętrze kabiny z dużymi kanapami, detalami tablicy rozdzielczej i drzwi. Świetnie wyglądają także elementy nadwozia, takie jak błotniki, progi, maska, osłona chłodnicy czy kufer, oraz koła. Szkoda tylko, że nie wykonano wnętrza bagażnika i klapy jako oddzielnego elementu. Dach przygotowano jedynie w pozycji złożonej, ale podniesione szyby prezentują się dobrze. Całość uzupełniają takie detale, jak zderzaki czy mocowania reflektorów i tablic rejestracyjnych. Cena, wynosząca około 84 złotych, nie jest wygórowana jak na tak dobrze wykonany zestaw.

ROBERT SAWICKI

Typ 770K (W150) Tourenwagen, WWII German Leader's Car, producent ICM, nr kat. 35533, skala 1:35

JACEK SZUSTAKOWSKI



Sportowcy roku

WARSZAWA

Starszy szeregowy **Paweł Wojciechowski** został najlepszym sportowcem Wojska Polskiego w 2011 roku w sporcie wyczynowym. W kategorii sportu powszechnego zwyciężył starszy szeregowy **Dominik Gałązka** z 11 Dywizji Kawalerii Pancernej.



JAROSŁAW PACHUT

Narciarski slalom

LUBOMIERZ

II Otwarte Mistrzostwa Małopolski Służb Mundurowych w Narciarstwie Zjazdowym wśród kobiet wygrała **Anna Addobbati** z 1 Batalionu Drogowo-Mostowego w Dęblinie. Z panów najlepszy był **Wacław Dubrawski** z 16 Batalionu Powietrzno-Desantowego w Krakowie. Gratulujemy!



MARCIN SZUBERT

Odnaki pułku

BOLESŁAWIEC

Z OKAZJI ŚWIĘTA 23 PUŁKU ARTYLERII JEGO DOWÓDCA PUŁKOWNIK **ANDRZEJ LORENC** UHONOROWAŁ ŻOŁNIERZY PAMIĄTKOWYMI ODZNAKAMI.

Kadeci muzycy

POZNAŃ

Trzydziestu dwóch kadetów Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych – muzyków orkiestr wojskowych – uzyskało promocję na pierwszy stopień podoficerski. Prymusem szkoły został szeregowy kadet **Paweł Ficoń**.

Wzorowy pododdział

SULECHÓW

3 DYWIZJON ARTYLERII RAKIETOWEJ 5 PUŁKU ARTYLERII DOWODZONY PRZEZ PODPUŁKOWNIKA **RYSZARDA RÓŻYCKIEGO** OTRZYMAŁ TYTUŁ WZOROWY PODODDZIAŁ WOJSK LĄDOWYCH.

Medal z USA

WARSZAWA

Kontradmiral **Ryszard Demczuk**, szef szkolenia Marynarki Wojennej, otrzymał z rąk ambasadora USA w Polsce **Lee Feinsteina** Meritorious Service Medal za wybitne osiągnięcia w misji ISAF.



AMBASADA USA W WARSZAWIE



JACEK MIZGAŁA

Lucjan Młynarczyk miał okazję bliżej poznać sprzęt pancerny na poligonie w Biedrusku.

Goście w centrum

POZNAŃ

Lucjan Młynarczyk z Pabianic z synem Marcinem, zwycięzcy aukcji internetowej na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, gościli w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych.

Szachiści w mundurach

WARSZAWA

PUŁKOWNIK **TOMASZ MALINOWSKI** I MAJOR **SŁAWOMIR KĘDZIERSKI** OBJĘLI FUNKCJE PRZEWODNICZĄCEGO I SEKRETARZA MIĘDZYNARODOWEGO WOJSKOWEGO KOMITETU SZACHOWEGO (IMCC).

Trzeci tytuł

INOWROCŁAW

Obchody 93. rocznicy powstania terenowej administracji wojskowej. Podpułkownik **Krzysztof Broniewicz**, komendant Wojskowej Komendy Uzupełnień, cieszy się, że podległa mu instytucja otrzymała już po raz trzeci tytuł przodującego WKU Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Bydgoszczy.

Problemy służby

WARSZAWA

Elementem obchodów 8 marca w Dowództwie Garnizonu Warszawa była konferencja dotycząca problemów służby wojskowej kobiet. Uczestniczyła w niej komandor **Bożena Szubińska**, przewodnicząca Rady do spraw Kobiet w Siłach Zbrojnych RP.

Proporzec dla kompanii

SZCZECIN

KAPITAN **GRZEGORZ KOBYLARZ**, DOWÓDCA 180 KOMPANII RADIOTECHNICZNEJ, OTRZYMAŁ Z RĄK GENERAŁA BRYGADY **MICHAŁA SIKORY**, SZEFA WOJSK OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ I RADIOTECHNICZNYCH, PROPORZEC PRZODUJĄCEGO PODODZIAŁU SIŁ POWIETRZNYCH 2011 ROKU.



15 BWD

Zwycięzcy z brygady

SIERADZ

Szeregowy **Rafał Dawid** z 15 Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia został zwycięzcą Otwartych Mistrzostw Polski Muaythai (tajski sport walki). Z kolei szeregowy **Olga Poluszczyk** z tej samej brygady wygrała zawody o Puchar Dowódcy Garnizonu Warszawa w tenisie stołowym.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



ANDRZEJ
FAŁARA

Generał Wongiel

**LEGIA ZABIERAŁA INNYM
KLUBOM NAJLEPSZYCH PIŁKARZY
NA DWA LATA. CZY MOŻNA SIĘ
DZIWIĆ, ŻE STAŁA SIĘ
NAJBARDZIEJ ZNIENAWIDZONĄ
DRUŻYNĄ W POLSCE?**

Wczasach powszechnej szczęśliwości, które z powodów sentymentalnych wspominam z rzadka na tych łamach, niewiele mechanizmów działało tak dobrze jak pobór do wojska. Odczułem to własnej skórce. Jako student SGPiS, jeszcze przed egzaminem poprawkowym z ekonometrii czy jakiegoś innego ulubionego przedmiotu, dostałem wezwanie na komisję wojskową. Armia była pod tym względem diabelnie czujna. Zdasz chłopie tę poprawkę, będziesz studiował dalej, nie zdasz, dostaniesz bilet do Morąga albo Bartoszyc.

Skoro wojsko z taką pieczołowitością pochylało się nad losem każdego studenciny, to tym bardziej było zainteresowane utalentowanymi sportowcami. Pobór był za komuny kwintesencją wojskowego sportu. Stanowił najtańszy na świecie system transferowy. Do armijnych klubów trafiali niemal każdy mistrz lub kandydat na mistrza, wszyscy ci, którzy mogli kopać piłkę, biegać lub skakać ku chwale polskiego oręża. Nielicznych przejmowała milicja, która też chciała mieć się czym chwalić.

Gdyby przejrzeć listę najlepszych piłkarzy lat pięćdziesiątych, okazałoby się, że każdy z nich ma w życiorysie epizod armijny. Najlepszy ligowy napastnik **Ernest Pol**, wybitny bramkarz **Edward Szymkowiak**, twardy obrońca **Roman Korynt** czy utalentowany pomocnik **Władysław Soporek** odbyli służbę na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie. Po czym wracali w rodzinne strony, by reprezentować Górnika Zabrze, Polonię Bytom, Lechię Gdańsk i ŁKS. Był tylko jeden wyjątek, ale za to jaki: **Gerard Cieślik**. Gdy wojsko upomniało się o najlepszego wtedy piłkarza w Polsce, na Śląsku zawrzało. W Legii nikt się tym specjalnie nie przejmował, bo wiadomo było, że na wojsko nie ma mocnych. Piłkarze trenowali w Zakopanem i spokojnie czekali na nowego kolegę.

Kolega nie dotarł jednak pod Giewont. Trafił za to do Warszawy przodownik pracy (rekord życiowy: 300 procent normy), wielki kibic Ruchu Chorzów **Wiktor Markiefka**. Spotkał się z prezydentem **Bolesławem Bierutem**, jak chcą jedni, albo z ministrem obrony narodowej **Konstantym Rokossowskim**, jak twierdzą drudzy. Wygłosił podobno słynne zdanie: „Nie bydzie **Cieślik** groł w Ruchu, nie bydzie wongla”.

Nie ma znaczenia, czy powyższa kwestia rzeczywiście padła z ust mistrza fedrunku, czy też została wymyślona przez kibiców na Śląsku. Pewne jest, że **Markiefka** się postawił. Przypomnę: był początek lat pięćdziesiątych, żył jeszcze **Józef Stalin** i ludzie za dużo mniejszy opór wobec władzy szli za kraty. Ale **Markiefka** mógł ryzykować ze względu na te swoje 300 procent, no i z uwagi na poparcie „generała Wongla”, który, jak się okazało, stał wyżej w hierarchii niż sam marszałek **Rokossowski**. Powołanie **Cieślika** do wojska zostało cofnięte w trybie natychmiastowym, a wongiel mógł płynąć z polskich kopalń nieprzerwanym strumieniem.

Czy można się w tej sytuacji dziwić, że Legia była najbardziej znieawidzoną drużyną w całej Polsce? Zabierała klubom na dwa lata najlepszych graczy. Niektórzy zostawali zresztą w wojsku na całe życie, tak jak pochodzący z Rudy Śląskiej **Lucjan Brychczy**, dziś podpułkownik. Strzelił dla Legii 225 goli – o 84 więcej niż **Kazimierz Deyna**. Tak na marginesie: ile trzeba zdobyć bramek, żeby sobie zasłużyć na stopień pułkownika?

Wracając do nienawiści. Zasadnicza służba wojskowa została zlikwidowana (a mówiąc ściślej, zawieszona) ponad dwa lata temu. Legia już dawno nie jest klubem armijnym. A tymczasem nienawiść do zespołu z Łazienkowskiej pozostała. I vice versa.

Cytowałem już kiedyś sygnowany przez kibiców Legii napis na murze wyścigów konnych w Warszawie. Brzmi on: nienawidzimy wszystkich. Boże, chroń Euro 2012 i minister **Joannę Muchę!** ■



NUMBER 1201 FROM 1954